CUD, KTÓRY STWORZYŁ MEKSYK
Wizerunek Matki Bożej z Guadalupe to nieoficjalny herb tego państwa

BURZLIWA BIOGRAFIA ZŁOTEGO
Dzieje pieniądza odzwierciedlają wzloty i upadki polskiego państwa

TYGRYS NA SAMOTNYCH ŁOWACH
Scenariusz filmu Dennisa Gansela bazuje na nonsensie – taki rajd byłby samobójstwem

NR 3(157)/2026 MARZEC 2026

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Jak Francuzi obalili następcę Mościckiego

PREZYDENT WIENIAWA

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 03 >



Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026

A NEW STAGE OF COOPERATION

Nowy etap współpracy | Az együttműködés új szakasza

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION
15–17 MARCH 2026

EVENT VENUE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
MIEJSCE WYDARZENIA: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
RENDEZVÉNY HELYSZÍNE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON

Register now — limited capacityScan the QR

Zarejestruj się — liczba miejsc ograniczona
Regisztrálj most — korlátozott férőhely

www.PHALS.pl

Partner Główny PHALS 2026
Województwo Małopolskie

MAŁOPOLSKA

eprasa.pl ac2ccfad23

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktor: **Tomasz Stańczyk**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Rzym, 19 grudnia 1937 r.

Odsłonięcie pomnika Józefa Piłsudskiego w obecności delegacji wojskowej z gen. Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

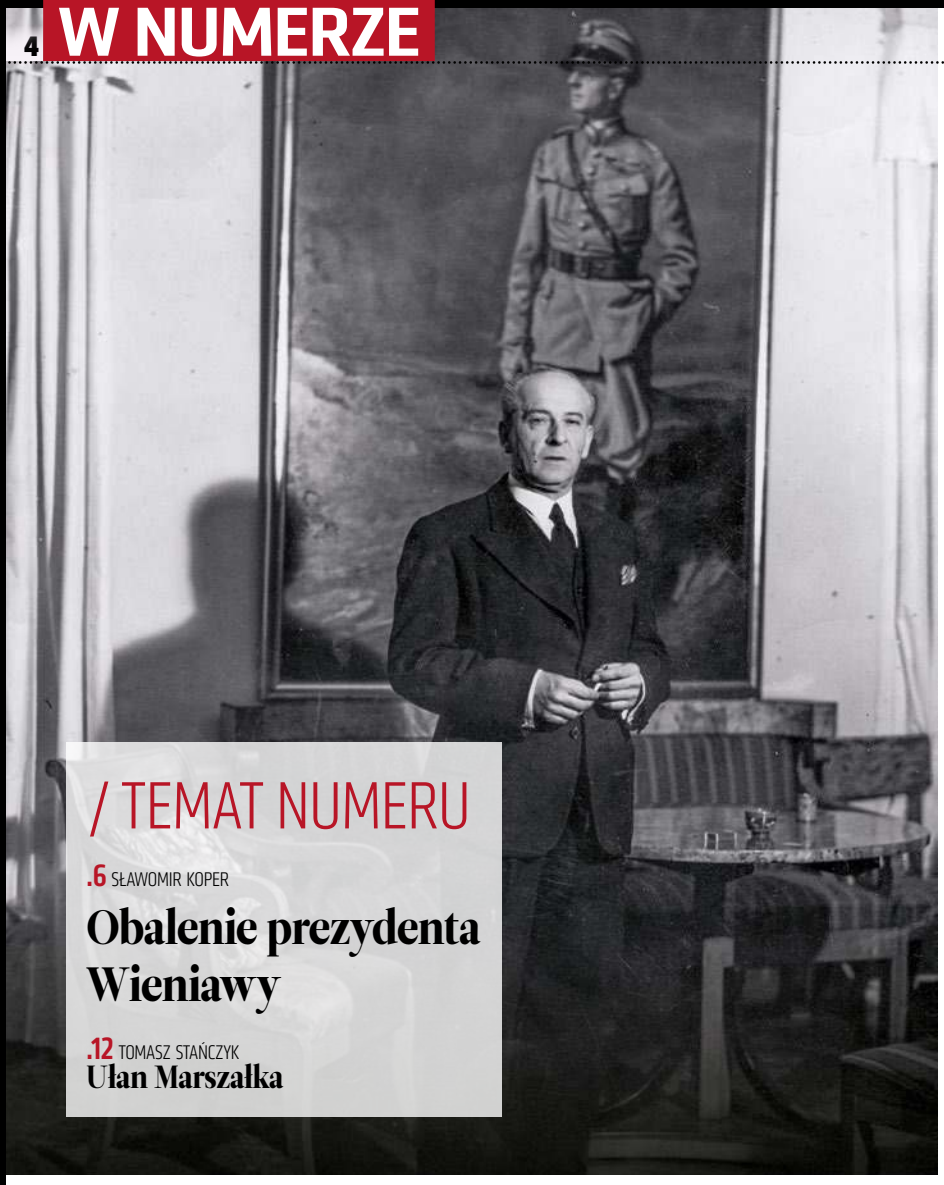
Zamach wrześniowy

Na mocy konstytucji kwietniowej prezydent Ignacy Mościcki miał prawo wyznaczyć swojego następcę na czas wojny. Gdy we wrześniu 1939 r. Rumuni postanowili internować polskie władze, głowa państwa skorzystała z prerogatywy, którą zapewniała jej ustawa zasadnicza. Ignacy Mościcki sięgnął zatem po zaufanego człowieka, który przez lata był jednym z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego. Generał Bronisław Wieniawa-Długoszowski, pełniący wtedy funkcję ambasadora RP we Włoszech, był w oczach dotychczasowej głowy państwa człowiekiem, który dawał rękojmię niezależności.

Sęk w tym, że było to kompletnie nie na rękę naszym francuskim sojusznikom. Paryż wolał widzieć na stanowisku prezydenta RP kogoś zdecydowanie bardziej posłusznego. W ten sposób doszło do intrygi – do wymiany następcy Mościckiego dążył też oczywiście gen. Władysław Sikorski – której efektem było wyrzucenie polskiej konstytucji na śmietnik i w gruncie rzeczy upokorzenie naszego państwa. „Wydarzenia paryskie z trzeciej dekady września 1939 r. można uznać za zamach stanu – pisze Sławomir Koper w głównym tekście numeru. – W kraju trwały jeszcze walki, nie wszyscy skapitulowali, a emigracyjni politycy nad Sekwaną już skakali sobie do gardeł. Porozumienie Sikorskiego z Francuzami błyskawicznie przyniosło efekty".

Proces wymiany następcy Mościckiego pokazuje, jak rozdarta była wtedy Polska i do czego byli zdolni nasi sojusznicy, widząc jej bezradność. Tak wyglądał początek gorszącego konfliktu w ramach polskiej elity politycznej na emigracji, rozgrywanej dodatkowo przez Paryż, a także Londyn. ©℗

eprasa.pl ac2ccfad23



/ TEMAT NUMERU

.6 SŁAWOMIR KOPER
Obalenie prezydenta Wieniawy

.12 TOMASZ STAŃCZYK
Ułan Marszałka

/ CZASY I LUDZIE

.18 PIOTR WŁOCZYK
Tilma, która stworzyła Meksyk

.22 ANNA SZCZEPAŃSKA
Swastyka nad Tkaniną z Bayeux

.26 ŁUKASZ CZARNECKI
Gdy bieda była zbrodnią

.30 PIOTR WŁLCZYK
Medyczna masakra

.32 SEBASTIAN REŃCA
Zagłębiowski Dziki Zachód

.36 BEATA ZUBOWICZ
„Walizka albo trumna"

.40 JAKUB OSTROMĘCKI
Tygrys na samotnych łowach

.44 PIOTR SEMKA
Uciec z klatki. I co dalej?

.48 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Hitlerowska gra o Kaukaz

.52 JAKUB WOZINSKI
Od denara do złotego

.56 PIOTR KITRASIEWICZ
Rejtan na Pohulance

.60 ANDRZEJ BŁAŻEWICZ
W kleszczach Hitlera i Stalina

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Gorąca głowa i zimne serce Konwickiego

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Rydz cierpiący

.71 PIOTR SEMKA
Siedem zegarów na kolorowo

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 MIKOŁAJ IWANOW
Moskwa albo śmierć

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
De Dubiis Nominibus A.D. 2026

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Cena hegemonii

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Aktor na wojnie

eprasa.pl ac2ccfad23

REPUBLIKA

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczymy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.



www.radiotvrepublika.pl Telewizja Republika @RepublikaTV RepublikaTV @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl ac2ccfad23



Bolesław Wieniawa-Długoszowski na tle swojego portretu

FOT. NAC

1939 r. / Zamach stanu

Lewy wrześniowy: obalenie prezydenta Wieniawy



Sławomir Koper

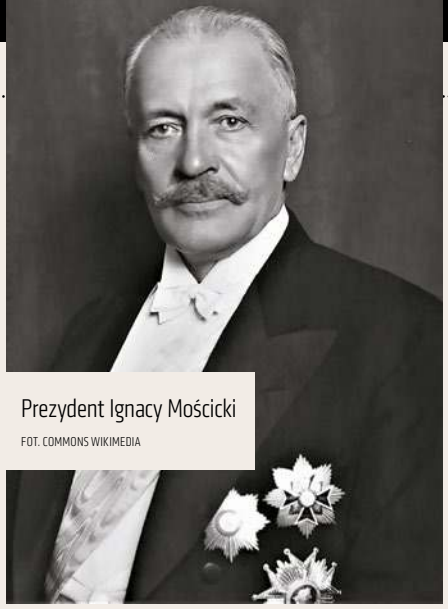
Wydarzenia paryskie z września 1939 r. można uznać za zamach stanu. Prezydent Bolesław Wieniawa-Długoszowski został pozbawiony władzy przez Francuzów, przy współudziale gen. Władysława Sikorskiego. Paryż nie chciał, by polski prezydent był samodzielnym politykiem

23 sierpnia 1939 r. w Moskwie podpisano niemiecko-sowieckie porozumienie będące w praktyce IV rozbiorem Polski. Potężni sąsiedzi uzgodnili podział stref wpływów na terenie środkowej Europy, a Sowieci zobowiązali się do ataku na Polskę po rozpoczęciu wojny przez Niemcy. Słowa dotrzymali – o świcie 17 września 1939 r. Armia Czerwona rozpoczęła inwazję na nasz kraj. Na całej długości granicy doszło do walk z Korpusem Ochrony Pogranicza, ale losy kampanii wrześniowej były już rozstrzygnięte. Nie było szans na skuteczną obronę, gdyż wojna z dwoma agresorami nie miała szans powodzenia.

W momencie sowieckiego ataku polskie władze przebywały w Kutach nad granicą rumuńską. Panował umiarkowany optymizm, uważano, że wciąż istniały szanse na zatrzymanie Wehrmachtu. Utrzymanie pozycji na tzw. przedmościu rumuńskim miało zapewnić dostawy sprzętu francuskiego, a porozumienia z Bukaresztem gwarantowały swobodny tranzyt uzbrojenia.

Meldunki o agresji sowieckiej wywołały w Kutach konsternację. Podniosły

eprasa.pl ac2ccfad23



Prezydent Ignacy Mościcki
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

się głosy, że to już nie wojna, a katastrofa na niespotykaną skalę. Dalsza walka była możliwa wyłącznie z terytorium zachodnich sojuszników. Nie było wątpliwości, że prezydent i rząd powinni niezwłocznie wyjechać z kraju. Zupełnie inną kwestią była sytuacja Naczelnego Wodza. W kraju trwały jeszcze walki i Śmigły-Rydz uznał, że nie powinien porzucać podwładnych. Marszałek w pierwszym odruchu odrzucił propozycję przekroczenia granicy.

„Z oszklonej werandy, na której oczekiwałem na przyjęcie – relacjonował pułkownik Józef Jaklicz – widziałem marszałka rozmawiającego z generałem Berbeckim. Zdawał się wydawać mu jakieś polecenia. W międzyczasie przyszedł do mnie generał Sławoj Składkowski, wzburzony, zaprosił mnie do jednego z pokojów i zawiadomił o decyzji marszałka pozostania w Polsce, celem dołączenia do batalionów w Stryju. Zaklinał mnie (dosłownie), abym odwiódł marszałka od tej decyzji. Wobec rozruchów ukraińskich, które wybuchły w Małopolsce Wschodniej w dniu dzisiejszym, w związku z wejściem Sowietów do Polski, uważał tę decyzję za szaleńczą (dosłownie). Jako minister spraw wewnętrznych i premier nie może dopuścić, aby marszałek zginął z rąk Ukraińców".

Z podobnym sprzeciwem spotkała się propozycja przebijania się w kierunku walczącej w okolicach Lwowa grupy gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Marszałek rozważał również lot do oblężonej Warszawy, ale i z tego pomysłu zrezygnował pod wpływem sugestii otoczenia. Oblężone miasto musiało niebawem skapitulować, a niewola Naczelnego Wodza przyniosłaby fatalne efekty propagandowe. Miejsce „Śmigłego" było we Francji na czele odbudowanych sił zbrojnych, a nie w niemieckim obozie.

Dostojnicy opuścili terytorium Polski, ale Kuty miały się jeszcze zapisać ponuro w dziejach Polski. Następnego dnia do miejscowości zbliżyli się Sowieci i z ich rąk poległ znakomity pisarz, podchorąży Tadeusz Dołęga-Mostowicz.

Biada zwyciężonym

Warszawę i Bukareszt łączył pakt z 1921 r. zobowiązujący oba państwa do współdziałania przeciwko ZSRS. Agresja Kremla powinna spowodować wypowiedzenie wojny przez Rumunię, ale polscy politycy przekraczający granicę na Czeremoszu uważali, że Bukareszt nie dotrzyma zobowiązań. W tej sytuacji Józef Beck przezornie wynegocjował prawo tranzytu dla polskiego rządu. Okazało się jednak, że Rumuni nie zamierzali respektować również tej obietnicy.

Na władze z Bukaresztu naciskali Niemcy, żądania wysuwali także Sowieci. Rumuni panicznie obawiali się Stalina, ponieważ Kreml od lat zgłaszał pretensje terytorialne. Zresztą nie tylko Sowieci i Niemcy byli zainteresowani wyeliminowaniem władz sanacyjnych. Do gry włączyli się również Francuzi, chętnie widzący Polaków w roli sojuszników, ale pod innym kierownictwem. Politycy znad Sekwany woleli współpracować z ludźmi bardziej uległymi, nie mieli również ochoty tłumaczyć się z niedotrzymanych obietnic.

Pod błahym pozorem polskie kierownictwo internowano; prezydenta osadzono w Bicaz, rząd w Slănic, a „Śmigłego" w Craiovej. Odosobniony Mościcki nie mógł naradzić się ze współpracownikami, a sytuacja wymagała szybkich decyzji. Prezydent musiał natychmiast wyznaczyć następcę, zaprzeczając tym samym niemieckiej i sowieckiej propagandzie głoszącej, że państwo polskie przestało istnieć.

Internowani w Rumunii politycy nie wiedzieli wówczas, że tydzień wcześniej zachodni sojusznicy ostatecznie zrezygnowali z planowanej ofensywy. Chociaż w Polsce trwały jeszcze walki, broniły się Warszawa, Modlin i Hel, to nad Sekwaną wydano już wyrok. Decyzja zapadła 12 września, podczas narady dowództwa sprzymierzonych z udziałem premierów Francji i Wielkiej Brytanii. Alianci znali już ustalenia paktu Ribbentrop-Mołotow i w każdej chwili oczekiwali agresji Sowietów. A to całkowicie zmieniało obraz sytuacji.



Rezydencja królewska w Bicaz, miejsce internowania prezydenta Ignacego Mościckiego w Rumunii FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ANGELOALIMOS

Wieniawa

Mościcki nie miał dużego pola manewru, skoro desygnowany po wybuchu wojny na jego następcę „Śmigły" również został internowany. Na prezydenta

eprasa.pl ac2ccfad23

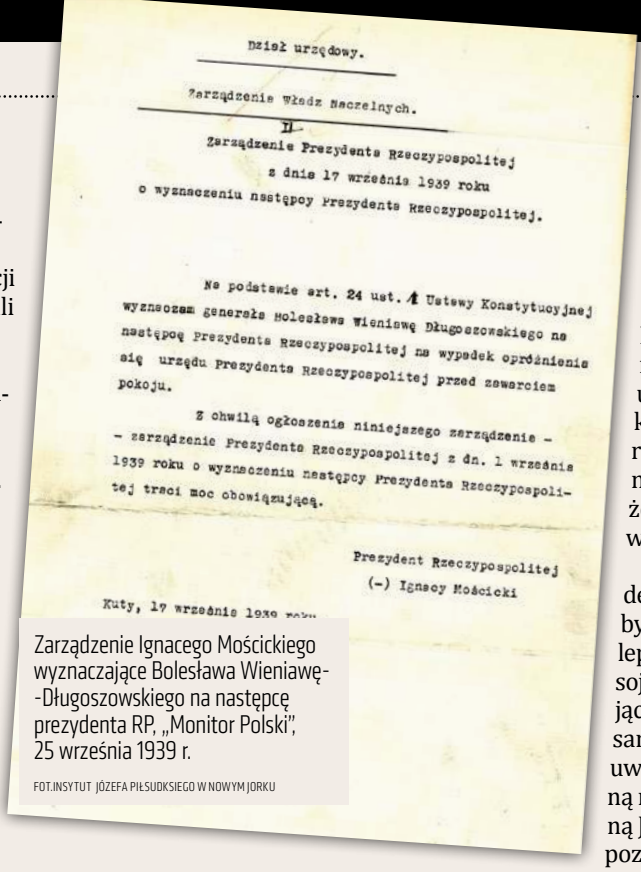
nadawał się gen. Kazimierz Sosnkowski, ale walczył gdzieś w kraju i nie znano jego losów. W tej sytuacji jedynymi kandydatami pozostawali ambasadorowie Rzeczypospolitej w stolicach europejskich i to z tego grona prezydent wybrał odpowiedniego człowieka.

Zdecydował się na najbarwniejszą osobowość obozu sanacyjnego. Generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski był ambasadorem w Rzymie, ale w dziejach II Rzeczypospolitej zapisał się jako prawdziwy „król życia", człowiek o niezwykłej fantazji i uroku.

Chyba o żadnym innym polityku okresu międzywojennego nie krążyło tyle anegdot, co o Wieniawie. „Piękny Bolek" stał się symbolem przedwojennych elit, w udany sposób łącząc sfery polityczne z artystycznymi. Ulubieniec Piłsudskiego i jego adiutant z czasów Legionów, dowódca 1. Pułku Szwoleżerów, a jednocześnie bliski przyjaciel skamandrytów i artystów kabaretowych. Uczestnik zakulisowych gier politycznych i bywalec słynnego stolika na półpiętrze Ziemiańskiej. Najbardziej honorowy człowiek w armii i autor poważnych przekładów literatury francuskiej. Ulubieniec kobiet, bożyszcze Warszawy, mężczyzna, który zawsze przyznawał się do miłości do trzech K (kobiety, koniak, konie).

Gdyby jednak chociaż połowa opowieści o Wieniawie była prawdą, to z wyczerpania nie utrzymałby się w siodle. Anegdoty wymyślano przy kawiarnianych stolikach, nazwisko Wieniawy dołączano do znanych już opowieści, autorem niektórych był zresztą sam zainteresowany. Nie zmienia to jednak faktu, że przez długie lata kondycja faworyta Piłsudskiego wzbudzała podziw.

Marian Hemar wspominał, że „w towarzystwie Wieniawy było się w polu magnetycznym jego osoby – w polu magnetycznym jego wdzięku, swady, polotu i humoru, jego niespożytej energii, jego ochoty do życia, głodu życia". Kornel Makuszyński uważał, że „jak wiatr kadzidła rozwiewa, tak on wesołym, młodzieńczym śmiechem rozpraszał wszelką brodatą dostojność". Natomiast niemiecki dziennikarz przebywający w Warszawie nie mógł wyjść z podziwu, kiedy w kawiarni wysłuchał w swoim ojczystym języku wykładu nieznajomego polskiego generała nt. literatury niemieckiej. Zauważył, że u Wieniawy dominował „ten duch słowiański, tak na pozór podobny do francuskiego, lecz znacznie go przewyższający swą psychologiczną głębią". Nie ukrywał, że coś podobnego nie byłoby możliwe w Berlinie.



Dział urzędowy.

Zarządzenie Władz Naczelnych.

II

Zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej
z dnia 17 września 1939 roku
o wyznaczeniu następcy Prezydenta Rzeczypospolitej.

Na podstawie art. 24 ust. 1 Ustawy Konstytucyjnej wyznaczam generała Bolesława Wieniawę Długoszowskiego na następcę Prezydenta Rzeczypospolitej na wypadek opróżnienia się urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej przed zawarciem pokoju.

Z chwilą ogłoszenia niniejszego zarządzenie – – zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 1 września 1939 roku o wyznaczeniu następcy Prezydenta Rzeczypospolitej traci moc obowiązującą.

Prezydent Rzeczypospolitej
(–) Ignacy Mościcki

Kuty, 17 września 1939 roku

Zarządzenie Ignacego Mościckiego wyznaczające Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego na następcę prezydenta RP, „Monitor Polski", 25 września 1939 r.

FOT. INSYTUT JÓZEFA PIŁSUDKSIEGO W NOWYM JORKU

Wybór Paryża

Mościcki, desygnując Wieniawę na następcę, zastrzegł jednak możliwość przekazania urzędu Sosnkowskiemu. Prezydent mógł być pewien jednego – ten generał nie miał zwyczaju łamać danego słowa.

Wybór prezydenta wzbudził ogromne kontrowersje wśród polskiej emigracji. Klęska wrześniowa skompromitowała sanację, stwarzając doskonałą okazję do przejęcia władzy przez opozycję. Na emigracji znaleźli się przedstawiciele stronnictw wrogich obozowi rządowemu, a także ludzie związani z tzw. Frontem Morges, powstałym trzy lata wcześniej pod patronatem Ignacego Paderewskiego. Wśród jego założycieli znaleźli się działacze opozycji (Wojciech Korfanty i Karol Popiel) oraz oficerowie pozbawieni wpływów i stanowisk po przewrocie majowym (Władysław Sikorski, Józef Haller, Marian Januszajtis, Izydor Modelski).

Politycznym ramieniem Frontu w kraju stało się Stronnictwo Pracy, ale partia nie uzyskała większego poparcia. Po klęsce wrześniowej i w atmosferze powszechnego rozgoryczenia przeciwnicy sanacji uznali, że nadszedł czas na przejęcie władzy.

Popierali ich Francuzi. Dla decydentów z Paryża wygodne było polskie bezkrólewie, a najlepszy byłby słaby rząd zależny od sojuszników. Politycy przebywający w Rumunii uchodzili za zbyt samodzielnych, a mariaż z Francją uważali za zło konieczne. Szczególną niechęcią darzono nad Sekwaną Józefa Becka, który nigdy nie pozwolił na zredukowanie Polski do roli posłusznego klienta.

Wojna jednak trwała (przynajmniej na papierze i na morzu), więc Francuzi uznali, że polskie siły zbrojne na ich terytorium zawsze mogą się przydać. W Rumunii i na Węgrzech przebywało 80 tys. polskich oficerów i żołnierzy gotowych do dalszej walki. Powołanie polskiego rządu na emigracji blokowało Niemcom i Sowietom możliwość utworzenia władz kolaboracyjnych w kraju i miało wykazać, że państwo polskie nadal funkcjonuje. Był tylko jeden problem: rząd powoływał premier wskazany przez prezydenta, a Mościcki desygnował na swego następcę Wieniawę.

Ten ostatni doskonale znał Francję i Francuzów. W Paryżu mieszkał przez sześć lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej, a następnie przebywał nad Sekwaną z misją dyplomatyczną Piłsudskiego. Kochał kulturę francuską i tamtejszy styl życia, ale zdecydowanie odróżniał je od polityki. W tych sprawach w pełni zgadzał się z Piłsudskim i Beckiem, a jako ambasador Rzeczypospolitej w Rzymie miał doskonałe stosunki z szefem tamtejszego MSZ Galeazzo Ciano i z samym Mussolinim. Tego jednak francuscy decydenci znieść nie mogli. Człowiek, któremu powierzono obowiązki prezydenta klienckiego kraju, nie mógł przecież prowadzić samodzielnej polityki. A do tego mieć bliskie kontakty

eprasa.pl ac2ccfad23

z przywódcami kraju będącego najbliższym sojusznikiem Hitlera!

Francuzi znaleźli poparcie wśród polskiej opozycji. Władysław Sikorski nie znosił Wieniawy, a wzajemna nienawiść ciągnęła się jeszcze od czasów Legionów. Wieniawa był wówczas autorem piosenek ośmieszających ówczesnego pułkownika, zarzucał mu brak kompetencji, bufonadę, a nawet tchórzostwo. Tytuły utworów mówią wszystko („Za biurkiem w Piotrkowie" czy „Pan pułkownik jedzie na front"), a według Wieniawy znajomość wojennego rzemiosła Sikorski miał zawdzięczać wizytom w kinie…

Nie był to tylko młodzieńczy wybryk adiutanta Piłsudskiego. Po latach uważał, że gdy Legiony biły się z Moskalami, to Sikorski „urabiał nam na tyłach, cesarsko-królewską robiąc politykę, piotrkowski departament wojskowy". Tego generał nigdy nie zapomniał, zresztą uchodził za człowieka wyjątkowo pamiętliwego i nawet w „rzeczowej opozycji doszukiwał się wrogości do własnej osoby".

„Niewątpliwe zalety – zauważał Eugeniusz Kwiatkowski – i nieprzeciętne wartości tkwiące w osobowości […] Sikorskiego były dość często usuwane w cień albo nawet niwelowane całkowicie przez gwałtowne wybuchy […] drugorzędnych […] cech jego charakteru. W rzeczywistości krzewiły się w nim najbardziej sprzeczne i przeciwstawne właściwości duchowe, z których jedne reagowały szybko i prawidłowo na sprawy wielkie i doniosłe, gdy inne były uczulone i wrażliwe na podniety zaprawione ślepą nienawiścią, uporem i jadem zemsty".



Strona z legitymacji dyplomatycznej ambasadora Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego

FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH

Dobry premier

Niechęć Sikorskiego do Wieniawy wpisywała się w jego nienawiść do piłsudczyków, do czego zresztą miał słuszne powody. Jako dowódca lwowskiego okręgu wojskowego zachował w dniach przewrotu majowego neutralność, ale dwa lata później został zdymisjonowany ze stanowiska i otrzymał status „generała do dyspozycji". W praktyce oznaczało to przedwczesną emeryturę.

Sikorski miał jednak ogromne ambicje. Dał temu wyraz na początku lat 20., pełniąc urząd premiera, a następnie ministra spraw wojskowych. I trzeba przyznać, że sprawdził się na tych stanowiskach, szczególnie jako szef rządu. To właśnie jego powołano na premiera w tragicznym dniu zabójstwa Narutowicza (jednocześnie został ministrem spraw wewnętrznych). Błyskawicznie spacyfikował nastroje, nie dopuścił do wojny domowej, a przy okazji zasugerował sądowi wyrok na zamachowca. Zapewne to właśnie za sprawą jego nacisków Eligiusz Niewiadomski nie został uznany za niepoczytalnego (a był nim na pewno) i zamiast tego został rozstrzelany.

Chociaż przed wybuchem wojny Sikorski zgłosił swój akces do armii, to „Śmigły" zignorował jego zabiegi. Generał opuścił stolicę w pierwszych dniach kampanii i już 18 września znalazł się w Rumunii. Podobno jeszcze dzień wcześniej proponował „Śmigłemu" powrót do wojska, powołując się na kontakty we Francji. Ale gdy ta propozycja również została odrzucona, rozpoczął własną grę.

Sikorski na czele polskiego rządu nad Sekwaną widział własnego stronnika; sam myślał wówczas chyba tylko o stanowisku Naczelnego Wodza. Nadal nic nie wiadomo było o losach Sosnkowskiego i wobec internowania „Śmigłego" Sikorski pozostawał jedynym realnym kandydatem na dowódcę polskiej armii. Błyskawicznie doszedł do porozumienia z polskim attaché w Bukareszcie Tadeuszem Zakrzewskim i wydał mu ścisłe dyrektywy w sprawie kwalifikacji polskich uchodźców do wyjazdu do Francji. Wizy miały otrzymywać wyłącznie wyselekcjonowane osoby, co miało go „zabezpieczyć przed napływem przeciwników politycznych" oraz „eliminować elementy urzędnicze i oficerskie związane bliżej z sanacją".

Sikorski nie pozostawił niczego przypadkowi; zadbał, aby na listach znaleźli się jego współpracownicy, a także ludzie, z którymi porozumienie uważał za możliwe. Nie zapomniał również o „wszystkich ważnych i spokojnych" endekach, zarządził też poszukiwania Wincentego Witosa. Zasłużony działacz ludowy, trzykrotny premier i więzień Brześcia idealnie nadawał się na osobę firmującą jego politykę.

Zamach stanu

Generał przybył do Paryża 24 września, a następnego dnia dotarła informacja (antydatowana na 18 września), że Mościcki wyznaczył Wieniawę na prezydenta. To, co zaszło w następnych godzinach, nie znajduje precedensu w najnowszych dziejach Polski.

Sikorski zwołał naradę współpracowników zakończoną kategoryczną konkluzją, że Wieniawa nie może zostać następcą Mościckiego. Uznano to za powrót piłsudczyków do władzy, widząc w Wieniawie wyłącznie przedstawiciela wrogiego obozu. Nie zwracano uwagi na jego rzeczywiste kompetencje, obawiano się również niezależności Wieniawy. Ulubieniec Piłsudskiego nie był bowiem człowiekiem, który pozwoliłby sobą kierować.

Środowisko Sikorskiego poinformowało o tym Francuzów, a przy okazji obrzuciło Wieniawę obrzydliwymi pomówieniami. Przedstawiono go jako alkoholika, erotomana, narkomana i hazardzistę o faszystowskich sympatiach. Nikt oczywiście nie zaprzeczał, że Wieniawa miał za sobą burzliwe i kolorowe życie, ale z narkotykami nigdy nie

eprasa.pl ac2ccfad23



Bolesław Wieniawa-Długoszowski z pracownikami ambasady RP w Rzymie FOT. NAC

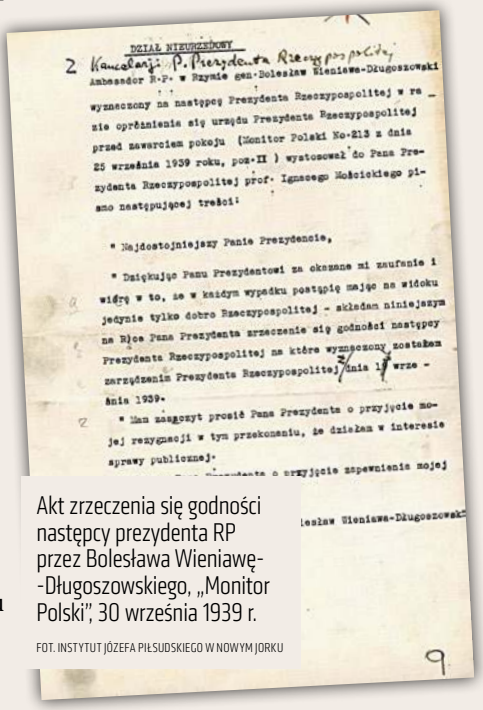
miał do czynienia, podobnie jak z hazardem. W czasach nazywanych epoką brydża (często grano na wysokie stawki pieniężne) Wieniawa nie brał w ogóle kart do rąk. Ten hedonista, wielbiciel kobiet i trunków uważał grę w karty za „zajęcie ponure i zabijające inteligentną rozmowę". Nie zachowały się również informacje o jego wizytach w kasynach czy na wyścigach, a gdyby takie faktycznie miały miejsce, to zapewne przetrwałyby na ten temat wiadomości. Wieniawa nie był przecież człowiekiem anonimowym.

Francuzi tylko czekali na podobną okazję. Sikorski i jego zwolennicy rezygnowali wprawdzie z resztek suwerenności Polski, ale zapewne uznali, że „Paryż wart jest Mszy". Wyeliminowanie wybrańca Mościckiego miało swoją cenę, a zdanie Francuzów podzielali Brytyjczycy.

Wydarzenia paryskie z trzeciej dekady września 1939 r. można uznać za zamach stanu. W kraju trwały jeszcze walki, nie wszyscy skapitulowali, a emigracyjni politycy nad Sekwaną już skakali sobie do gardeł. Porozumienie Sikorskiego z Francuzami błyskawicznie przyniosło efekty, inna sprawa, że czas naglił i opozycja musiała działać szybko.

Ambasador Rzeczypospolitej w Paryżu Juliusz Łukasiewicz złożył oficjalną notę o desygnowaniu Wieniawy, ale usłyszał wówczas, że rząd francuski nie aprobuje tego wyboru. Złudzeń nie pozostawił również ambasador Francji w Bukareszcie, komunikując obcesowo Mościckiemu, że jego mocodawcy „nie mają zaufania do wyznaczonej osoby" i że Paryż „nie uzna jakiegokolwiek rządu powołanego przez generała Wieniawę". Uzasadniając stanowisko wyjaśnił, że następca Mościckiego jest „dawnym oficerem Piłsudskiego, którego zabawiał swoimi wyskokami i facecjami", prowadzącym „fantazyjny sposób bycia, pod pozorem rozleglej kultury skrywający tyleż nieumiarkowanego dziwactwa, co i niepomiarkowania w obyczajach". A w ogóle to zasłynął z „niewyparzonego języka" i niechęci do Francji, co powoduje, że jego kandydatura jest „niepoważna, a nawet gorsząca".

Sikorski nie zaniedbywał niczego. Osobiście odwiedził Łukasiewicza, a podczas rozmowy był „sztywny i podkreślał zdenerwowanie, czemu dawał wyraz, uderzając w ciągu całej rozmowy o poręcz fotela". Oficjalnie oświadczył, że jego kandydatem jest Paderewski, chociaż uznawał prawa Sosnkowskiego, pod warunkiem że ten wreszcie się odnajdzie. Zobowiązał się, że odda w jego ręce całą posiadaną „władzę wojskową i cywilną". Chociaż praktycznie nie sprawował wówczas żadnej funkcji, to jednak wiedział, że to jedynie kwestia dni – Francuzi czuwali...



DZIAŁ NIEURZĘDOWY

2 Kancelarja P. Prezydenta Rzeczypospolitej

Ambasador R.P. w Rzymie gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski wyznaczony na następcę Prezydenta Rzeczypospolitej w razie opróżnienia się urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej przed zawarciem pokoju (Monitor Polski No 213 z dnia 25 września 1939 roku, poz. II) wystosował do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego pismo następującej treści:

„Najdostojniejszy Panie Prezydencie,

„Dziękuję Panu Prezydentowi za okazane mi zaufanie i wiarę w to, że w każdym wypadku postąpię mając na widoku jedynie tylko dobro Rzeczypospolitej – składam niniejszym na Ręce Pana Prezydenta zrzeczenie się godności następcy Prezydenta Rzeczypospolitej na które wyznaczony zostałem zarządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 1[illegible] września 1939.

„Mam zaszczyt prosić Pana Prezydenta o przyjęcie mojej rezygnacji w tym przekonaniu, że działam w interesie sprawy publicznej.

[illegible]esław Wieniawa-Długoszowski

9

Akt zrzeczenia się godności następcy prezydenta RP przez Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego, „Monitor Polski", 30 września 1939 r.

FOT. INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W NOWYM JORKU

Nie chodziło mi o personalia – zauważał Edward Raczyński – ale przede wszystkim o fakt, że z klęski naszej w polu unieśliśmy tylko i nade wszystko imponderabilia: naszą państwowość, sojusze, konstytucję. A tymczasem nasz własny sojusznik potraktował jeden z naszych skarbów narodowych, jak błahy, nic nieznaczący liczman".

Nie powiodła się próba zneutralizowania przez Łukasiewicza gier gen. Sikorskiego i ostatecznie na polecenie ambasadora został on mianowany dowódcą polskich sił zbrojnych we Francji

„Gdy Wieniawa – wspominał Marian Romeyko – z dekretem mianującym go następcą prezydenta – przybył do Paryża, zastał tam sytuację zmienioną, albowiem przybyli z Rumunii do Paryża i generał Sikorski, i profesor Stroński, i inni. Mimo wszystko, dzięki staraniom ambasadora Łukasiewicza, przystąpiono do druku »Monitora Polski«, numeru pierwszego, z dekretem byłego prezydenta Mościckiego o mianowaniu następcy w osobie Wieniawy. Równolegle z akcją druku pewne koła polskie rozpoczęły przeciwakcję, alarmując – poprzez francuskiego ambasadora Noëla – francuskie ministerstwo spraw zagranicznych. Uzyskano wiele, albowiem Francuzi oświadczyli Łukasiewiczowi, że nie uznają mianowania Wieniawy prezydentem Rzeczypospolitej, a przeto nie będą uznawali rządu polskiego mianowanego przez niego. Widząc zamieszanie, jakie wywołała jego osoba, Wieniawa od razu dobrowolnie wycofał się, lecz sfery sanacyjne, zgrupowane przy Łukasiewiczu nie dawały za wygraną. Francuzi tak dalece poszli na rękę »opozycji«, że otoczyli gmach drukarni, gdzie odbywał się druk numeru 1

eprasa.pl ac2ccfad23

»Monitora«, i skonfiskowali nakład. Mimo to znaczna część egzemplarzy numeru 1 bocznymi drogami »wyszła na ulice« i znalazła się w posiadaniu szeregu osób, które później zrobiły na tym kokosy, ponieważ – być może na polecenie nowo sformowanego rządu – egzemplarze nr. 1 »Monitora« były wykupywane, i to za wielkie pieniądze".

Wieniawa wysłał do Mościckiego depeszę z prośbą o zwolnienie ze stanowiska, wystosował również list następującej treści:

Najdostojniejszy Panie Prezydencie!

Dziękując Panu Prezydentowi za okazane mi zaufanie i wiarę w to, że w każdym wypadku postąpię, mając na widoku jedynie tylko dobro Rzeczpospolitej – składam niniejszym na ręce Pana Prezydenta zrzeczenie się godności następcy Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 17 września 1939. Mam zaszczyt prosić Pana Prezydenta o przyjęcie mojej rezygnacji w tym przekonaniu, że działam w interesie sprawy publicznej. Proszę Pana Prezydenta o przyjęcie mojej najgłębszej czci i oddania.

Paryż 27 września 1939.

Wieniawa-Długoszowski, generał.

Zaraz po rezygnacji Wieniawa wziął udział w naradzie mającej wyłonić kandydata możliwego do zaakceptowania przez Mościckiego, grupę Sikorskiego i Francuzów. Tym razem wybór padł na Władysława Raczkiewicza, byłego senatora, wojewodę i marszałka Sejmu.

August Leniwy

Wieniawa powrócił do Rzymu, a historykom pozostał spór, czy można go oficjalnie uznawać za prezydenta Rzeczypospolitej. Wydaje się, że powinien dołączyć do tej listy, gdyż jego nominacja została ogłoszona w „Monitorze Polskim", a konfiskata nakładu nic w tej kwestii nie zmieniała. Warto też podkreślić, że pierwszy ułan Rzeczypospolitej po raz kolejny pokazał klasę. Na tle skłóconych rodaków wydawał się człowiekiem z zupełnie innej bajki. Wybór Władysława Raczkiewicza na stanowisko prezydenta nie zahamował bowiem targów i kłótni nad Sekwaną. Tym razem chodziło o stanowisko premiera.

Sikorski był już kiedyś szefem rządu i teraz znów dążył do władzy politycznej. Gdy Raczkiewicz desygnował na premiera Augusta Zaleskiego, doszło do ostrych protestów. Sprzeciwiali się temu zarówno piłsudczycy, jak i zwolennicy Sikorskiego. Nikt wprawdzie nie odmawiał Zaleskiemu kompetencji dyplomatycznych (był poprzednikiem Becka na stanowisku ministra spraw zagranicznych), ale uchodził on za człowieka trudnego we współpracy. Nazywano go „Augustem Leniwym", ponieważ przejawiał chorobliwą wręcz niechęć do systematycznej pracy. Podobno jeszcze w czasach swojego urzędowania w MSZ „dłuższe niż dziesięciominutowe sprawozdania […] tak go nużyły, że przestawał słuchać". Podwładni wiedzieli, że „aby uzyskać potrzebną decyzję, trzeba było wprowadzić ministra w dobry nastrój, opowiadając mu jakąś ciekawą, a nieznaną anegdotę". Nic dziwnego, że Piłsudski uważał, że Zaleski „jest zadowolony, gdy nic nie musi robić". Na domiar złego kandydat na premiera cierpiał na poważną wadę wymowy i „jąkaniem niweczył efekt najpiękniej literacko i najchytrzej politycznie przygotowanych oświadczeń".

Zaleskim nie byli zachwyceni również Francuzi, ponieważ były minister posiadał zbyt dobre kontakty z Brytyjczykami. Ostatecznie jednak zadecydował sprzeciw Sikorskiego i Raczyński wyznaczył na premiera Stanisława Strońskiego – działacza obozu narodowego. Stroński potrafił jednak wznieść się ponad osobiste ambicje, dobrze zresztą znał oczekiwania Sikorskiego. W rozmowie z głową państwa stwierdził, że „potrzebny jest rząd jedności narodowej" i oświadczenie prezydenta, że „w sprawach, w których przepisy konstytucji uprawniają go do działania samodzielnego, będzie działał w porozumieniu z rządem". Zrzekł się stanowiska premiera, a zrezygnowany Raczkiewicz wyznaczył ostatecznie Sikorskiego.

To jednak było zbyt mało dla jego ambicji i niebawem nowy premier otrzymał nominację na Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych. Od czasów Piłsudskiego żaden polski polityk nie skupił w swoich rękach podobnej władzy. Niektórzy sugerowali nawet, że Sikorski uzyskał władzę dyktatorską (objął również tekę ministra spraw wewnętrznych i ministra spraw wojskowych), jednak było to obce psychice generała.

„[…] marzeniem Sikorskiego – zauważył Stanisław Cat-Mackiewicz – nie była ani dyktatura, ani zwycięskie pole bitwy, w oparach krwi, dymu i blaskach zachodzącego słońca, ani inny obraz tego typu, a po prostu wielki parlament, on, jako premier i szmer przyjazny wszystkich stronnictw i mniejszości narodowych: Sikorski, Sikorski, Sikorski! Generał Sikorski chciał być powszechnie uznawany, kochany, popularny".

Raczkiewicz dotrzymał słowa i 30 września w przemówieniu radiowym do kraju ogłosił: „W ramach konstytucji kwietniowej postanowiłem te jej przepisy, które uprawniają mnie do samodzielnego działania, wykonywać w ścisłym porozumieniu z prezesem Rady Ministrów". Decyzja prezydenta oficjalnie weszła w życie po publikacji w „Monitorze Polskim" kilka tygodni później.

Było to sprzeczne z obowiązującą konstytucją i niepokojąco przypominało wywyższenie „Śmigłego" po śmierci Piłsudskiego. A przecież właśnie taką metodę sprawowania władzy gorliwie krytykowało ugrupowanie Sikorskiego. Jednak po raz kolejny potwierdziła się reguła, że opozycjoniści dochodząc do władzy, często przejmują metody swoich przeciwników...



Prezydent Władysław Raczkiewicz i premier Władysław Sikorski, październik 1939 r. FOT. NAC

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2ccfad23



Tomasz Stańczyk

Ułan Marszałka

1881–1942 / Doktor medycyny, poeta, żołnierz i dyplomata

Koń, kobieta, koniak – to dewiza Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego. Ale najważniejszy w jego życiu był Józef Piłsudski

6 stycznia 1925 r. marszałek Piłsudski sięgnął po swoją książkę „Rok 1920" i skreślił dedykację dla płk. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego. „Kochany Wieniawo! – pisał Marszałek – szaleńcze, co uzdę starasz się nakładać sam sobie, nie dla starej przyjaźni, lecz dla honoru służby dla mnie. Kolego, ofiarowuję wam tę książkę, pierwszy płód mózgu pracującego nad prawdą o wojnie i pierwszych dniach Polski. Byłem tam Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem".

Po tym wstępie Piłsudski zaczął opowiadać o sobie jako o kapitanie sterniku okrętu państwa, bez masztów i żagli płynącego po rozszalałym morzu, który to okręt – jak dawał niedwuznacznie do zrozumienia – przetrwał wyłącznie dzięki niemu. Dlaczego? Ponieważ, jak twierdził, wojna z Rosją bolszewicką na zdrowy rozum powinna być przegrana. Lecz w tych dramatycznych czasach Piłsudski miał na szczęście ludzi, których nazwał w dedykacji „équipe de la volonte du chef" – ekipę realizującą jego wolę. Zaliczył do nich Walerego Sławka, Aleksandra Prystora, Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego i Tadeusza Piskora. To oni byli jego najbliższymi pomocnikami i współpracownikami podczas wojny z Rosją bolszewicką i dlatego wszyscy otrzymali „Rok 1920" z dedykacją. Tylko im ufał bezgranicznie i wierzył, że ani jego samego, ani jego tajemnic nie zdradzą.

„Broniliście wtedy mej woli kochany Kolego – pisał Marszałek – wszędzie i zawsze z zupełnym zapomnieniem o sobie dla dzieła zwycięstwa i stawaliście wszędzie, gdzie Was posłałem, znosząc wszystkie ciężary moralne, które na Was

Józef Piłsudski i Bolesław Wieniawa-Długoszowski w czasie służby w Legionach Polskich, Zakopane, 1916 r.

FOT. „ILUSTROWANA KRONIKA LEGIONÓW POLSKICH"

eprasa.pl ac2ccfad23

spadały, bez skargi i szemrania, tak jak teraz znosicie, niestety następstwa tej honorowej służby".

Ręka do pióra

Poznali się 11 lat wcześniej w Paryżu, na początku 1914 r., i wkrótce Wieniawa aż do śmierci Piłsudskiego stanie się z nim nierozłączny, pełniąc przez kilka lat stanowisko adiutanta, a nieformalnie będąc jednym z bardzo niewielu ludzi, którym Marszałek ufał i powierzał największe tajemnice oraz zlecał poufne misje. Paryskie spotkanie na zawsze zmieniło życie 33-letniego Wieniawy.

Urodził się w 1881 r. w Maksymówce (dziś znajdującej się na Ukrainie); jego ojciec pracował jako inżynier zajmujący się budową dróg żelaznych i regulacją rzek. Miał sześć lat, gdy ojciec kupił majątek Bobowa na Podkarpaciu i tam mały Bolesław spędził resztę dzieciństwa. Dom rodzinny uformował go jako gorącego patriotę. Ojciec brał udział w powstaniu styczniowym. We wspomnieniu „O kraju dzieciństwa i młodości" Wieniawa pisał: „Godzinami całymi słuchaliśmy, nigdy nienasyceni, opowiadań ojca: o pierwszej bitwie pod Osiekiem w Sandomierszczyźnie, o partyzantce w Kieleckiem".

Z kolei dziadek Bolesława był oficerem podczas powstania listopadowego, brał udział w walkach o Olszynkę Grochowską i w bitwie pod Ostrołęka. Matka także odegrała ważną rolę w patriotycznej



Bronisława Berenson, druga żona Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego. Rysunek Stanisława Ignacego Witkiewicza

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZBIORY PRYWATNE

edukacji Bolesława, m.in. zaznajamiając go z powieściami Sienkiewicza, który stanie się jego ulubionym autorem.

Jacek Majchrowski, biograf Wieniawy, pisał, że o wyborze jego studiów zdecydował ojciec, chcąc, by syn zdobył praktyczny zawód. Jednak inny biograf, Witold Dworzyński, twierdził, że ojcowski nakaz spotkał się z zainteresowaniem Bolesława medycyną. I chyba tak właśnie było, skoro Wieniawa zdał z wynikiem celującym aż 12 z 18 egzaminów końcowych. Nie byłoby to możliwe, gdyby studiował pod przymusem. Jako specjalizację wybrał okulistykę, ale lekarzem ostatecznie nie został, gdyż wpadła mu w oko lwowska „brać artystyczna".

Wieniawa wspominał, że poznał wówczas – w kawiarni Schneidera – Jana Kasprowicza, Stanisława Przybyszewskiego, Leopolda Staffa, Stanisława Wyspiańskiego, Tadeusza Micińskiego.



Dwa tygodnie po przewrocie majowym na Placu Saskim w Warszawie. Od lewej: Bolesław Wieniawa-Długoszowski, Józef Piłsudski, Aleksander Prystor, Wacław Stachiewicz FOT. NAC

Biografowie Wieniawy podkreślają – w kontekście jego śmierci – zdarzenie związane z Micińskim, który miał wymóc na Wieniawie obietnicę, że nie popełni samobójstwa. A Wieniawa-Długoszowski przyznawał, że przeżywał w tamtych, lwowskich czasach poważny kryzys psychiczny.

Marząca o karierze śpiewaczki operowej Stefania Calvas tak mocno zawróciła Wieniawie w głowie, że zerwał on narzeczeństwo z córką profesora lwowskiego uniwersytetu. Młodzi wzięli ślub w 1906 r., po czym wyjechali do Paryża. Ona – by brać lekcje u Jana Reszke, światowej sławy śpiewaka, on – by studiować malarstwo w Akademii Colarossiego. Zdaje się, że szybko stwierdził, iż nie ma ręki do pędzla, ponieważ już po roku rzucił uczelnię. Miał natomiast rękę do pióra; zawsze był dumny z przetłumaczenia „Kwiatów zła" Charlesa Baudelaire'a. Po latach przetłumaczył z francuskiego biografię Antoine'a de Lasalle'a, napoleońskiego generała, słynnego kawalerzysty. To właśnie ze wstępu do książki Marcela Duponta pochodzą słowa: „Na świecie są tylko dwa zawody godne wyzwolonego i niepodległego mężczyzny, a mianowicie zawód poety i kawalerzysty".

Wieniawa był jednym i drugim. Nie wydał żadnej książki, a szkoda, gdyż miał niepospolity talent narracyjny, czego dowodem są jego teksty opublikowane w książce „Wymarsz i inne wspomnienia", wydanej w 1990 r.

„Mam wodza"

Przynależność do cyganerii artystycznej, także w kręgach polskich nad Sekwaną – był członkiem Towarzystwa Artystów Polskich w Paryżu – nie wypełniała mu jednak całego życia. Aktywował się bowiem jego patriotyczny gen. W 1912 r. wstąpił do Koła Nauk Wojskowych, które rok później zgłosiło akces do paryskiego oddziału Związku Strzeleckiego (ZS). W lutym 1914 r. Piłsudski przybył do Paryża na przegląd oddziału ZS, wygłosił także dwa odczyty, na których obecny był Wieniawa. „W kilka dni potem – pisał we wspomnieniu »Pierwsze spotkanie z moim wodzem« – prosząc listownie mego brata (Kazimierza!) o przysłanie mi regulaminów służby i wojskowych

eprasa.pl ac2ccfad23



FOT. BIBLIOTEKA CYFROWA UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

podręczników austriackich, pisałem doń między innymi: »Mój drogi – od kilku dni czuję, że jestem naprawdę żołnierzem. Mam wodza«. Pusty od dzieciństwa bęben, zuchwały i krnąbrny chłopak, rozwarcholony i bezdogmatyzujący, pierwszy raz w życiu zrozumiałem, co to jest służba".

1 sierpnia 1914 r. miał rozpocząć w krakowskich Oleandrach naukę w szkole oficerskiej Związku Strzeleckiego. Ostrzyżony na łyso nosił mundur strzelecki. „Najbystrzejsze oko – stwierdzał w »Wymarszu« – nie mogło dopatrzeć się długoletniego bywalca kawiarni de la Rotonde i Closerie des Lilas, doktora medycyny in partibus infidelium, trochę malarza, cokolwiek literata itd.".

Pięć dni później wyruszył na wojnę w szeregach Pierwszej Kompanii Kadrowej, lecz jeszcze w sierpniu wstąpił do kawalerii organizowanej przez Władysława Belinę-Prażmowskiego. Z inspiracji Wieniawy patrol kawalerzystów odwiedził Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku, by złożyć mu hołd. Wieniawa-Długoszowski utrzymywał, że spotkanie z nim, „naszym pierwszym nauczycielem", odbyło się w przyjaznej atmosferze: „Usłyszałem uprzejme słowa podziękowania, życzenia szczęścia w naszych zamierzeniach, brzmiące dla nas jak błogosławieństwo".

Jednak inny żołnierz patrolu, Józef Smoleński, wspominał, że Sienkiewicz odniósł się z rezerwą, a nawet chłodem do hołdu strzelców Piłsudskiego. Jeśli tak właśnie było, to nie powinniśmy się temu dziwić, gdyż autor „Krzyżaków" uważał zaangażowanie Polaków w światowej wojnie, faktycznie po stronie Niemiec, za błąd.

Latem 1915 r. Piłsudski zabrał Wieniawę do Warszawy na rozmowy polityczne z działaczami POW i obozu niepodległościowego. Po powrocie Wieniawa miał wrócić w szeregi kawalerzystów, co Piłsudski przyrzekł ich dowódcy, Władysławowi Belinie-Prażmowskiemu. Jednak nie dotrzymał słowa; Wieniawa już do końca pozostał przy Piłsudskim. Odtąd będzie – także jako adiutant, którym został jesienią 1915 r. – zaufanym człowiekiem Komendanta, a potem Marszałka, powiernikiem, wykonawcą jego planów, obarczonym szczególnymi i delikatnymi, często poufnymi misjami, świadkiem decyzji Piłsudskiego w sprawach osobistych.

To właśnie Wieniawa-Długoszowski był świadkiem, w 1916 r., wraz z Kazimierzem Sosnkowskim, powrotu Piłsudskiego do wyznania rzymskokatolickiego podczas ciężkiej choroby, a także uczestniczył w jego ślubie z Aleksandrą Szczerbińską. I jak wynika ze wspomnień Janiny Dunin-Wąsowiczowej, na przełomie lat 20. i 30. jeździł do Watykanu, by uzyskać stwierdzenie nieważności małżeństwa, do czego jednak ostatecznie nie doszło.


Generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski
FOT. NARCYZ WITCZAK- WITACZYŃSKI, NAC

Na bojowym szlaku Legionów Wieniawa wyróżnił się brawurowym, ale przede wszystkim opanowanym zachowaniem w trudnej sytuacji podczas walk pod Marcinkowicami w grudniu 1914 r. oraz w najkrwawszej bitwie – pod Kostiuchnówką – w lipcu 1916 r., gdy jako adiutant Piłsudskiego, dowódcy I Brygady, dwukrotnie dostarczył pod rosyjskim ogniem rozkaz na pierwszą linię frontu. Za te czyny został przedstawiony do odznaczenia Orderem Virtuti Militari.

W Moskwie

W wyniku kryzysu przysięgowego, który wybuchł w lipcu 1917 r. i spowodował uwięzienie Piłsudskiego przez Niemców, Wieniawa został zwolniony z Legionów i wcielony do armii austriackiej. Skierowano go jako lekarza do służby w pospolitym ruszeniu. Porzucił ją na rozkaz Edwarda Śmigłego-Rydza, komendanta POW. Miał pojechać do Moskwy – dotarł tam w czerwcu 1918 r. – z zadaniem nawiązania kontaktów z francuską misją wojskową, poinformowania jej o antyniemieckich zamierzeniach POW i z prośbą o wsparcie finansowe. Wieniawa miał też pomóc w przerzucie żołnierzy z rozbitych przez Niemców i zlikwidowanych korpusów polskich w Rosji, zmierzających do północnych portów, skąd mieli odpłynąć do Fran-

eprasa.pl ac2ccfad23

cji, by wstąpić tam w szeregi formującej się pod dowództwem Józefa Hallera armii polskiej.

W mieszkaniu, w którym miał spotkać się z francuskim oficerem, zastał Bronisławę Berenson, znajomą z paryskich czasów, żonę adwokata Leona Berensona. „Bolesław nie mógł darować jej, że psuła mu randki, ostrzegając panny przed żonatym uwodzicielem" – pisał Tadeusz Wittlin, jego dobry znajomy. „Moje ogłupienie i jej osłupienie – wspominał Wieniawa – odbiło się na nas w bliskiej przyszłości, dowodząc niezbicie, że od zdziwienia do podziwu jest groźnie blisko, od podziwu do miłości już tylko krok".

Moskiewska misja została przerwana aresztowaniem. Wieniawa wyratował się przed egzekucją, utrzymując, że jest obywatelem francuskim, ale swoje zwolnienie z więzienia zawdzięcza pani Berenson. Według jednej wersji miała ona namówić męża, broniącego za caratu wybitnych bolszewików, by, wykorzystując znajomości, wyciągnął Wieniawę zza krat.

Według samego Wieniawy Bronisława podszyła się pod przedstawicielkę polskich bolszewików, żądając od sekretarki zastępcy Dzierżyńskiego natychmiastowego zwolnienia uwięzionego. Emisariusz Śmigłego-Rydza wyszedł z „nory czerezwyczajki", nie wierząc własnemu szczęściu: „Z osłupienia wyrwał mnie dźwięk mojego nazwiska, wymówiony znajomym głosem. W dorożce przed więzienną bramą siedziała p. B., zapraszając mnie do siebie".

Czekały go niełatwa przeprawa do Polski i przejście frontu, co zrobił dzięki łapówkom. W listopadzie 1918 r. stawił się do dyspozycji Piłsudskiego i został jego adiutantem, a od jesieni 1920 r. był już adiutantem generalnym. W 1919 r. wziął ślub z Bronisławą Berenson. Gdy urodziła się im córka, ojcem chrzestnym Zuzanny został Piłsudski. W tym samym roku Marszałek włączył Wieniawę w skład delegacji Naczelnika Państwa udającej się do stolicy Francji. Wieniawa dostał zadanie przeprowadzenia rozmów z francuskimi władzami wojskowymi oraz z gen. Hallerem w sprawie przejazdu Armii Polskiej do kraju. Rozmawiał też z Romanem Dmowskim. Dwa lata później przygotowywał oficjalną wizytę Marszałka we Francji.

W 1923 r. Piłsudski, nie godząc się z dominacją endecji w życiu politycznym i ze zmarginalizowaniem swojej własnej roli, odszedł ze stanowiska szefa Sztabu Generalnego i zaszył się w dworku w Sulejówku. Wieniawa-Długoszowski, po przeniesieniu na rok w stan nieczynny – prawdopodobnie na własną prośbę, solidaryzując się z Marszałkiem – jak uważa Mariusz Wołos, autor biografii wojskowej Wieniawy, został delegowany na roczny kurs w Wyższej Szkole Wojskowej. W czasach gimnazjalnych był niesfornym uczniem, z którego temperamentem nauczyciele nie mogli sobie poradzić, więc często zmieniał szkoły. Teraz wykazywał się zaangażowaniem w nauce, pilnością i dyscypliną, kończąc kurs z bardzo wysoką lokatą. Został następnie skierowany do Inspektoratu Armii nr II, na stanowisko pierwszego referenta.

W listopadzie 1925 r. do Sulejówka przybyło kilkuset oficerów, a gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, przyjaciel Wieniawy z legionowej kawalerii, wygłosił przemówienie niedwuznacznie wzywające Marszałka, by wziął władzę w swoje ręce: „Nosimy ci oprócz gorących serc także zaprawione w boju szable". Mariusz Wołos uważa Wieniawę za jednego z organizatorów tej demonstracji. Odegrał on też ogromną rolę w planowaniu przewrotu majowego, przygotowując psychiczne – jak pisał Jacek Majchrowski – legionistów i innych sympatyków Marszałka w wojsku na wydarzenia, które miały nadejść.

W koszarach i w kawiarniach

Po przewrocie majowym przed Wieniawą roztoczyło się wiele możliwości kariery, tyle że on jej nie pragnął. Piłsudski miał podobno widzieć go jako szefa MSZ, Wieniawa – zawsze posłuszny Marszałkowi – jednak odmówił. „Komendancie. Na dyplomatę nie nadaję się zupełnie – miał oświadczyć. –W kawalerii można robić czasami głupstwa, ale nigdy świństwa, w dyplomacji na odwrót: czasem świństwa, ale nigdy głupstwa" (cyt. za: T. Wittlin).

Nie pragnął także kariery w wojsku; odmówił objęcia dowództwa brygady kawalerii, poprzestając na dowodzeniu (do 1927 r.) 1. Pułkiem Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego. Był – jak podkreślają jego biografowie – dobrym dowódcą, dbającym o żołnierzy i ich wyszkolenie. Z woli Piłsudskiego musiał w końcu przyjąć awans na dowódcę brygady kawalerii. W 1932 r. został generałem brygady. Po tym awansie Wieniawa miał zamówić bilety wizytowe: „Generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Były pułkownik". Mariusz Wołos zauważał, że podczas ćwiczeń i gier wojennych Wieniawa nie spisywał się najlepiej.

Wieniawę wiązano ze „zniknięciem" gen. Włodzimierza Zagórskiego, skonfliktowanego z Piłsudskim w czasach legionowych i aktywnego uczestnika walk majowych po stronie rządowej. Zagórski, aresztowany po przewrocie majowym i zwolniony w sierpniu 1927 r., w dniu przyjazdu do Warszawy z więzienia w Wilnie zaginął. Oficerowie, którzy odbierali go



Bolesław Wieniawa-Długoszowski (z lewej) podczas Balu Szwoleżerów, 1932 r. FOT. NAC

eprasa.pl ac2ccfad23



Bolesław Wieniawa-Długoszowski, autor scenariusza filmu „Ułani, ułani, chłopcy malowani", z aktorami Adolfem Dymszą, Zulą Pogorzelską i Kazimierzem Krukowskim FOT. NAC

z warszawskiego dworca, przyjechali autem będącym w dyspozycji Wieniawy. Prawie pewne jest, że Zagórski został zamordowany przez piłsudczyków, bez wiedzy Marszałka. Spytany po latach o Zagórskiego przez płk. Mariana Romeykę, Wieniawa powiedział: „Panie, czy wie pan, że mnie oskarżają, żem zabił Zagórskiego? Ja? Ja? Przysięgam, ja go nie zabiłem".

Nie wiemy, jak Wieniawa-Długoszowski, dla którego honor i godność osobista były najważniejszym wartościami, zareagował na brutalne rozprawienie się Piłsudskiego w 1930 r. z opozycją i podłe potraktowanie jej polityków w więzieniu wojskowym w twierdzy brzeskiej. Czy był tym zszokowany czy też jednak tłumaczył sobie, że cokolwiek robi Marszałek, jest dobre dla Polski?

Czas dzielił między obowiązki służbowe i życie towarzyskie. Przesiadywał w kawiarni Ziemiańskiej z przyjaciółmi skamandrytami: Julianem Tuwimem, Janem Lechoniem i Antonim Słonimskim. Był bohaterem pisanych przez nich satyrycznych szopek. Dzięki swojemu czarowi i poczuciu humoru, towarzyszącym jego wybitnej inteligencji, a także wybrykom – jak na kawalerzystę przystało – stał się niezwykle popularną postacią w Warszawie, ówczesnym celebrytą. Przypisywano mu słowa: „Panowie, skończyły się żarty, zaczęły się schody", które miał rzekomo wypowiedzieć, gdy wychodził po biesiadzie w Adrii, a także wjechanie do tej restauracji konno, co jednak było – jak zauważał Tadeusz Wittlin – niemożliwe technicznie: koń nie przeszedłby przez wejście.

Biesiadne życie Wieniawy wiązało się z alkoholem. „Wszyscy chcieli mu stawiać, a on, mając tyle talentów, nie miał talentu do odmawiania" – stwierdzał Waldemar Łysiak w „Wyspach bezludnych". A gdy przesadził z ilością trunku, potrafił być uciążliwy i nieznośny. Jeden z biografów napisał, że to nie Wieniawa szukał wódki, lecz ona szukała jego. Podobnie było z kobietami. „W chwilach smutku Długoszowski pocieszał się kobietami. Lecz nie uganiał się za nimi. To one dobijały się do niego […]. Romansem z nim chwaliły się nawet kobiety, które Wieniawy nie znały, lecz pragnęły dać do zrozumienia, że przeżyły z nim miłosną przygodę" – pisał Tadeusz Wittlin.

Do 1931 r. Wieniawa był uczestnikiem narad Piłsudskiego z najważniejszymi politykami obozu rządzącego – choć sam politykiem nie był. Jednak tamtego roku jeden z uczestników tych spotkań, Kazimierz Świtalski, zapisał w diariuszu, że grono to spotyka się nadal, lecz wypadł z niego Wieniawa. Niemniej jednak Piłsudski wysłał go do Paryża w 1933 r. na rozmowy sondażowe, gdyż chciał się dowiedzieć, jaka jest rzeczywista wartość sojuszu polsko-francuskiego.

Wieniawa-Długoszowski był świadkiem ostatnich chwil życia Marszałka. Dzień przed jego śmiercią usiłował rozbawić umierającego anegdotkami i wesołymi historyjkami. Nie oszczędził sobie ciężkiego przeżycia – uczestnictwa w sekcji zwłok Piłsudskiego, wyjmowaniu jego serca i balsamowaniu ciała. Do końca chciał być przy Marszałku. Powszechną uwagę zwracała twarz Wieniawy podczas pogrzebu, ściągnięta bólem. Jan Lechoń pisał: „Kiedy Piłsudski umarł, Wieniawa jechał na czele nocnego widmowego konduktu i wyglądał tak, że w oczach jego każdy, nawet najbardziej nieczuli prześmiewcy czytali ową grecką tragedię, która kryła się dla naszego narodu w tej śmierci".

Wieniawa został przewodniczącym wydziału wykonawczego Komitetu Uczczenia Pamięci Marszałka Piłsudskiego i w tej roli nadzorował m.in. złożenie serca swojego wodza na Rossie w Wilnie wraz z trumną matki. Na jednym z posiedzeń komitetu powiedział o Marszałku: „On przerósł przeszłość naszą i teraźniejszość i zapewne długo jeszcze – bardzo długo – nad przyszłością górować będzie".

Ambasador

W 1938 r. Bolesław Wieniawa-Długoszowski został ambasadorem we Włoszech. Z jednej strony było to zesłanie, gdyż wielu, na czele z marszałkiem Śmigłym-Rydzem, nie chciało go mieć w Warszawie. Nowa ekipa odsuwała ludzi najbliższych Piłsudskiemu, wśród nich również Walerego Sławka, którego Marszałek najprawdopodobniej widział jako następnego prezydenta Rzeczypospolitej. Z drugiej jednak strony minister Józef Beck chciał mieć swojego zaufanego człowieka w Rzymie. Wieniawa zgodził się na objęcie placówki w stolicy Włoch. „Wpływ na to – pisał Jacek Majchrowski o nominacji ambasadorskiej – miała postawa zajęta przez Wieniawę podczas pobytu na czele delegacji wojskowej we Włoszech oraz jego opinie, w których po powrocie do kraju nie krył swego zachwytu dla postępów faszyzmu w tym kraju. I choć nie można było go uważać za zwolennika faszyzmu, co zresztą wyraźnie wynika z jego późniejszych raportów, był niewątpliwie zauroczony Italią, a w szczególności jej kulturą". Nominacja na stanowisko ambasadora spowodowała ważny zwrot w życiu Wieniawy – zupełnie przestał odtąd pić.

Wyznaczenie przez prezydenta Ignacego Mościckiego Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego na jego następcę mogło wywołać zdumienie wśród tych, którzy widzieli w nim lekkoducha, postać ciekawą, ale trochę niepoważną. A jednak nominacja ta była trafna. Mało kto jak Wieniawa, ze swoim poczuciem godności, honoru, wierności polskiej racji stanu podczas wojny, nadawał się na stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej. Sprzeciw Francji – nie bez wpływu Władysława Sikorskiego – uniemożliwił mu jednak objęcie stanowiska.

Od października 1939 r. ambasador Wieniawa-Długoszowski miał dużo

eprasa.pl ac2ccfad23

pracy. Ten rozdział należał do najważniejszych i najszczytniejszych dokonań w jego życiu. Wykorzystując bardzo dobre stosunki z władzami włoskimi, na czele z Galeazzo Ciano, ministrem spraw zagranicznych, z którym był zaprzyjaźniony, zrobił bardzo wiele, by tysiące polskich żołnierzy – a także uchodźców – mogło przedostać się bez przeszkód przez terytorium Włoch, sojusznika III Rzeszy, do formującej się we Francji armii polskiej. „Mój caro Wieniawo, proszę liczyć na mnie" – mówił nieznoszący Niemców Galeazzo Ciano do polskiego ambasadora, jak relacjonował Wieniawa płk. Marianowi Romeyce.

Riverside Drive

Do likwidacji polskiej ambasady doszło w czerwcu 1940 r. Proponowano Wieniawie pozostanie wraz z rodziną, on jednak się nie zgodził się. Byłby tylko emigrantem, a chciał nadal służyć Polsce. Po przybyciu do Lizbony dowiedział się, że został zwolniony ze służby państwowej przez premiera Władysława Sikorskiego. Nie bez trudności uzyskał tranzytową wizę amerykańską. W Nowym Jorku pracował jako korektor i redaktor w „Dzienniku Polskim", wysyłając prośby do premiera Władysława Sikorskiego o umożliwienie mu powrotu do wojska lub mianowanie go delegatem Naczelnego Dowództwa, ewentualnie przedstawicielem wojskowym rządu w Stanach Zjednoczonych. Poza służbą wojskową Wieniawa nie wyobrażał sobie życia, lecz Sikorski nie zgodził się na to.

W 1942 r. Wieniawa został mianowany ambasadorem RP na Kubie. Przyjął nominację, chcąc w jakikolwiek sposób służyć sprawie Polski, a także z troski o zabezpieczenie bytu żonie i córce. Jednak zapewne zrobił to z goryczą. Cóż bowiem mógł zdziałać dla Polski na karaibskiej wyspie? Ciążyło mu też to, że środowisko piłsudczyków z niedowierzaniem i wielką niechęcią przyjęło jego zgodę na objęcie ambasady z rąk rządu gen. Sikorskiego, antagonisty Marszałka. Marian Romeyko wspominał, że Henryk Floyar-Rajchman, jeden z wybitnych piłsudczyków przebywających w Stanach Zjednoczonych, powiedział mu: „Pytasz o Wieniawę… Ten człowiek musiał zejść z tego świata… dobrowolnie… świadomie, po tym, co uczynił. Co uczynił? Zdradził, zdradził. On, Wieniawa, człowiek najbliższy Komendantowi, ten jego ukochany, ten jego »Bolek«, jego powiernik, zdradził swego wodza. Porozumiał się, pogodził się z największym wrogiem Komendanta… Wieniawa sam też rozumiał, zrozumiał dobrze… Szkoda, że za późno, bo musiał zrozumieć, że za to musi zapłacić. Tak, zapłacić! Zapłacić swoim życiem! Wykupić się z tej hańby! Dokonał tego i dlatego jego pamięci powinny być przywrócone wszelkie honory".

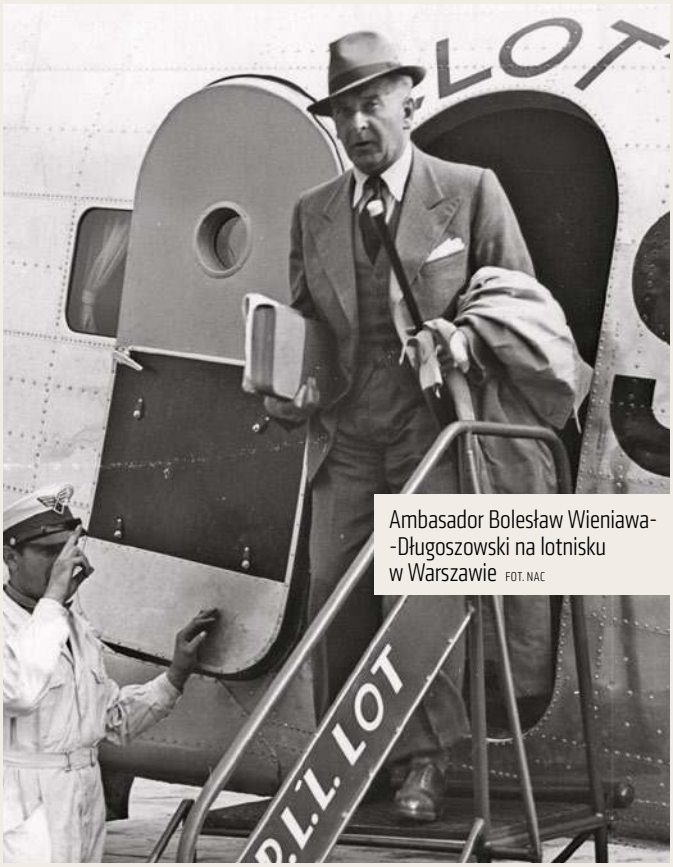
Floyar-Rajchman nie chciał jednak pamiętać, że w sierpniu 1941 r. Wieniawa napisał do niego dramatyczny list zapowiadający samobójstwo. Pisał w nim, że za największą krzywdę uważa to, że nie pozwolono mu służyć w wojsku, a on przecież zawsze i do końca uważa się za żołnierza. „Zabija mnie jakaś psychiczna choroba, wynikła z wszystkich przejść i poczucia, że na terenie tutejszym pracy dla siebie znaleźć nie mogę i nie potrafię. Nie potrafię Ci także wytłumaczyć mojego stanu. Bliski jestem obłąkania. Dlatego muszę umrzeć" (cytat za T. Wittlin).

Wieniawa nie mógł pogodzić się z klęską Polski. Boleśnie przeżywał, że w tak trudnych czasach dla Polski został skazany na bezczynność i mógł być tylko biernym obserwatorem wydarzeń.

Zanim 1 lipca 1943 r. wyszedł na balkon nowojorskiego mieszkania przy Riverside Drive, z którego skoczył na bruk, tuż przed planowanym wyjazdem na Kubę. Napisał pożegnalny list: „Myśli plączą mi się po głowie i łamią jak zapałki lub słoma. Nie mogę spamiętać najprostszych nazw miejscowości, nazwisk ludzi oraz prostych wypadków z mego życia. Nie czuję się w tych warunkach na siłach reprezentować Rządu, gdyż miast pożytku mógłbym zaszkodzić sprawie. Zdaję sobie sprawę, że popełniam zbrodnię wobec żony i clerku, zostawiając je na pastwę losu i obojętnych ludzi. Proszę Boga o opiekę nad nimi".

Ostanie zdanie napisane przez Wieniawę brzmi: „Boże, zbaw Polskę".

W 1990 r. prochy generała dywizji Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego zostały przewiezione do ojczyzny i złożone w kwaterze legionistów na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.



Ambasador Bolesław Wieniawa-Długoszowski na lotnisku w Warszawie FOT. NAC

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

CYTOWANA LITERATURA:

Dworzyński W., ***„Wieniawa. Poeta, żołnierz, dyplomata"***; *Dworzyński W., Wołos M.*, ***„Generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Biografia wojskowa"***; *Majchrowski J.*, ***„Ulubieniec Cezara. Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Zarys biografii"***; *Romeyko M.*, ***„Wspomnienia o Wieniawie i rzymskich czasach"***; *Wieniawa-Długoszowski B.*, ***„Wymarsz i inne wspomnienia"***; *Wittlin T.*, ***„Szabla i koń".***

eprasa.pl ac2ccfad23



Piotr Włoczyk
z miasta Meksyku

Cudowny wizerunek połączył dwa światy: Azteków i Hiszpanów, sprawiając, że kolonizatorzy inaczej patrzyli na podbitą ludność. Nie sposób zrozumieć dzisiejszego Meksyku bez poznania tej historii



Pielgrzymi na placu przed starą bazyliką w mieście Meksyku (Mexico City) FOT. PIOTR WŁOCZYK

XVI w. / Cud na wzgórzu Tepeyac

Tilma, która stworzyła Meksyk

W centrum tej historii jest obraz, który na zdrowy rozum powinien się rozpaść w pył już ponad 400 lat temu. Nauka wciąż nie wyjaśniła też, w jaki sposób ten wizerunek znalazł się na tkaninie; badacze wykluczyli bowiem wszystkie znane człowiekowi techniki malarskie.

Ten cud sprawił, że dla Meksykanów nie ma ważniejszego miejsca niż bazylika, w której wywieszony jest – za pancerną szybą – obraz nazywany często autoportretem Maryi. Nawet monumentalny stołeczny Plac Zócalo, z przepiękną katedrą, pałacem prezydenckim i pozostałościami azteckiej świątyni Templo Mayor, nie może się z nim równać. Sanktuarium Matki Bożej z Guadalupe w mieście Meksyku (znanym na świecie jako Mexico City) nawet w dni powszednie ściąga nieprzebrane tłumy. Każdego roku w połowie grudnia, w kolejną rocznicę cudu, do bazyliki przybywa nawet kilkanaście milionów wiernych. W grudniu zeszłego roku pobity został rekord wszech czasów. Zaledwie w ciągu dwóch dni, 11 i 12 grudnia, sanktuarium odwiedziło 12,8 mln (!) ludzi. Istne morze ludzi każdego roku paraliżuje w tym okresie północną część tego gigantycznego, 22-milionowego miasta.

Nawet w zwykłą niedzielę sanktuarium pełne jest wiernych. Aby ułatwić wszystkim zobaczenie z bliska cudownego obrazu, zainstalowano pod nim ruchome chodniki – w ten sposób ruch odbywa się płynnie i każdy ma szansę spędzić pod obrazem tyle samo czasu. Gdy odwiedzam bazylikę i zmierzam bocznym wejściem w kierunku obrazu, kończy się właśnie Msza Święta. Zespół muzyczny odgrywa „La Guadalupanę" – pełną ludowych rytmów pieśń będącą wyznaniem miłości Meksykanów wobec ich Pani.

– Dla mnie, jako Meksykanki, Matka Boża z Guadalupe daje nam tożsamość, a także wyróżnia nas – mówi mi María Alemán, 43-letnia psycholog mieszkająca w mieście Meksyku. – Matka Boża z Guadalupe jest dla wielu Meksykanów symbolem, który nas jednoczy; wykracza poza ideologie czy religie i stanowi część naszej historii.

– Kiedy mam chwile zwątpienia, zawsze uciekam się do naszej Pani z Guadalupe – mówi mi Adrian Villaseñor, 42-letni pielęgniarz, który mieszka tuż przy bazylice. – Widzimy w Jej oczach litość, współczucie i zrozumienie, które jest nam niezbędne w czarnych chwilach.

Patronka Ameryk

Jej „autoportret" – widoczny w Meksyku na każdym kroku – jest właściwie nieoficjalnym godłem tego kraju. To właśnie z Matką Bożą z Guadalupe na sztandarach meksykańscy księża rozpoczęli w 1810 r. bój o niepodległość. Sto lat później tutejsi katolicy wznosili ten

eprasa.pl ac2ccfad23

sam sztandar w walce obronnej przed straszliwymi prześladowaniami, które spotykały ich ze strony lewicowego rządu. Potwierdzając kult, którym otoczona jest w Ameryce Łacińskiej Matka Boża z Guadalupe, Jan Paweł II ogłosił Ją w 1999 r. patronką obu Ameryk.

– Nie sposób zrozumieć Meksyku bez poznania historii wizerunku Matki Bożej z Guadalupe. To Ona stworzyła ten naród – powiedział w rozmowie ze mną ks. dr Eduardo Chávez, znawca historii meksykańskiego Kościoła katolickiego. Duchowny pełnił funkcję postulatora procesu kanonizacyjnego Juana Diego, meksykańskiego świętego – kanonizowanego w 2002 r. przez Jana Pawła II – który jest centralną postacią tej niezwykłej historii.

Spotkaliśmy się z ks. dr. Eduardem Chávezem w cieniu pomnika Jana Pawła II, wzniesionego pomiędzy dwiema bazylikami: starą, rozpadającą się z powodu niestabilności gruntu, i nową, mogącą pomieścić nawet 10 tys. wiernych. Obie świątynie leżą u podnóża wzgórza Tepeyac, będącego dla Meksykanów tym, czym dla Polaków jest Jasna Góra. Ksiądz doktor Eduardo Chávez, rozpoczynając opowieść o cudzie z Tepeyac, podkreśla, jak ważny jest kontekst historyczny, w którym doszło do tego objawienia. Zaledwie dekadę wcześniej Hernán Cortés na czele garstki żołnierzy podbił potężne państwo Azteków.

– Gdy pojawili się tu Europejczycy, dla Indian był to istny koniec świata. Miejscowa ludność widziała, jak jedna po drugiej padają stare świątynie, jak konkwistadorzy mordują Indian. W tamtym okresie doszło tu też do wybuchu epidemii przywleczonej z Europy, która zabiła połowę ludności autochtonicznej. Ta plaga zmieniła mentalność Indian. Nie mieli oni nadziei na lepsze jutro, tym bardziej że w 1530 r. doszło do trzech trzęsień ziemi. Indianie czekali tylko na czwarte trzęsienie, które według ich mitologii miało być początkiem końca ich świata – opowiadał ks. dr Eduardo Chávez. – Konkwistadorzy byli bezlitośni: interesowało ich tylko złoto. Robili wszystko, by ograniczyć nawracanie Indian, ponieważ ochrzczonych ludzi nie mogli wykorzystywać tak łatwo jako niewolników. Z tego powodu konkwistadorzy próbowali nawet zamordować pierwszego biskupa Meksyku, Juana de



Juan Diego pokazuje duchownym tilmę z wizerunkiem Matki Bożej FOT. PIOTR WŁOCZYK

Zumárragę, który starał się tu szerzyć wiarę chrześcijańską. Tamten okres to ogromny dramat w historii tego kraju. Biskup Zumárraga napisał wówczas do króla Hiszpanii: „Jeżeli Bóg nie zainterweniuje, to ta ziemia już niedługo będzie stracona". Ale to, co zdarzyło się na tym wzgórzu między 9 a 12 grudnia 1531 r., na zawsze zmieniło oblicze tej ziemi – podkreślał ks. dr Chávez.

Seria cudownych zdarzeń rozpoczęła się w sobotę 9 grudnia 1531 r. Juan Diego, 57-letni niedawno ochrzczony Indianin, jak co sobotę szedł ze swojej wioski na katechezę do pobliskiego kościoła. Przechodząc przez wzgórze Tepeyac, usłyszał wołanie. – To była Matka Boża, która objawiła się temu, jakże prostemu człowiekowi. Poprosiła go, żeby przekazał biskupowi Meksyku Jej życzenie: Maryja chciała, by Juan de Zumárraga zbudował dla niej kościół na tym wzgórzu – opowiada ks. dr Chávez.

Fala nawróceń

Nic dziwnego, że bp Zumárraga nie dał wiary zapewnieniom prostego Indianina, który twierdził, że jest posłańcem Matki Bożej. Hierarcha poprosił go o konkretny dowód. Podczas kolejnego spotkania z Juanem Diego Maryja zgodziła się na przekazanie biskupowi dowodu. Indianin został przez Nią wysłany na szczyt wzgórza Tepeyac, z którego miał Jej przynieść w swojej tilmie – płaszczu indiańskim wykonanym z włókien agawy – bukiet kwiatów. Z racjonalnego punktu widzenia było to zadanie nie do wykonania – w grudniu w stolicy Nowej Hiszpanii (jak nazywały się wówczas te tereny) na takiej wysokości nie sposób znaleźć kwiatów. A jednak Juan Diego znalazł je i pospieszył do biskupa, aby pokazać mu dowód. Chcąc wysypać kwiaty, Juan Diego rozwinął swoją tilmę. W tym momencie wszyscy świadkowie tego wydarzenia, włącznie z biskupem, padli na kolana. Na tilmie odciśnięty został bowiem wizerunek, który do dziś – blisko 500 lat po objawieniu – można oglądać w sanktuarium. Wieść o cudownym obrazie lotem błyskawicy rozniosła się wśród miejscowej ludności.

Juan Diego zamieszkał w chacie przy nowej świątyni ufundowanej przez biskupa i opowiadał rzeszom swoich pobratymców niezwykłą historię, która wydarzyła się na tym wzgórzu. Tilma z wizerunkiem Matki Bożej okazała się w jego rękach potężnym narzędziem ewangelizacyjnym. W ciągu kolejnych ośmiu lat (do 1539 r.) nawróciło się ok. 9 mln autochtonów. – Ta fala nawróceń nie ma sobie równej w historii Kościoła. W tym obrazie zapisany był kod, który otworzył serca Indian. To wtedy narodził się Meksyk – tłumaczy ks. dr Chávez.



Wizerunek Matki Bożej z Guadalupe na tilmie FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Gerónimo de Mendieta, franciszkanin, który był świadkiem nawróceń Indian, tak wspominał tamten okres: „Na początku przychodzili w grupach po dwieście osób, potem po trzysta, cały czas przyrastając w ilości, aż osiągnęli tysiące. Niektórzy mieli za sobą dwudniową podróż, inni trzydniową [...], a jeszcze inni przychodzili nawet z dalszych miejsc. To wyzwalało podziw u tych, którzy ich widzieli. Przychodzili starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni,

eprasa.pl ac2ccfad23

zdrowi i chorzy. Starsi ochrzczeni przyprowadzali swoje dzieci na chrzest, a ochrzczone dzieci przyprowadzały swoich rodziców; mąż przyprowadzał swoją żonę, a żona męża [...]. W czasie chrztu wielu z nich przyjmowało ten sakrament ze łzami w oczach".

Co takiego niezwykłego dostrzegli Indianie w tym wizerunku? Wśród wielu elementów nawiązujących do kultury indiańskiej najbardziej rzucają się w oczy promienie słoneczne.

– Na tym wizerunku Matka Boża zakrywa słońce, jasno dając do zrozumienia, że to koniec jego kultu. Indianie doskonale to zrozumieli. W rozmowach z księżmi katolickimi zwracali uwagę, że musi to być bardzo ważna kobieta, skoro zakrywa sobą słońce i stoi na księżycu – to również był dla nich bardzo ważny symbol. Jej oblicze jest jednak bardzo skromne, co sugerowało Indianom, że jest ktoś ważniejszy od Niej – Jezus Chrystus – wyjaśniał ks. dr Chávez. – Matka Boża, przemawiając do św. Juana Diego, uwolniła Indian od bożków i wskazała im prawdziwego Boga. Juan Diego rozpowszechnił jej słowa wśród swoich pobratymców. W ten sposób doszło do masowych nawróceń. Matka Boża idealnie trafiła ze swoim przesłaniem w serca ludności rdzennej tych terenów. Wciąż dochodziło na tej ziemi do wielu nieprawości, ale ludzie mieli przynajmniej nadzieję. Bez tego cudu w niedługim czasie wszystko byłoby tu stracone.

Wizerunek z tilmy przemawiał jednak również niezwykle mocno do Hiszpanów: w Apokalipsie św. Jana (rozdział 12) mowa jest wszak o niewieście obleczonej w słońce, z księżycem pod stopami. Cud, który rozpoczął wielkie nawrócenie Indian, trafił w ten sposób także do serc i umysłów ludzi z europejskiego kręgu kulturowego.

Również sama nazwa „Matka Boża z Guadalupe" wywoływała u Hiszpanów konkretne skojarzenie. Sama Matka Boża w czasie objawienia nazwała siebie „Santa Maria de Guadalupe". Wyrażenie to nie ma żadnego związku z indiańskim światem. Ta nazwa brzmiała za to znajomo w uszach Hiszpanów: Guadalupe to miejscowość w Hiszpanii, która zawdzięcza swoją nazwę Arabom. Można ją przetłumaczyć jako „rzekę miłości".

Jedną z najważniejszych cech tego obrazu jest to, że twarz Matki Bożej z Guadalupe nie przedstawia ani Hiszpanki, ani Indianki. To twarz Metyski, zapowiadająca przyszłe wymieszanie krwi Hiszpanów z rdzenną ludnością. Stąd też ten wizerunek Maryi nazywany jest Morenitą z Tepeyac. W ten sposób to objawienie stało się pomostem między oboma światami – hiszpańskim i indiańskim – łagodząc tym samym traumę konkwisty.

Odciśnięty obraz

Sceptycy od setek lat próbują dowieść – tak samo jak w przypadku Całunu Turyńskiego – że święty dla Meksykanów obraz to w rzeczywistości jedynie dzieło sztuki namalowane ludzką ręką. Jak jednak podkreśla ks. dr Chávez, do dziś nauka nie jest w stanie wyjaśnić, jak doszło do jego powstania.

– To nie jest dzieło sztuki namalowane ręką człowieka. Nie ma tam żadnych śladów farby ani pozostałości po użyciu jakiejkolwiek techniki malarskiej. Ten wizerunek jest odciśnięty na tilmie w cudowny sposób. Co ciekawe, jeszcze w XVI w. starano się „upiększyć" obraz, dodając koronę, ale dziś nie ma już po tym śladu, ponieważ „ludzka" farba odpadała – nie wytrzymała próby czasu i zetknięcia z naszym klimatem – mówi ks. dr Chávez. – Najbardziej niesamowite jest jednak to, że tkanina z wizerunkiem już dawno powinna się rozpaść w pył – ten typ tkaniny z agawy może w naszym klimacie przetrwać maksymalnie 20 lat. A cudowny wizerunek Matki Bożej z Guadalupe liczy sobie już blisko 500 lat!

O ile dziś tilma św. Juana Diego przechowywana jest w specjalnych warunkach, o tyle przez setki lat wizerunek ten wystawiony był na widok wiernych bez żadnej ochrony, a mimo to dotrwał do naszych czasów w świetnym stanie. Jakby tego było mało, wizerunek Matki Bożej z Guadalupe przetrwał nawet w 1921 r. zamach bombowy przeprowadzony przez antyklerykała, który poważnie zniszczył ołtarz w „starej" bazylice.

„Jest on chyba największym maryjnym cudem w historii świata. O tym obrazie możemy śmiało mówić jako o Autoportrecie. Przecież stworzyła go sama Maryja – na nietrwałym płótnie utkanym z włókien kaktusa przedstawiła samą siebie – pisze Wincenty Łaszewski w swojej książce »Historia Objawień Maryjnych. Tom 1«. – Miguel Cabrera, XVIII-wieczny artysta, najsłynniejszy malarz kolonialny tamtych lat, zdumiewał się, że tak doskonały obraz powstał na nienadającym się do malowania materiale, więcej – bez nałożenia podkładu. Dodawał, że technika, jaka została użyta do nałożenia złotego wzoru na tunice, jest niewytłumaczalna [...]. Dwieście lat później okazało się, że problem nie ogranicza się do samych technik, ale i do rodzaju użytych farb. W 1936 r. chemik niemiecki Richard Kuhn, późniejszy laureat Nagrody Nobla, analizując włókna z tkaniny, stwierdził, że nie są one pomalowane; po prostu są kolorowe! Kuhn odkrył coś jeszcze: okazało się, że barwy włókien nie są pochodzenia zwierzęcego, ani roślinnego, ani mineralnego. Czyżby były syntetyczne? Ale barwniki syntetyczne wynaleziono dopiero po 1958 r., ich obecność na tilmie jest więc absolutną anomalią!".



Pielgrzymi przed cudownym wizerunkiem Matki Bożej z Guadalupe FOT. PIOTR WŁOCZYK

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2ccfad23

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA Z TERESĄ ROMER ROZMAWIA MICHAŁ LEWANDOWSKI: „CZUJĘ SIĘ UPRZYWILEJOWANA"

Czuję się uprzywilejowana

Ilość archiwaliów niezbadanych i wymagających opracowania wciąż przyprawia o zawrót głowy. Uwaga uczonych skupia się zwykle w większym stopniu na tego rodzaju źródłach „poważnych", a tymczasem gdzieś z boku na głos cierpliwie czekają świadkowie Historii. Ich świadectwa są nie mniej ważnie od urzędowych protokołów, raportów i sprawozdań. Badacze zainteresowani dziejami emigracji polskiej po roku 1939 coraz częściej wykorzystują konwencję „książek mówionych".

Wyścig z czasem trwa. Ostatni świadkowie Historii odchodzą cicho i niepostrzeżenie. Coraz trudniej znaleźć nie tylko uczestników tamtych wydarzeń, ale również ich bliskich krewnych, którzy w sposób świadomy przeżywali tę Historię z nimi.

Do osobistych świadectw bezwzględnie zasługujących na bycie usłyszanymi i zapamiętanymi należy opowieść pani Teresy Romer. Historykom dokumentującym dzieje polskiej emigracji jest to postać doskonale znana. Wszak to głównie dzięki jej wysiłkom pamięć o zasługach Tadeusza Romera jest powoli przywracana, a jego wkład w kształtowanie polskiej polityki zagranicznej w trudnych latach II wojny światowej zyskuje należyte uznanie. Córka polskiego dyplomaty od wielu lat niestrudzenie przypomina pracę ojca na rzecz utrzymania ciągłości państwowości polskiej po katastrofie wrześniowej oraz jego heroiczną walkę o ratunek dla uchodźców polskich i żydowskich na Dalekim Wschodzie.

(fragment Przedsłowia)



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

170 zł

oszczędność 44 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ac2ccfad23



Ekspozycja Tkaniny w muzeum w Bayeux

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BEAT RUEST

Wieki XI–XXI / Przygody słynnego gobelinu

Swastyka nad Tkaniną z Bayeux



Anna Szczepańska

Po zajęciu Francji Niemcy żywo zainteresowali się XI-wiecznym haftowanym płótnem pokazującym podbój Anglii przez Wilhelma Zdobywcę. Dlaczego nazistowska organizacja Ahnenerbe skupiła na nim swoją uwagę?

Niewiele tylko przesadzając, można powiedzieć, że na ten moment Wyspy Brytyjskie czekały dziewięć wieków. W drugiej połowie tego roku Tkaninę z Bayeux będzie można w końcu obejrzeć na terenie Zjednoczonego Królestwa. Francja do tej pory wielokrotnie odmawiała Brytyjczykom, którzy chcieli wypożyczyć to arcydzieło, będące zarazem kronikarskim zapisem. Dla dziejów Anglii Tkanina z Bayeux to bodaj jedno z trzech najważniejszych źródeł historycznych, obok Domesday Book i Wielkiej Karty Swobód. Wystawa w British Museum, na której zaprezentowany zostanie gobelin, będzie otwarta dla zwiedzających od września 2026 r. do lipca 2027 r. i z całą pewnością przyciągnie setki tysięcy Brytyjczyków. Muzeum już teraz szykuje się na ich przyjęcie. O tym, jak cenny jest ten haftowany zabytek, niech świadczy choćby to, że rząd Wielkiej Brytanii ubezpieczył go na kwotę 800 mln funtów na czas wystawiania w Londynie.

Informacja o wypożyczeniu tkaniny już kilka miesięcy temu wywołała po drugiej stronie Kanału La Manche spore poruszenie. Co ciekawe, w zeszłym roku głośno było o tym zabytku z jeszcze jednego powodu: fragment tkaniny odnaleziono w niemieckim muzeum w Szlezwiku-Holsztynie. Jak się tam znalazł? Wszystko zaczęło się w czasie drugiej wojny światowej. Ta tajemnicza historia związana jest z nazistowską organizacją Ahnenerbe, która znajdowała się pod bezpośrednim nadzorem Heinricha Himmlera.

70 metrów haftu

Zwycięstwo Wilhelma Zdobywcy pod Hastings w 1066 r. wpłynęło nie tylko na historię Anglii. Wygrana Normanów i śmierć ostatniego anglosaskiego króla, Harolda II Godwinsona, trwale zmieniły układ sił w Europie. Od tamtej pory, aż do końca serii konfliktów zwanych wojną stuletnią, pochodzący z Normandii królowie angielscy rządzili nie tylko Wyspami Brytyjskimi, lecz także częścią ziem znajdujących się w domenie króla Francji.

Historia podboju Anglii przez Wilhelma Zdobywcę i jego normańskich wojow-



eprasa.pl ac2ccfad23



Wilhelm Zdobywca

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BEAT RUEST

ników została doskonale opowiedziana na Tkaninie z Bayeux. Dzieło to powstało prawdopodobnie ok. 1070 r. w Normandii. Nie wiadomo, kim byli twórcy haftów, lecz z pewnością musieli to być ludzie związani z dworem Wilhelma. Niewykluczone, że osoby te pochodziły z Anglii, o czym świadczyłyby np. błędy w zapisie łacińskich słów znajdujących się na płótnie. Inna teoria mówi, że za wyhaftowanie tkaniny odpowiadają żona Wilhelma, Matylda Flandryjska, oraz jej damy dworu. Bardzo możliwe, że dzieło powstało na osobiste zlecenie Wilhelma Zdobywcy.

Gobelin przechowywano w katedrze w Bayeux w Normandii. Co ciekawe, od początku traktowano go dość „użytkowo", jako swego rodzaju narzędzie propagandy. Tkanina była wystawiana na widok publiczny, aby każdy mógł zapoznać się z historią podbojów słynnego wodza.

Tkanina z Bayeux ma imponujące rozmiary: 47 cm szerokości i niemal 70 m długości. Taki wymiar przyprawia o ból głowy wszystkich konserwatorów, gdyż bardzo trudno eksponować zabytek bez uszczerbku dla jego struktury. W Normandii rozbudowywane jest właśnie muzeum poświęcone tkaninie, gdzie będzie można prezentować ją w jednej, długiej sali (jego otwarcie zaplanowano na koniec 2027 r., w sam raz na 1000. rocznicę urodzin Wilhelma Zdobywcy).

Hafty na Tkaninie zostały wykonane w 10 kolorach przy użyciu wełnianej przędzy. W 1724 r. zabytek zyskał podszewkę. Tkanina z Bayeux składa się z trzech poziomych pasów. Górny i dolny mają po 7 cm szerokości, a środkowy – najważniejszy – 33 cm szerokości. Ukazano na nim 58 podpisanych scen ułożonych w porządku chronologicznym. Opowiadają one historię podboju Anglii przez Normanów: m.in. przybycie Wilhelma Zdobywcy do Brytanii, bitwę pod Hastings, śmierć anglosaskiego króla Harolda II i koronację Wilhelma. Na pasach górnym i dolnym ukazano różne motywy ikonograficzne: wizerunki zwierząt i istot fantastycznych, tj. smoki, gryfy i centaury. Na dolnym pasie znajdują się ponadto sceny z życia codziennego, np. jazda wozem, zasiew pola, orka, polowanie czy uczta. Wskazuje się, że na tkaninie uwieczniono wiele unikatowych szczegółów: zwyczaje kulinarne, rodzaje uzbrojenia i technik wojskowych oraz przedmioty, które nie przetrwały do naszych czasów.

Na zabytku przedstawiono łącznie 626 postaci ludzkich i 37 budynków (w tym klasztor Mont-Saint-Michel). Ciekawostką jest, że wyhaftowano też pojawienie się na niebie niezwykłego obiektu, a scenę opatrzono napisem: „ISTI MIRANT STELLA", czyli „Oni podziwiają gwiazdę". Obecnie wiemy, że chodziło o kometę Halleya, która była widoczna na północnym niebie w okolicach 20 marca 1066 r.



Wilhelm Zdobywca przybywa do Bayeux

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HS-AUGSBURG DE

Rewolucyjne barbarzyństwo

Przez kilkaset lat tkanina przeleżała nieniepokojona w katedrze Notre-Dame w Bayeux. Jedynie co pewien czas opiekujący się tym miejscem mnisi pokazywali zabytek wiernym. Nie wywoływał on jednak szczególnych emocji. Wszystko zmieniło się w XVIII w., gdy na gobelin zwrócił uwagę benedyktyński uczony, Bernard de Montfaucon. Wtedy tkanina przykuła uwagę kolejnych badaczy oraz antykwariuszy, zyskując sławę w całej Francji.

W 1792 r., gdy w kraju szalała rewolucja, bezcenny gobelin został skonfiskowany przez ówczesne francuskie władze. Tkanina została częściowo pocięta. Niektóre fragmenty użyto w celach dekoracyjnych, a inne zostały wykorzystane jako przykrycia do wozów. Byłby to zapewne koniec tego dzieła, gdyby

eprasa.pl ac2ccfad23



Kometa Halleya pokazana na tkaninie z Bayeux

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HS-AUGSBURG.DE

nie poświęcenie niejakiego Léonarda Leforestiera, prawnika pochodzącego z Bayeux. Dzięki niemu udało się odzyskać większość tkaniny (chociaż utracono m.in. sceny z koronacji Wilhelma), którą przekazano następnie historykom pracującym w Luwrze. W 1804 r. tkaninę wystawiono tam na widok publiczny. Był to pierwszy raz, kiedy gobelin pokazano poza Bayeux. Na początku lat 40. XIX w. zabytek przewieziono z powrotem do „rodzinnego" miasta, gdzie – tak jak przed laty – zawisł w miejscowej katedrze. Zanim jednak to nastąpiło, poddano go drobiazgowej renowacji. I znowu przez niemal 100 lat tkanina w spokoju leżała w katedrze. W 1885 r. brytyjscy eksperci wykonali kopię Tkaniny z Bayeux, która znajduje się w Reading Museum w Wielkiej Brytanii. Kopia pozostanie jednak tylko kopią.

Wywieziono ją z Bayeux w czasie drugiej wojny światowej – po raz kolejny do Luwru, ale zrobili to nie Francuzi, lecz Niemcy. W Paryżu gobelin miał zostać zabezpieczony, aby nie dostał się w ręce aliantów. Niemcy prowadzili w tej sprawie swoje własne badania, o czym za chwilę. Po zakończeniu wojny tkanina wróciła do Bayeux, gdzie na potrzeby jej konserwacji, a później ekspozycji powstało specjalnie zbudowane dla niej muzeum. W tym miejscu przechowywana jest do dziś.



Katedra w Bayeux, w której była przechowywana tkanina

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MBZT

Wielka Brytania od drugiej połowy XIX w. bezskutecznie zabiega o wypożyczenie gobelinu. Ponieważ jest on własnością państwa francuskiego, a nie muzeum z Bayeux, decyzje w jego sprawie podejmuje rząd. Francuskie władze długo wzbraniały się jednak przed wydaniem zgody na wypożyczenie Tkaniny na Wyspy Brytyjskie. Sprawa nabrała charakteru politycznego. Dla Anglików „proszenie się" o zgodę było upokarzające i Francuzi doskonale o tym wiedzieli. Nie wyobrażali sobie jednak, że „ich" gobelin miałby trafić na brytyjską ziemię. Z tego powodu decyzja Emmanuela Macrona, który w końcu pozwolił na wypożyczenie tkaniny, spotkała się z tak ogromnym oburzeniem społecznym. Na ręce prezydenta złożono wiele listów protestacyjnych, lecz klamka zapadła: latem 2026 r. tkanina pojawi się na wystawie w British Museum. Jednak najprawdopodobniej nie byłoby to możliwe, gdyby nie paląca potrzeba przebudowy dotychczasowego Bayeux Musée.

„Sonderauftrag Bayeux"

Sztuka i kultura od początku niezwykle interesowały nazistów. W swoich pseudobadaniach historycznych świadomie manipulowali oni dowodami i źródłami, konstruowali własne tezy, które miały pasować do obowiązującej ideologii. W ramach różnych projektów niemieccy naukowcy podróżowali po całym świecie w poszukiwaniu obiektów, które mogłyby stanowić dowody na aryjską supremację. Jednym z kierunków były północna Francja i jej normańskie (nordyckie) dziedzictwo.

Z tego powodu, kiedy wojska niemieckie zajęły Francję, od razu zainteresowano się XI-wiecznym gobelinem. Zabytkiem zajmowała się Ahnenerbe, grupa podlegająca SS, która badała tzw. aryjskie dziedzictwo kulturowe.

Organizacja została założona w 1935 r. jako Studiengesellschaft für Geistesurgeschichte, Deutsches Ahnenerbe (pol. Towarzystwo Badawcze nad Pradziejami Spuścizny Duchowej, Niemieckie Dziedzictwo Przodków). Dwa lata później jej nazwę zmieniono na Stowarzyszenie Badawczo-Dydaktyczne Dziedzictwo

eprasa.pl ac2ccfad23



Śmierć króla Harolda Godwinsona (Harolda II) w bitwie pod Hastings

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HS-AUGSBURG.DE

Przodków. Na początku 1939 r. Ahnenerbe włączono w struktury SS. Przynależność do organizacji wiązała się z elitarnością; jej członkowie byli starannie selekcjonowani. W czasie drugiej wojny światowej ludzie należący do Ahnenerbe sprawowali pieczę nad wywozem dzieł sztuki, zabytków, kolekcji muzealnych i bibliotecznych z terenów zajętych przez Niemców. W pierwszych miesiącach wojny to Ahnenerbe nadzorowało kradzież polskich zabytków i przewożenie ich do Rzeszy. Nawiasem mówiąc, organizacja zajmowała się nie tylko kulturą, lecz także czystym barbarzyństwem – Ahnenerbe żywo interesowało się eksperymentami medycznymi przeprowadzanymi na więźniach niemieckich obozów koncentracyjnych.

Zważywszy na profil działalności tej instytucji, nie dziwi, że opracowano w niej plan pod nazwą „Sonderauftrag Bayeux", czyli „Specjalna Operacja Bayeux". Celem badaczy skierowanych do programu miało być odczytanie z Tkaniny z Bayeux potwierdzenia dominującej w Niemczech teorii o wyższości rasy aryjskiej nad resztą świata.

W 1941 r. Tkanina została przewieziona do składnicy Muzeów Narodowych w Sourches, gdzie pozostawała do czerwca 1944 r. Wtedy, z racji coraz szybszych postępów wojsk alianckich, Niemcy postanowili wywieźć gobelin do Luwru. W stolicy Francji – po raz drugi w historii tkaniny – zorganizowano poświęconą jej wystawę. Można ją było oglądać od 10 listopada do 15 grudnia 1944 r.

Zanim jednak tkanina ponownie trafiła do Luwru, Niemcy przeprowadzili wiele badań, pobierając z niej nawet wycinki. Projekt „Sonderauftrag Bayeux" zakładał stworzenie studium gobelinu, które potwierdziłoby jego „wrodzony skandynawski charakter". Celem było przedstawienie tkaniny jako dowodu na wyższość wczesnośredniowiecznego ludu Normanów, których Ahnenerbe uznawało za przodków Aryjczyków.

Prace nad Tkaniną z Bayeux ruszyły na dobre w czerwcu 1941 r. Na czele zespołu naukowców wysłanego do Normandii stał Karl Schlabow, ekspert w dziedzinie tekstyliów i dyrektor Germańskiego Instytutu Kostiumów w Neumünster w Niemczech, który przy tej okazji został włączony w szeregi SS. Schlabow spędził dwa tygodnie w Bayeux i to on zdjął fragment tkaniny ze spodniej warstwy gobelinu, a później, prawdopodobnie jeszcze w czerwcu 1941 r., przywiózł go do Niemiec.

Historyczny żart „The New Yorker"

Niemcy mieli być zafascynowani tym liczącym niemal 900 lat zabytkiem. Na szkicu Herberta Jeschkego, któremu zlecono wykonanie malarskiej reprodukcji gobelinu, przedstawił on siebie wraz ze Schlabowem i z archeologiem Herbertem Jankuhnem, pochylonymi nad tkaniną. Szkicowi towarzyszy pełen entuzjazmu tytuł: „Die Tappiserie!". Niemieccy naukowcy badali gobelin dość krótko. Trudno stwierdzić, czy sprawdzili wszystko, co chcieli, czy po prostu założyli odgórnie, że skoro zabytek jest dziełem Normanów, to jest to wystarczający powód, aby uznać go za to, czym miał w domyśle być: pomnikiem aryjskiej supremacji. Przypuszczalnie jednak projekt „Sonderauftrag Bayeux" został przerwany z powodu przegranej Niemiec.

Podobnie jak wielu innych członków Ahnenerbe Karl Schlabow po wojnie powrócił do wcześniejszych badań. Ostatecznie dawny kierownik ważnego nazistowskiego projektu został zatrudniony w Państwowym Muzeum Szlezwika-Holsztyna na zamku Gottorf, gdzie pracował przez następne dekady. Zmarł w 1984 r.

Przez wiele lat uważano, że wycinek, który z Tkaniny z Bayeux pobrał Schlabow zaginął w wyniku wojennej zawieruchy. Niespodziewanie w zeszłym roku, po ponad osiemdziesięciu latach, to właśnie ten fragment został przypadkiem odkryty w archiwach państwowych Szlezwiku-Holsztynu. Francja stara się o jego odzyskanie, chcąc dołączyć go do gobelinu przed ponownym otwarciem muzeum w 2027 r.

Tkanina z Bayeux to niezwykle ważny w świecie anglosaskim zabytek, który wrósł także w popkulturę i pojawiał się w mediach w różnych kontekstach. Jednym z najbardziej znanych przykładów takiego wykorzystania Tkaniny z Bayeux jest pierwsza strona pisma „The New Yorker" z 15 lipca 1944 r., gdzie lądowanie alianckich wojsk w okupowanej przez Niemców Normandii pokazane zostało w formie fryzu z rysunkami w stylu niemal tysiącletniego haftu.



Okładka amerykańskiego pisma z 1944 r. nawiązująca do tkaniny z Bayeux FOT. NEWYORKER.COM

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2ccfad23



XIX w. / Londyńskie slumsy

Gdy bieda była zbrodnią

Gustave Doré, „Seven Dials", dzielnica Londynu, 1872 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Łukasz Czarnecki

U schyłku XIX w. Londyn był olśniewającą stolicą największego i najbogatszego imperium w dziejach ludzkości. Jednak za tą złotą fasadą kryła się przerażająca prawda: co trzeci Londyńczyk żył w skrajnym ubóstwie, wegetując w slumsach

Epoka wiktoriańska słusznie kojarzy się nam z narodzinami współczesnego świata, będącego nieodrodnym dzieckiem rewolucji przemysłowej. Publika uwielbia powieści historyczne i produkcje kostiumowe osadzone w tym właśnie okresie, a i ówczesna literatura jest wciąż chętnie czytana. Jednak piękne obrazy, którymi bombardują nas media, prezentują życie ułamka procenta ówczesnej populacji, do tego jeszcze mocno je koloryzując i usuwając z niego aspekty, które byłby zbyt szokujące dla szerokiego audytorium.

A przecież XIX-wieczna Anglia stała się sceną gwałtownego rozwarstwienia społecznego na skalę wcześniej nieznaną. Rozwój przemysłu i handlu oraz ekspansja kolonialna sprawiły, że do kieszeni zaangażowanych w nie elit płynął olbrzymi strumień pieniędzy. Pojawili się przemysłowcy budujący fabryki, w których pracę wykonywały maszyny, rozwijał się wielki biznes, a część tego bogactwa pozwalała też wygodnie żyć klasie średniej.

Jednak jego dystrybucja była dramatycznie nierówna. To, co nabijało kieszenie jednym, strącało w otchłań nędzy innych. Dobrym przykładem jest los angielskich tkaczy, których mechanizacja produkcji i zniesienie taks celnych na importowane tkaniny pozbawiły środków do życia, zamieniając względnie zamożnych dotychczas rzemieślników w nędzarzy.

Pauperyzacja dotykała coraz większych rzesz Brytyjczyków, aż w końcu dotychczasowy system wsparcia najuboższych, oparty na pomocy udzielanej im przez parafie, zaczął pękać w szwach. Jednak najgorsza była w tym wszystkim fundamentalna zmiana w postrzeganiu ubóstwa przez lepiej sytuowaną część społeczeństwa.

Umiłowanie brudu

Na początku XIX w. ogólny konsensus głosił, że biedacy nie różnią się niczym od reszty ludzkości, a ich niedola jest często

eprasa.pl ac2ccfad23



Londyński mały ulicznik
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRITISH LIBRARY

skutkiem czynników zupełnie od nich niezależnych. Pomaganie nędzarzom postrzegano jako czyn godny chrześcijanina żyjącego wedle zasad Ewangelii. Jednakże w ciągu zaledwie 30 lat stare poglądy zostały porzucone. Opinia społeczna zaczęła odnosić się do ludzi z marginesu nawet nie tyle z pogardą, ile wręcz z wrogością. Dominować zaczęło przekonanie, że ludzie ubodzy sami sobie są winni, gdyż są zdegenerowani, leniwi i rozwięźli. Pomiędzy biedakami a klasami średnią i wyższą powstała przepaść.

Doszło w końcu do tego, że „porządni obywatele" zaczęli postrzegać gorzej sytuowanych bliźnich jako osobny gatunek człowieka, a właściwie podczłowieka. Nawet bojownicy o sprawiedliwość społeczną, tacy jak m.in. Charles Dickens, byli tym przesiąknięci – w swoim „Oliverze Twiście" wielki pisarz, opisując głodujące dzieci, używa względem nich przymiotników stosowanych zazwyczaj do opisu dzikich zwierząt, a nie istot ludzkich! Mało tego, dziennikarz „The Times" zwiedzający w połowie stulecia jeden z londyńskich slumsów zupełnie serio przytoczył w artykule opinię, że biedacy żyją w skandalicznych warunkach sanitarnych nie dlatego, że nie stać ich na porządne lokum, lecz z powodu… wrodzonego umiłowania brudu!

Narastająca niechęć do ludzi z marginesu znajdowała odbicie w kulturze. W roku 1810 Thomas Rowlandson na jednej ze stworzonych przez siebie grafik z nutą sympatii przedstawił grupkę pensjonariuszy przytułku, opatrując ilustrację podpisem chwalącym opiekę nad nędzarzami. Jedenaście lat później pisarz Pierce Egan stworzył postać leniwego żebraka cwaniaka, który na swym niecnym procederze zarabiał kilka funtów tygodniowo, czyli mniej więcej tyle, ile przedstawiciel dolnej warstwy klasy średniej. Wizja ta była oczywistą bzdurą, londyńscy hołysze w rzeczywistości żyli w takiej nędzy, że chodzili na wpół nadzy i wielu z nich żywiło się znajdowanymi na ulicach odpadkami. Przekonane o swej moralnej wyższości mieszczaństwo oraz arystokracja chętnie dawały jednak posłuch tego typu kłamstwom. Pozwalały im czuć się lepiej i rozgrzeszać nieczyste sumienia obciążone grzechem obojętności na cierpienia bliźnich.

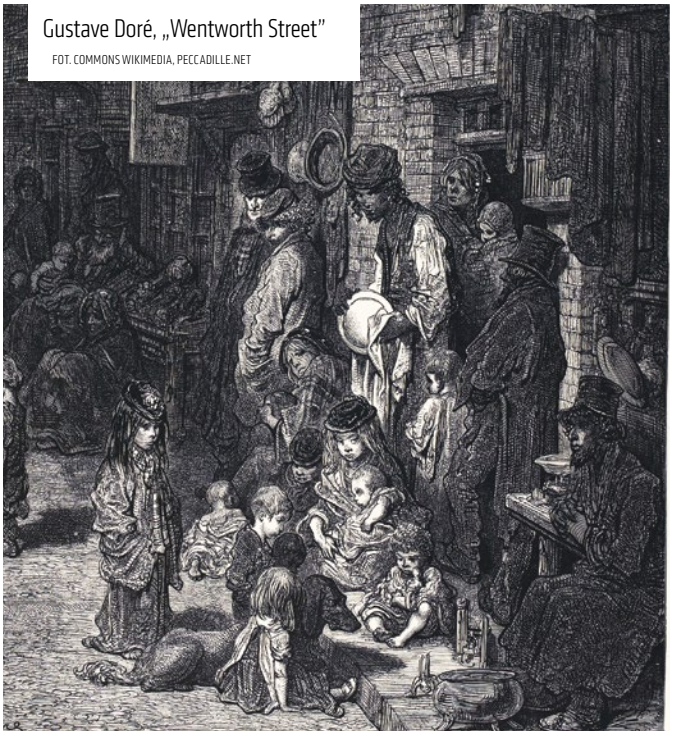
Usilne ignorowanie problemów społecznych i pogarda wobec ubogich sięgały już w połowie stulecia szczytów absurdu. Z wielką chęcią wykpiwał je Dickens na łamach swych powieści. I tak w „Naszym wspólnym przyjacielu" niejaki pan Podsnap, usłyszawszy w trakcie poobiedniej pogawędki wzmiankę o zmarłej z głodu rodzinie, uznaje ją za „niesmaczną" i nieprawdziwą, a skonfrontowany z faktami pochodzącymi z raportu policyjnego uznaje z wyższością, że ludzie ci… zmarli z własnej winy!

Niestety, w świecie realnym takie opinie stanowiły główny nurt brytyjskiej debaty publicznej, przez większość stulecia zagłuszając inne głosy. Za niechlubny przykład może posłużyć nawet burmistrz Londynu, sir Peter Laurie, zupełnie serio głoszący opinię, że jedna z miejskich dzielnic nędzy, zwana Wyspą Jakuba, została… wymyślona przez Dickensa i istniała tylko w jego wyobraźni. Raczej nie zgodziłby się z nim dziennikarz Henry Mayhew, który miał okazję odwiedzić ów położony na wybrzeżu Tamizy slums (niebędący wbrew nazwie wyspą) i przeraził się tym, co tam zobaczył.

Azyl za kratami

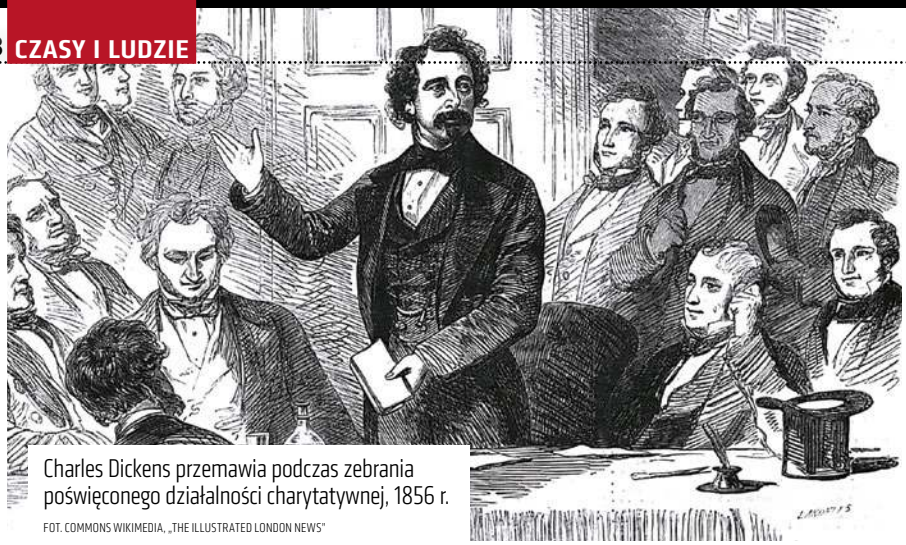
Wbrew temu, co twierdzili Podsnapowie tego świata, w Londynie panowała nieprawdopodobna nędza, a zgony z głodu lub wyziębienia wskutek nocowania na ulicy stanowiły nie tyle sensacje godne nagłówków w gazetach, ile smutną codzienność. Osoby o większej wrażliwości społecznej przerażała liczba bezdomnych, pozbawionych opieki dzieci, które pozostawione same sobie potrafiły wręcz zdziczeć. Gdy pewnej nocy w trakcie zwyczajowego spaceru po slumsach Dickens potknął się o śpiącego na ulicy, ubranego wyłącznie w strzępki spodni małego chłopczyka, wzięty litością dał smykowi jałmużnę. Na szczęśliwca rzuciła się wtedy cała wataha maluchów, które rozpoczęły brutalną bójkę, walcząc o tych kilka szylingów niczym wygłodniałe psy o ochłap mięsa.

O skali kryzysu bezdomności w stolicy najbogatszego imperium XIX stulecia najlepiej świadczy nieustające, masowe rozbijanie szyb witryn sklepowych i latarni ulicznych. Co ma jedno do drugiego? Otóż taki czyn karany był aresztem, stanowiącym dla wielu Londyńczyków



Gustave Doré, „Wentworth Street"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PECCADILLE.NET

eprasa.pl ac2ccfad23



Charles Dickens przemawia podczas zebrania poświęconego działalności charytatywnej, 1856 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, „THE ILLUSTRATED LONDON NEWS"

całkiem kuszącą perspektywę – odsiadka równała się bowiem darmowemu miejscu do spania i wyżywieniu. Do myślenia daje kazus sądowy z roku 1868, gdy pewien żebrak sądzony za zniszczenie latarni, usłyszawszy wyrok siedmiu dni aresztu… z płaczem zaczął błagać sędziego o dwukrotne zwiększenie kary! Przedstawiciel Temidy był jednak bezlitosny i nieszczęsny mężczyzna po tygodniu znów wylądował na ulicy.

Znalezienie się za kratkami stało się o wiele łatwiejsze po roku 1824, kiedy uchwalono prawo o włóczęgostwie, na którego mocy przestępstwem stało się… samo bycie biednym. Od tej pory policja miała prawo zatrzymać każdą osobę nieposiadającą środków na utrzymanie. I znów dla niektórych biedaków trafienie do więzienia mogło być wybawieniem. W „Oliverze Twiście" paser Fagin zachwala wręcz jednemu z pracujących dlań młodocianych złodziejaszków zalety odsiadki, mówiąc, że oznacza ona dla więźnia codziennie darmowe piwo. Oczywiście do rewelacji powieściowego starego łotra podchodzić trzeba z dystansem. W rzeczywistości wiktoriańskie więzienia były miejscami przerażającymi, o czym przekonał się choćby pisarz Oscar Wilde, skazany na trzy lata kary pozbawienia wolności w wyniku skandalu obyczajowego, którego stał się antybohaterem. Autor „Portretu Doriana Graya" na wolność wyszedł jako wrak człowieka, wyniszczony fizycznie oraz mentalnie, przez co wkrótce zmarł.

Metr na głowę

Z więzieniem za długi dobrze zaznajomiony był Charles Dickens, a wiedzę na temat sytemu zdobył poprzez praktykę. Gdy był dzieckiem, jego ojciec John wraz z całą rodziną znaleźli się za kratkami. Sam przyszły pisarz pozostał na wolności i tułał się po wynajmowanych pokojach, pracując za pensy w fabryce czernidła do butów (przez resztę życia odczuwał nienawiść do owej substancji). Gdy nieco podrósł, znalazł zatrudnienie w gazecie. W chwili, gdy pisał swoją pierwszą wielką powieść, „Klub Pickwicka", wspomnienia związane z uwięzieniem bliskich były nadal świeże, stąd tytułowy bohater również miał okazję zapoznać się z realiami życia niewypłacalnych dłużników.

Pan Pickwick w trakcie swego więziennego epizodu szybko przekonuje się, że za kratkami życie bez pieniędzy jest właściwie niemożliwe. Potwierdzają to inne źródła opisujące realia wyroków za długi. Już na samym początku nowo przybyłych kwalifikowano na podstawie posiadanych środków finansowych. Tych, którzy dysponowali kapitałem, umieszczano w wygodniejszych celach, mieli oni też prawo do umeblowania swych kwater, a posiłki dostarczano im z zewnątrz – zamawiali je z restauracji lub przynosili je im krewni. Mogli tez wykupić przepustki na okres od jednego dnia do trzech, w zależności od ceny „biletu". Przy czym wszystkie opłaty pobierane za różnorakie udogodnienia trafiały nie do wierzycieli, lecz do kasy więzienia!

Trzeba też wspomnieć, że więźniowie parający się na wolności rzemiosłem lub handlem za kratkami często kontynuowali swój fach. Do każdego więzienia za długi przylegała specjalna, licząca kilka ulic strefa, w której obrębie osadzeni mogli swobodnie się poruszać i podejmować pracę (niezbędną, by spłacić długi). Znane są też przypadki ludzi, którzy w swoich celach otwierali… warsztaty lub sklepy. Co ciekawe, „strefy wydzielone" były najwyraźniej bardzo kiepsko pilnowane, skoro pewien dłużnik w trakcie odsiadki zatrudnił się jako… woźnica dyliżansu i regularnie odbywał kursy między Londynem a Birmingham!

W o wiele gorszej sytuacji znajdowali się dłużnicy naprawdę pozbawieni środków do życia. Tych lokowano w ciasnych celach i zapewniano im absolutne minimum potrzebne do przeżycia. Ludzi ci gnili żywcem w straszliwych warunkach sanitarnych, dosłownie przymierając głodem.

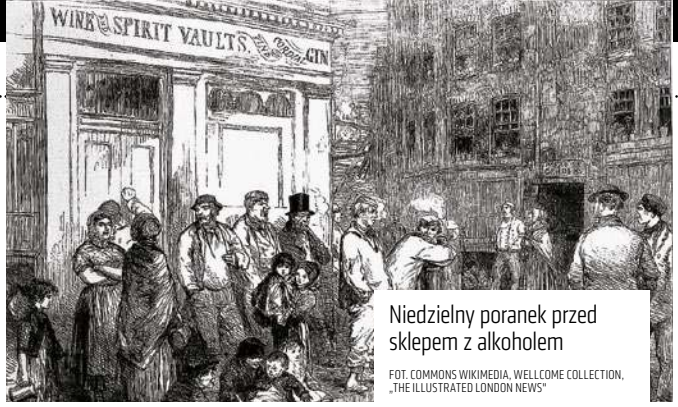
John Dickens trafił za długi do więzienia Marshalsea w roku 1824. Instytucja ta dysponowała wówczas 56 celami, o powierzchni 3,3 mkw. każda, wyposażonymi w pojedyncze łóżka. Już jedna osoba z trudem zmieściłaby się w takiej klitce, tymczasem więźniów pakowano do nich trójkami. Dodatkowo doliczyć należy jeszcze członków ich rodzin, którzy po aresztowaniu głowy familii, nie mając się gdzie podziać, dobrowolnie towarzyszyli jej w niedoli. Łącznie pod dachem Marshalsea przebywało zwykle ponad 150 osadzonych razem z żonami i dziećmi, których dokładnej liczby nigdy nikt nie oszacował. Cała ta czereda ludzi miała do dyspozycji zaledwie jedną pompę wodną i dwie, notorycznie zapchane toalety.

Dickensom udało się, m.in. dzięki pomocy Charlesa, wyjść na wolność, ale zdarzały się przypadki ludzi, którzy raz osadzeni za długi, nie mogąc spłacić swoich należności, tkwili za kratkami do końca życia.

Piekielne domy

Istniała jednak instytucja budząca większą grozę niż więzienie. Mowa o domach pracy, których opisy mogą przywodzić na myśl obozy koncentracyjne. W 1832 r. powołana została Królewska Komisja do spraw Prawa o Ubogich. Najpierw ograniczyła ona skromne zasiłki dotychczas przysługujące biednym, a następnie całkowicie je zniosła. W zamian zorganizowany został system domów pracy, do których trafiać mieli ludzie pozbawieni środków do życia. Na

eprasa.pl ac2ccfad23



Niedzielny poranek przed sklepem z alkoholem

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WELLCOME COLLECTION, „THE ILLUSTRATED LONDON NEWS"

papierze założenia wyglądały szczytnie. Pensjonariusze mieli z pomocą personelu odbić się od dna i nauczyć pracowitości, dzięki której znajdą źródło zarobkowania. Realia były jednak krańcowo odmienne od teorii.

Domy pracy utrzymywane były z podatków, a ich rady nadzorcze ustanawiano w wyniku wyborów. Najpewniejszy sposób na zyskanie poparcia elektoratu stanowiło cięcie wydatków. Oszczędzano zatem na wszystkim – jedzeniu, ubraniach, lekach czy opale. Dorobiona została do tego ideologia głosząca, że jeśli pensjonariuszom będzie zbyt wygodnie, to nie znajdą w sobie motywacji do znalezienia pracy, więc należy obrzydzać im życie, jak się tylko da. W efekcie placówki przemieniły się w miniaturowe obozy koncentracyjne, które w stuleciu następnym zapewne wzbudziłyby podziw kierownictwa NSDAP. Celem systemu stało się programowe unieszczęśliwianie biednych i mieszanie ich z błotem.

Nowo przybyłym odbierano wszelkie przedmioty, także ubrania, wręczając w zamian więzienne drelichy. Następnie nieszczęśników strzyżono w charakterystyczny, szpecący sposób, a rodziny rozdzielano. Mężowie, żony i dzieci stykali się odtąd ze sobą jedynie w godzinach pracy. Ta zaś była ciężka, ogłupiająca i… pozbawiona sensu. Pewien reporter, który przeniknął „pod przykrywką" za mury instytucji, zmuszony był wraz z innymi biedakami kręcić korbkami od ręcznych młynków do zboża. Sęk w tym, że uzyskaną mąkę wyrzucano na śmietnik, bo nie nadawała się do spożycia! Do wszystkich powyższych udręk doliczyć należy jeszcze przemoc ze strony personelu. Porównanie do kapo jest tu o tyle sensowne, że w domach pracy zatrudniano zbirów niemogących znaleźć innego zatrudnienia.

Instytucja powołana teoretycznie do niesienia pomocy biednym wkrótce stała się ich najgorszym koszmarem. Ubodzy bali się jej do tego stopnia, że wielu wolało targnąć się na swe życie, niż trafić do domu pracy. Głosy takie znaleźć możemy w prozie Dickensa. W „Naszym wspólnym przyjacielu" pozbawiona środków do życia starowinka grozi, że prędzej zabije swojego małego wnuka, niż pozwoli, by wpadł w łapy nadzorców zakładu. Z kolei w „Opowieści wigilijnej" wolontariusze zbierający datki na biednych wspominają, że wielu potrzebujących woli umrzeć, niż znaleźć się w domu pracy. Jedynymi zadowolonymi z wprowadzenia w życie nowego prawa o ubogich okazali się urzędnicy państwowi. Pociągnęło ono bowiem za sobą utworzenie… 23 tys. etatów w administracji!

Na ratunek ubogim

Powszechna pogarda i ucisk wobec biedaków stanowiły grzech pierworodny wiktoriańskiej Anglii. W kolejnych dekadach problem narastał. Londyn rozbudowywano i upiększano, wyburzając starsze kamienice i pozbawiając ich lokatorów dachu nad głową. Uboższych mieszkańców wypychano do slumsów, gdzie tłoczyli się po kilka lub nawet kilkanaście osób w wynajmowanych pokojach. W jednym przypadku odnotowanym przez Dickensa przy Kensington High Street mieszkało łącznie 1 tys. osób; bez kanalizacji czy wody, współdzieląc ze sobą 49 wychodków...

Jednak znaleźli się też ostatni sprawiedliwi. W 1841 r. w Londynie grupa wolontariuszy powołała pierwszą z tzw. szkół obdartusów, gdzie dzieci ulicy mogły uczyć się zawodu, zjeść ciepły posiłek, a także zostać ostrzyżone, umyte i odwszone. W ciągu zaledwie dekady liczba tego typu placówek, rozrzuconych po całej Brytanii, urosła do 200. Z kolei w roku 1865 misjonarz William Booth powołał do życia Misję Chrześcijańską Wschodniego Londynu, 13 lat później przemianowaną na Armię Zbawienia. Zorganizowane na wzór wojskowy stowarzyszenie stawiało sobie za cel nieść biedakom „zupę, mydło i zbawienie". Działacze nawracali biedaków i pomagali im odbić się od dna. Początkowo stanowili obiekt żartów, co widać choćby na rysunkach publikowanych w prasie, ale z czasem Armia Zbawienia stała się realną siłą odnoszącą sukcesy na froncie walki z ludzką nędzą. Jej wpływy w slumsach Londynu i innych miast stały się tak znaczące, że zagroziły interesom żerujących na ubogich sprzedawców taniego alkoholu, lichwiarzy i alfonsów, którzy w odpowiedzi powołali, mającą szerzyć demoralizację, Armię Szkieletów. Pomiędzy żołnierzami Chrystusa i diabła (bo tak zapewne widział ów konflikt Booth) rozpętała się regularna wojna.



Dzieci z domu pracy w Manchesterze

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FLICKR COM PHOTOS MANCHESTERARCHIVESPLUS

Niestety, mimo tytanicznych wysiłków garstki ludzi dobrej woli przerażające ubóstwo pozostało wpisane w krajobraz wiktoriańskiego Londynu. Sytuacja poprawić miała się dopiero po drugiej wojnie światowej. Tymczasem aż do końca istnienia imperium w Wielkiej Brytanii narastały napięcia społeczne – bogaci coraz bardziej gardzili biednymi, ci ostatni zaś zaczęli odpłacać im nienawiścią. Nie ma się zatem co dziwić, że im bliżej końca XIX w., tym więcej zwolenników zdobywała wśród nędzarzy ideologia komunistyczna, kłamliwie obiecująca zniesienie wszelkich nierówności i powszechny dobrobyt.

Polacy doskonale pamiętają, że gdy w 1920 r. bolszewickie hordy napierały na Warszawę, wywodzący się z biedoty brytyjscy dokerzy odmówili załadunku uzbrojenia mającego wspomóc polską armię, rozpoczynając strajki pod hasłem: „Ręce precz od Rosji!". Nie kierowała nimi jednak zła wola. Byli już po prostu tak zmęczeni trwającą od pokoleń nędzą, że stanowili łatwy cel dla czerwonej dezinformacji i w swej desperacji gotowi byli widzieć wybawcę nawet w zbrodniarzu Leninie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2ccfad23



FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK

Wspomnienia niemieckiego chirurga wojskowego pokazują, jak fatalna była organizacja opieki zdrowotnej w machinie wojennej Hitlera

Lata 1941–1943 / Prowizorka na froncie wschodnim

Medyczna masakra

Lipiec 1941 r., okolice łotewskiego Dyneburga. Do szpitala polowego przyjeżdża prof. Hans Kilian, chirurg, który pełni funkcję konsultanta – ma wspierać w trudnych przypadkach mniej doświadczonych kolegów po fachu. Takim przypadkiem jest bez wątpienia ciężka rana odniesiona przez szeregowego o imieniu Franz. Żołnierz ma strzaskany piąty krąg szyjny. Jeżeli paraliż posunie się w górę, to mężczyźnie grozi śmierć. Profesor Kilian zarządza wykonanie zdjęcia rentgenowskiego, by dokładnie przeanalizować sytuację pacjenta.

Obaj lekarze patrzą na mnie bezradnie.

– Nie możemy spełnić pańskiej prośby. Nie mamy aparatu rentgenowskiego, nie mamy też agregatu prądotwórczego.

– Co proszę?! Nie macie urządzenia rentgenowskiego?! Jak więc zdobywacie informacje o złamaniu postrzałowym, polu zranienia, położeniu i głębokości odłamków?! Jak nastawiacie złamania?! – pytam wzburzony.

Moi rozmówcy odpowiadają, że bardzo niewiele jednostek sanitarnych dysponuje aparaturą rentgenowską; ze względu na wymagania blitzkriegu przed rozpoczęciem ofensywy wszelkie cięższe urządzenia, w tym aparaty rentgenowskie, nakazano zostawić na tyłach. Tymczasem nowe szpitale dla zwierząt wyposażone są we wszystko: agregaty prądotwórcze, aparaty rentgenowskie i sprzęt operacyjny, chodzi wszak o zdrowie koni.

Ten fragment wspomnień prof. Kiliana może zadziwić czytelników, którym wydawało się, że napierająca na ZSRS latem 1941 r. armia niemiecka była doskonale wyposażoną machiną wojenną. Okazuje się bowiem, że o ile niemieckim żołnierzom raczej nie brakowało sprzętu do zabijania wroga, o tyle sytuacja była diametralnie inna, jeżeli chodzi o zasoby pozwalające ratować życie własnych ludzi. Ze wspomnień chirurga wynika, że niejednokrotnie to Sowieci dysponowali lepszymi warunkami do leczenia swoich żołnierzy!

Dobrym przykładem jest brak drutów Kirchnera, używanych do stabilizacji złamań. W tym kontekście ciekawie wygląda rozmowa autora książki z kolegą po fachu.

– Czy mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego tych żołnierzy ze złamaniami postrzałowymi odsyła się, nie nastawiając złamań, a jedynie zakładając prowizoryczny opatrunek?

– Mogę, panie profesorze – odpowiada ponuro. – Na froncie nie da się nastawiać złamań. Wierteł mamy w bród, ale żadnych drutów Kirschnera. Nie mamy też żadnych śrub, żadnych wyciągów bloczkowych. Do tego brak bandaży gipsowych. Na ile się da, posiłkujemy się zdobycznym rosyjskim gipsem.

Nie wierzę własnym uszom.

– Co takiego? Nie macie drutów Kirschnera i nie możecie nastawiać złamań?

– Tak jest.

– W takim razie leczycie złamania postrzałowe średniowiecznymi metodami.

– Niestety tak.

Co ciekawe, Niemcom brakowało nawet tak podstawowych środków jak sulfonamidy, wykorzystywane do odkażania ran. We wspomnieniach tego niemieckiego chirurga wojskowego pełno jest naprawdę mocnych fragmentów, które mogą zemdlić ludzi bardzo wrażliwych na widok krwi. Tylko gdzieniegdzie pojawiają się dość zabawnie



HANS KILIAN
„CHIRURG NA WOJNIE"
ZNAK HORYZONT

eprasa.pl ac2ccfad23



Transportowanie rannego żołnierza niemieckiego

FOT. FOTOARCHIV FÜR ZEITGESCHICHTE/AR / SZ-PHOTO / FORUM

wyglądające polityczne wątki, jak choćby ten: „Z naszego grona konsultantów Forster jest najbardziej krytycznie nastawiony, bezkompromisowy i pozbawiony złudzeń. Nie ufa żadnym doniesieniom politycznym i z całej duszy nienawidzi Führera Tysiącletniej Rzeszy ze wszystkimi jego współpracownikami". Trzeba jednak pamiętać, że wspomnienia zostały opublikowane po wojnie i w wielu takich pracach autorzy często przedstawiali siebie i swoich kolegów jako zażartych przeciwników Hitlera. Wydaje się, że na podobnej zasadzie możemy rozumieć inny fragment wspomnień chirurga, gdy opisuje on, jak latem 1941 r. walczył o polepszenie warunków leczenia sowieckich jeńców.

Francuskie doświadczenie

Jesienią 1941 r. prof. Kilian został głównym konsultantem armijnym, obejmując tym samym pieczę nad 30 dywizjami walczącymi na północnym odcinku frontu, aż po Leningrad. Wraz z pojawieniem się mrozów niemieccy lekarze wojskowi musieli się zmierzyć z nieznanym wcześniej problemem.

Jedzenie, które dociera na front, jest zupełnie zimne, chleb tak zmrożony, że nie da się go ugryźć. Żołnierze muszą go rozbijać i ogrzewać odłupane kawałki w kieszeniach. Wielu nie trawi tego zlodowaciałego pożywienia, które rujnuje im śluzówkę żołądka – wspominał autor. – Odmrożone kończyny obumierają, a banalne rany prowadzą do białej śmierci. Jeśli gołą ręką dotknie się metalu, lufy karabinu, działa armatniego, zostają na nich wiszące strzępy przymarzniętej skóry.

Niemieccy lekarze sięgnęli wówczas do doświadczeń barona Dominique'a-Jeana Larreya, przybocznego chirurga Napoleona (to on osobiście amputował nad Berezyną nogę gen. Zajączkowi), który 130 lat temu sam musiał się mierzyć z efektami odmrożeń i zgromadził wówczas bezcenne doświadczenie.

Jeśli kończyny poddane są rosnącej temperaturze stopniowo, zanika skłonność do zgorzeli i organy odzyskują sprawność w sposób naturalny. Jeśli jednak przejście do wyższej ciepłoty jest raptowne, uszkodzone członki puchną i naczynia całkowicie tracą elastyczność. Drętwieją, czasami pękają. Pojawiają się rozdarcia, rozstępy i krwawienia. Obieg krwi w naczyniach jest utrudniony, kończyna przestaje żyć – pisał francuski lekarz. – Można dostrzec charakterystyczne objawy zgorzeli. Biada człowiekowi, który zupełnie zesztywniał z zimna i którego członki utraciły funkcje życiowe, a który nagle wejdzie do ciepłego pokoju albo zbliży się zbytnio do kominka. Odmrożone członki zostaną natychmiast dotknięte zgorzelą, która pojawia się w jednej chwili i postępuje z taką szybkością, że można to obserwować gołym okiem.

Profesor Kilian zanotował, że tylko w ciągu jednego miesiąca na przełomie lat 1941 i 1942 w armii walczącej w okolicach jeziora Ilmen zanotowano 12 374 przypadki odmrożeń. Pewnego dnia autor musiał jechać do szpitala wojskowego w Solcach, który pękał w szwach – przywożono tam samolotami mnóstwo rannych z kotła demiańskiego i z północnego odcinka frontu.

Ranni i chorzy leżą na słomie na wszystkich korytarzach. W sali opatrunkowej tłoczą się żołnierze z odmrożeniami. Dopiero co przybyli nie zostali więc jeszcze opatrzeni. Widzę, jak sanitariusz próbuje rozbić lodowe kloce, w których tkwią stopy jednego z żołnierzy; wcześniej rozciął mu buty.

– Co się tu dzieje? – pytam przerażony.

– Panie kapitanie, wielu przychodzi w takim stanie. Żołnierze brną przez głębokie zaspy i nie zauważają, że śnieg od góry sypie im się do cholewek. W środku topnieje, woda zamarza i tworzy się lodowy blok. Niemal wszystkie takie skute lodem stopy są stracone. Nie możemy ich uratować, musimy amputować. Koniecznie trzeba ostrzec innych żołnierzy.

Pervitin w śniegu

Ze wspomnień tego chirurga wynika, że problemem niemieckiej medycyny pola walki na froncie wschodnim była nie tylko fatalna aprowizacja, lecz także zwykła amatorszczyzna wielu lekarzy. Ciekawie wygląda w tym kontekście relacja konfliktu autora z lekarzem dywizyjnym, ppłk. Paukerem, który zalecał podległym sobie medykom wypalanie ran w celu dezynfekcji. W większości przypadków ta prymitywna metoda prowadziła do fatalnych konsekwencji – rany gniły, a wynikający z tego smród odrzucał ludzi wchodzących na szpitalne sale. Jednak mimo wielu interwencji ppłk Pauker był nieugięty i nie zamierzał porzucić tej metody, twierdząc, że jest ona doskonała.

W relacji niemieckiego chirurga nie mogło zabraknąć choćby krótkiej wzmianki o słynnym Pervitinie rozdawanym masowo w siłach zbrojnych III Rzeszy. Profesor Kilian musiał ratować żołnierzy, którym udało się wyrwać z sowieckiego okrążenia wsi Wzwad. W czasie nocnego przedzierania się przez śnieg w kierunku niemieckich pozycji żołnierze zażywali ten amfetaminopodobny środek, by pokonać zmęczenie. Jednak znieczulenie, które było efektem ubocznym, miało swoje fatalne konsekwencje.

Odmrożenia okazały się straszliwe. Stoimy teraz wśród tych młodych żołnierzy, którzy brali udział w ucieczce ze Wzwadu – wspominał chirurg. – Leżą z wysoką gorączką w łóżkach, odwodnieni, niektórzy półprzytomni. Podchodzę do łóżka dziewiętnastoletniego młodzieńca, który doznał licznych odmrożeń. Obie ręce, obie stopy – wygląda to strasznie. Wszystkie cztery kończyny są czarne i dotknięte martwicą, wszystkie cztery trzeba amputować. Po twarzy chłopca ciekną łzy rozpaczy. Próbuję go pocieszać, na co on odpowiada z płaczem:

– Jestem przecież rolnikiem. Co ja teraz zrobię? Jak mam pracować bez rąk i nóg?

Podczas nocnego marszu ze Wzwadu przez jezioro Ilmen śnieg nasypał mu się do butów. Stopy trzeba było ociosywać z lodu. Dziurawe rękawiczki nie chroniły przed lodowatym wiatrem przy czterdziestodwustopniowym mrozie. Ręce zamarzły całkowicie aż po nadgarstki i nie da się ich uratować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Opakowanie niemieckiego leku Prontosil z grupy sulfonamidów

FOT. WELLCOME COLLECTION

eprasa.pl ac2ccfad23



Masakra pod Hutą Katrarzyna w Sosnowcu

FOT. „NOWOŚCI ILLUSTROWANE" 1905 R., NR 10, JAGIELLOŃSKA BIBILOTEKA CYFROWA

120 lat temu w Zagłębiu / Bomby, strzały, walka o niepodległość

Zagłębiowski Dziki Zachód



Sebastian Reńca

Rewolucja lat 1905–1907 w Polsce pod zaborem rosyjskim miała miejsce nie tylko w Warszawie czy w Łodzi, lecz także w Zagłębiu Dąbrowskim, pełnym kopalń, hut i innych dużych zakładów pracy. Wybuchały wówczas nie tylko strajki w fabrykach, lecz także bomby, padały strzały w kierunku Rosjan, kozaków i prowokatorów

Był to czas, kiedy – jak pisał Bohdan Urbankowski – nigdy „nie mieliśmy tylu bohaterów, ilu mieliśmy ich w czasach neoromantyzmu – w szeregach Organizacji Bojowej PPS…".

W pierwszej połowie lat 90. XIX w. kilku socjalistów, w tym m.in. Tytus Filipowicz, znany przede wszystkim z tego, że towarzyszył Józefowi Piłsudskiemu w wyprawie do Japonii w roku 1904, zaczęło indoktrynować robotników Zagłębia Dąbrowskiego. „Oni to otrzymywali lub przewozili sami paczki bibuły – to jest odezwy i pisma, i nocną porą, najczęściej nad ranem, rozklejali je po murach kopalń, na słupach i rozrzucali na ścieżkach i drogach, którymi robotnicy szli do pracy" – pisał Sławomir Radek w swej pracy o rewolucji w Zagłębiu Dąbrowskim.

Gdy w 1904 r. przez Rosję przeszła rewolucja, nie ominęła ona również tej części Polski, która leżała w granicach carskiego imperium. W Zagłębiu istniały już struktury m.in. Polskiej Partii Socjalistycznej, której działacze pokazali, że w zniewolonej Polsce są i tacy, którzy walczą nie tylko o prawa socjalne dla robotników. W ten sposób – jak pisał Jan Rutkiewicz, jeden z twórców zagłębiowskiej organizacji – „idea walki klasy robotniczej o Królestwo Boże na ziemi" opromieniona została „dążeniem do niepodległości".

Obskurne dziury

Józef Piłsudski świetnie znał Zagłębie Dąbrowskie, bywał tam wielokrotnie, tak samo jak jego przyszła żona, Aleksandra Szczerbińska. Przyszły Marszałek pisał, że ówczesne Dąbrowa Górnicza czy Sosnowiec rozwijają się i zaludniają „z iście amerykańską szybkością", ale „pod względem policyjnym i kulturalnym" miasta te są zwykłymi najobskurniejszymi dziurami, które przypominały Dziki Zachód. Piłsudski oceniał, że „ani ulice, ani mieszkania, ani paszporty, ani dozór policyjny słowem, nic prawie nie jest uregulowane". Jednym słowem, był to raj dla konspiratorów, gdyż carska żandarmeria niejednokrotnie nie potrafiła odnaleźć poszukiwanego osobnika czy jego mieszkania.

Tak było w przypadku zatrzymanego działacza PPS, który w tak zagmatwany sposób wytłumaczył funkcjonariuszom, gdzie mieszka, że nie potrafili oni odnaleźć jego kwatery. Ten czas wykorzystali towarzysze zatrzymanego, którzy całą „bibułę" znajdującą się w lokalu kolegi wynieśli na inną melinę. Gdy w końcu

eprasa.pl ac2ccfad23



Tytus Filipowicz, działacz PPS

FOT. MUZEUM MIEJSKIE „SZTYGARKA" W DĄBROWIE GÓRNICZEJ

funkcjonariusze zlokalizowali mieszkanie zatrzymanego, nic w nim nie znaleźli w czasie przeszukania i byli zmuszeni wypuścić go na wolność.

Piłsudski podkreślał, że przez „ciemności egipskie, brak policji, błotniste drogi i ścieżki" w zagłębiowskich miastach tamtejsi towarzysze mieli „ogromnie ułatwione zadanie". Wtedy jeszcze Dąbrowa Górnicza nie była miastem, a Sosnowiec otrzymał prawa miejskie raptem w 1902 r.

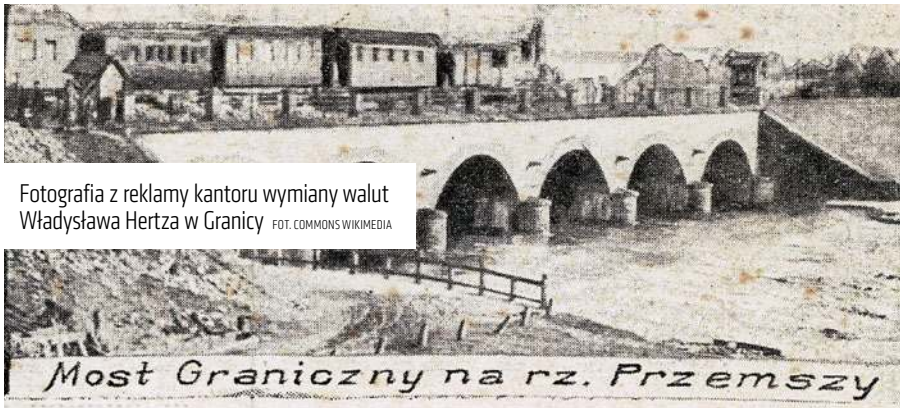
W czasie rewolucji 1905 r. Sosnowiczanie jeszcze nie doczekali się brukowanych ulic w całym mieście, na co zwykle narzekano wiosną w czasie roztopów, które zamieniały ulice w grzęzawiska. Asenizacja również pozostawiała wiele do życzenia. Na łamach miejscowej prasy można było w tamtym czasie przeczytać, że doły kloaczne wciąż są opróżniane „sposobem przedpotopowym", „odbywa się to mianowicie we dnie i na wozach otwartych, z których nieczystości leją się wzdłuż całej drogi". Tymi samym drogami wożono chociażby mięso z rzeźni na otwartych wozach, a na ćwierciach wołowych, jak na kozłach, siedzieli furmani. Gdy przychodził zmrok, ulice w niemal każdej części miasta były ciemne, co sprzyjało nie tylko konspiratorom, lecz także przestępcom.

Nożem pod żebro

Na Modrzejowskiej, głównej ulicy w Sosnowcu, nieraz dochodziło do burd. W takich momentach okoliczni mieszkańcy woleli siedzieć w domach. Sklepy, których w większości właścicielami byli Żydzi, również szybko zamykano. Jak pisał zagłębiowski korespondent „Gazety Częstochowskiej", w takich chwilach „na najruchliwszej z naszych ulic nie można spotkać ani jednej żywej duszy i ulica wygląda jakby wymarta, co bardzo przykre sprawia wrażenie". Z pewnością powodem wyludnionych ulic były narodowe bojówki. Jedna z nich, przechodząc pewnego wieczoru wiosną 1906 r. ul. Modrzejowską, biła każdego przechodnia. Przypadkiem byli to żydowscy mieszkańcy miasta: Lejbus Rozensaft, Icyk Goldberg, Chemja Lipner, Benjamin Inkster i wielu innych.

Do napadów dochodziło nie tylko na ulicach, lecz także w mieszkaniach. Przekonał się o tym niejaki pan Hagensztajn, którego służąca otworzyła bandytom drzwi do mieszkania, a „pięciu rabusiów zabrało gwałtem znaczną sumę pieniędzy".

Złodzieje po zmroku weszli też np. do sklepu zegarmistrzowskiego, do którego dostali się po wysadzeniu tylnych drzwi. „Zapewne długo w sklepie tym gospodarowali, gdyż całą zawartość zabrali. Nikt ich nie słyszał i dotychczas rabusie owi są niewykryci" – pisali dziennikarze. Łupem włamywaczy padł też któregoś dnia skład monopolowy w Sosnowcu, oznaczony numerem 164. Złodzieje dostali się do środka po przepiłowaniu kraty w oknie. Ich łupem padły nie tylko butelki z wódkę, lecz także znaczna suma rubli.



Fotografia z reklamy kantoru wymiany walut Władysława Hertza w Granicy FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Zabójstwa również nie były czymś wyjątkowym w tamtym Zagłębiu. W kwietniu 1906 r. 24-letni robotnik fabryczny nazwiskiem Łabuś zapadł się pod ziemię. Żandarmi podejrzewali, że ma to związek z tym, że Łabuś mógł maczać palce w przemycie przez granicę rosyjsko-pruską. Kilka tygodni później w okolicy Bytomia znaleziono poćwiartowanego trupa, ukrytego w worku. Dzięki zeznaniom przekupki, skuszonej nagrodą w wysokości 1 tys. marek za wskazanie zabójców, tamtejsza policja aresztowała sześciu mężczyzn, którzy zabili i pocięli na kawałki młodego mieszkańca Sosnowca. Nie był to pierwszy czy ostatni przypadek przestępczej dintojry.

Jedna z nich dokonała się w korytarzu sosnowieckiego Teatru Miejskiego w czasie, gdy aktorzy występowali na scenie. Nożem pod żebro dostał przestępca zwany „Adamem"; mieszkańcy miasta kojarzyli go z „karciarstwa i kradzieży. Był on postrachem dla wszystkich mieszkańców, gdyż słynął też jako nożownik. Kto go zabił, nie wiadomo" – ubolewał miejscowy żurnalista.

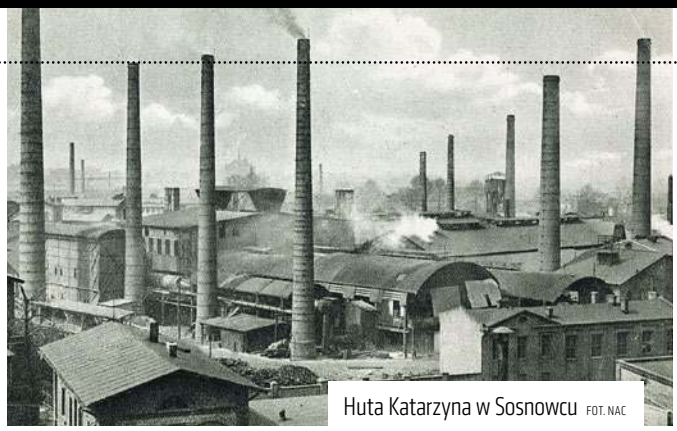
„Szwarcownicy"

Drogi ówczesnego świata przemytników przecinały się ze ścieżkami Polskiej Partii Socjalistycznej, gdy trzeba było przenieść z Katowic do Zagłębia broń czy bibułę. Tak było np. z ok. 50 pistoletami, które Józef Piłsudski kupił w Katowicach i Bytomiu.

Przemytnik zatrzymany z tak trefnym towarem po stronie rosyjskiej odpowiadał nie tylko za przestępstwo pospolite, czyli przemyt, lecz także za „politykę". Dlatego gdy trzech strażników granicznych postanowiło zatrzymać mieszkającego w Niwce (dzisiejsza dzielnica Sosnowca) niejakiego Zycha, ten na ich widok sięgnął po rewolwer i zaczął do nich strzelać. Jeden strażnik zginął na miejscu, a dwóch było poważnie rannych. Napastnik zdołał uciec na drugą stronę granicy.

Czasami przemyt kończył się śmiercią szmuglerów. Głową zapłacił za przenoszoną kontrabandę jeden z dwóch młodych mężczyzn, którzy wiosną 1906 r. chcieli przedostać się przez rzekę Brynicę do Prus w pobliżu mostu kolejowego

eprasa.pl ac2ccfad23



Huta Katarzyna w Sosnowcu FOT. NAC

i walcowni Milowice. Gdy jeden z nich dopłynął już szczęśliwie do środka rzeki, z mostu rozległ się strzał pogranicznika. „Woda krwią się zabarwiła. Kula była śmiertelną. Towarzysz ofiary strzału ukrył się w krzakach, skąd zdołał szczęśliwie umknąć za granicę. Ciało nieboszczyka zostało złożone na brzegu rzeki i leżało tam aż do zejścia i rosyjskich i pruskich władz sądowych i administracyjnych" – opisywał reporter.

Z przemytu, zwanego też w Zagłębiu „szwarcownictwem", utrzymywały się całe rodziny. Przemytnicy przechodzili zarówno granicę z niemieckim Śląskiem, jak i z Austrią – był to tzw. trójkąt trzech cesarzy. Jak pisał miejscowy historyk Jan Przemsza-Zieliński, na terenach przygranicznych „działały niemal legalne kantory, które zlecały przemyt określonych towarów. Ba, ze »szwarcowników« korzystały także nielegalne partie polityczne przemycające z Kongresówki lub do niej »bibułę«. Szwarcowano, co zlecono i co tylko się dało; oczywiście także ludzi…".

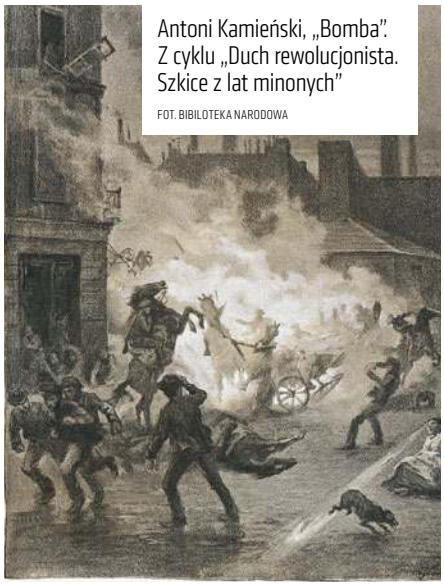
Jednym z najlepszych „szwarcowników" był Ferdynand Grębosz, zwany „Panem Ferdkiem", z obecnej dzielnicy Sosnowca – Dębowej Góry, który przenosił do Zagłębia m.in. kupione w Krakowie książki oraz „bibułę". Pracował dla tych, którzy mu płacili, czyli zarówno dla PPS, jak i Narodowego Związku Robotniczego. W 1911 r. Grębosz wpadł na granicy z socjalistyczną „bibułą" i dostał wyrok – zesłanie na Syberię. Wrócił do Sosnowca w 1919 r., wtedy PPS-owcy zaoferowali mu specjalną rentę działacza niepodległościowego. Honorowy przemytnik odmówił.

„Niełatwo było żyć"

„Każdy z nas znał wertepy Zagłębia jak swoją kieszeń. Było to koniecznie potrzebnym, bo wypadało nam trafiać do określonych zawczasu punktów w nocy, omijając zarówno bardziej zaludnione miejscowości, jak doły i odkrywki kopalniane, w których łatwo kark skręcić. Chodziliśmy dla bezpieczeństwa parami i z góry określaliśmy dla każdej pary miejscowość, którą obejść należało. Dopiero nad ranem, po nużącej wędrówce po błocie dąbrowskim, przychodziło się do domu zmęczonym i wyczerpanym zupełnie" – usłyszał kiedyś Józef Piłsudski od jednego z zagłębiowskich działaczy PPS.

Taka to była praca; nie tylko niebezpieczna, lecz także z ludźmi, robotnikami, którzy nie mieli łatwego życia. Pisarz Ferdynand Goetel, który wielokrotnie bywał przed drugą wojną światową w Zagłębiu Dąbrowskim, opowiedział o nim w powieści „Anakonda".

Goetel pisał o latach 30., ale czytając jego książkę, ma się nieodparte wrażenie, że nic się nie zmieniło na tych ziemiach od czasów rewolucji 1905 r. „Szczęścia, zdrowia ani spokoju na kopalniach nie przybywało. Ludzie powracali z pracy wyczerpani jak dawniej, kobiety schły w czarnych murowańcach, inwalidzi dogasali na łaskawym chlebie, choroby kruszyły nawet najsilniejszych" – pisał Goetel. I dodawał: „Tak, niełatwo było żyć!"; „Kiedy przychodziła bieda, to od razu czuło ją całe Zagłębie. Zwalniano ludzi z pracy setkami, zmniejszano zarobki za jednym zamachem… wszystkim".



Antoni Kamieński, „Bomba". Z cyklu „Duch rewolucjonista. Szkice z lat minonych" FOT. BIBILOTEKA NARODOWA

W 1906 r. bieda również nie omijała Zagłębia, do którego wciąż napływali nowi mieszkańcy z okolicznych lub dalszych wsi. Jednak w Sosnowcu wciąż nie było ani szpitala, ani przytułku dla najbiedniejszych. Ci, którzy nie znaleźli zatrudnienia, albo zostali wyrzuceni z pracy, mogli pójść do taniej garkuchni prowadzonej pod egidą żydowskiego Towarzystwa Dobroczynności, w której za symboliczne pięć kopiejek sprzedawano obiady wszystkim, bez względu na ich wyznanie. „Szkoda tylko, że nie ma kuchni takich więcej w rozmaitych punktach miasta" – ubolewał miejscowy dziennikarz.

W takich to warunkach idea socjalistyczna, będąca połączeniem walki o prawa robotników oraz idei niepodległości, zaczęła się rozwijać. Początek tamtej rewolucji w Zagłębiu to 1 lutego 1905 r., kiedy robotnicy sosnowieckiej fabryki kotłów i maszyn zaprzestali pracy. Był to sygnał do rozpoczęcia strajków, które zaczęły obejmować kolejne zakłady, huty i kopalnie. Do Zagłębia Dąbrowskiego władze zaczęły ściągać kozaków.

Stanisław Radek w swej pracy „Rewolucja w Zagłębiu Dąbrowskim" pisał: „Ludność na gwałt zaczęła się zaopatrywać w żywność. W sklepach staczano formalne bójki o chleb, którego w środę 4 lutego już zupełnie nie można było dostać". Korespondent pisma „Nowa Reforma" donosił, że w Zagłębiu panuje swego rodzaju prohibicja: „Sklepy monopolowe z wódką, chociaż są pootwierane, są puste, bo nikt wódki nie kupuje. Tak się ogółem robotnicy pilnują, aby nikt nie pił, że poturbowali kilku towarzyszów, którzy kupili sobie wódki, flaszki monopolowe im porozbijano".

7 lutego w Sosnowcu stacjonowało już 12 tys. żołnierzy carskiej piechoty. Dwa dni później doszło do tragedii przed hutą Katarzyna, gdzie od kul kozackich, szabel i bagnetów zginęło 38 osób, a ponad 150 zostało rannych. Radek pisał, że „na drugi dzień żołdactwo w bestialski sposób biło i znęcało się nad kobietami, które zeszły się do trupiarni, aby odszukać i rozpoznać wśród zabitych swoich mę-

eprasa.pl ac2ccfad23

żów i ojców. Nie dopuściło też żołdactwo nikogo do udziału w pogrzebie zabitych. Na ulicach, na polach, koło cmentarza kozacy gonili i bili robotników".

Zemsta

Nic dziwnego, że w Zagłębiu zaczęła kiełkować idea zemsty, a tej można było dokonać, jedynie będąc w Organizacji Bojowej PPS. Zaczęły padać strzały i wybuchać bomby.

W połowie marca 1906 r. o godz. 3 w nocy nagle rozległ się ogłuszający łoskot. Ktoś podłożył ładunek w kopalni hrabiego Renarda. W tym samym miesiącu na linii dąbrowskiej Kolei Nadwiślańskich dwaj mężczyźni usiłowali wysadzić most kolejowy. Zauważeni przez stróżów uciekli, pozostawiając na miejscu ładunek wybuchowy.

Gdy w całym imperium odbywały się zebrania związane z wyborem posłów do Dumy Państwowej, podczas jednego z nich przed będzińskim lokalem wybuchła bomba, a chwilę później do środka wpadli młodzi socjaliści, by rozbić spotkanie.

Żeby było z czego i czym strzelać, broń oraz amunicję przenosili przez granicę nie tylko „szwarcownicy", lecz także kurierki. Dwie z nich zatrzymano wiosną 1906 r. na dworcu wiedeńskim. Żandarmi znaleźli przy nich 3,5 tys. nabojów.

Kurierki krążyły również w drugą stronę – z Zagłębia do Warszawy. To właśnie tutaj działacze PPS mogli z łatwością wynieść z kopalń dynamit. Ładunek wybuchowy użyty w słynnej akcji pod Bezdanami, która miała miejsce 26 września 1908 r., pochodził właśnie z Zagłębia Dąbrowskiego. „Zorganizował" go działacz Organizacji Bojowej PPS Paweł Dehnel „Strychnina", sztygar z Kopalni „Saturn" w Czeladzi. Ładunek został przekazany przyszłej żonie Piłsudskiego.

W Sosnowcu Aleksandra Szczerbińska wsiadła do pociągu. Dynamit miała na sobie, ukryty w specjalnym pasie. „W gorący dzień dynamit na mnie się rozgrzał. Bałam się, że spowoduje wymioty. Wzięłam więc walizkę do ubikacji, zdjęłam pas i włożyłam go do walizki. Poczułam wielką ulgę. Przedział był pusty; walizkę położyłam na półkę i sama zaczęłam czytać książkę. Tuż przed ruszeniem pociągu weszło do wagonu dwóch mężczyzn, z dość licznym bagażem; szczęśliwie walizki nie musiałam ruszać" – wspominała po latach Aleksandra Piłsudska.

Pociąg ruszył w kierunku Zawiercia i miarowy stukot kół ukołysał do snu konspiratorkę. Gdy Szczerbińska obudziła się, walizki nie było na półce. Od razu pomyślała, że za chwilę będzie aresztowana. Na szczęście szybko okazało się, że tamci dwaj mężczyźni przez pomyłkę zabrali jej walizkę, gdy przesiadali się do innego przedziału. Jednak „w przedziale dla palących obu tych pasażerów nie było. Rzuciłam się do okna i ku radości zobaczyłam nieznajomych na peronie. Właśnie zmierzali ku wyjściu, obładowani walizkami, między którymi była i moja. Wyrwałam konduktorowi ich walizkę z ręki i choć w tej chwili pociąg ruszył, wyskoczyłam na peron. Szczęśliwie nawet nie upadłam. Za moment miałam swój skarb z powrotem nienaruszony. Pojechałam do Wilna następnym pociągiem" – pisała Piłsudska w swych wspomnieniach.

Za strzelanie do przedstawicieli carskiej władzy groziła najcięższa kara – śmierć. „Onegdaj, w cytadeli warszawskiej, sąd wojenny rozpatrywał sprawy Jana i Franciszka Czekalskich. Oskarżonych o usiłowanie zabójstwa w dniu 3 stycznia roku bieżącego młodszego strażnika ziemskiego – Gierasimienki w Będzinie oraz Marcina Ziernickiego, oskarżonego o zabicie w dniu 5 stycznia Kozłowa w Zawierciu. Wszystkich trzech oskarżonych sąd wojenny skazał na karę śmierci" – donosiły „Wiadomości Częstochowskie".



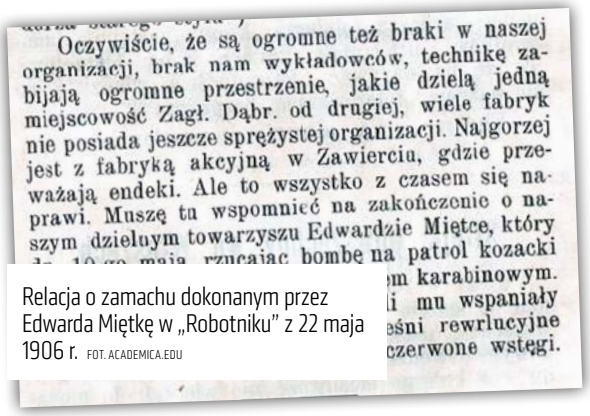
Edward Miętka, bojowiec PPS

FOT. MUZEUM MIEJSKIE „SZTYGARKA" W DĄBROWIE GÓRNICZEJ

Bomba Miętki

22 maja 1906 r. PPS-owski „Robotnik" wspominał o „dzielnym towarzyszu Edwardzie Miętce, który dnia 10 maja, rzucając bombę na patrol kozacki, został na miejscu zabity wystrzałem karabinowym". 10 maja nie był dniem przypadkowym, ponieważ właśnie wtedy zebrała się w Sankt Petersburgu pierwsza Duma Państwowa. Setka dońskich kozaków stacjonowała w dąbrowskiej Starej Oberży i to oni stali się celem „Buchaltera" (był to konspiracyjny pseudonim 22-letniego Miętki w Organizacji Bojowej PPS). O godz. 17 Miętka, przechodząc koło oberży, wrzucił do sieni bombę, ale nie doszło do eksplozji. Wartownik oddał strzał w kierunku uciekającego zamachowca, a z oberży wysypali się kozacy, którzy zaczęli okładać „Buchaltera" kolbami karabinowymi i szablami. Gdy Miętka nie żył, jego zmasakrowane ciało przywiązano do siodła i koń zaciągnął trupa na cmentarz. W pogrzebie bojowca mogła uczestniczyć jedynie najbliższa rodzina.

Dzień później w podziemnej drukarni zagłębiowska PPS wydała ulotkę, w której anonimowy autor pisał: „Niechaj lud roboczy wie, że Duma carska mu nie pomoże, niech wie, że krew robotnicza w dalszym ciągu tryskać będzie strumieniami, że kazamaty i więzienia czekać będą na tych, którzy o prawa robotnicze będą się upominać, że niejedna jeszcze szubienica stanie, że niejedna kula przeszyje pierś robotniczą, zanim jutrzenka swobody i sprawiedliwości zajaśnieje dla ludu robotniczego". Wolność przyszła kilkanaście lat później, w listopadzie roku 1918.



Oczywiście, że są ogromne też braki w naszej organizacji, brak nam wykładowców, technikę zabijają ogromne przestrzenie, jakie dzielą jedną miejscowość Zagł. Dąbr. od drugiej, wiele fabryk nie posiada jeszcze sprężystej organizacji. Najgorzej jest z fabryką akcyjną w Zawierciu, gdzie przeważają endeki. Ale to wszystko z czasem się naprawi. Muszę tu wspomnieć na zakończenie o naszym dzielnym towarzyszu Edwardzie Miętce, który rzucając bombę na patrol kozacki karabinowym. mu wspaniały rewrlucyjne czerwone wstęgi.

Relacja o zamachu dokonanym przez Edwarda Miętkę w „Robotniku" z 22 maja 1906 r. FOT. ACADEMICA.EDU

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2ccfad23



Beata Zubowicz

W ciągu zaledwie kilku miesięcy 1962 r. do Francji uciekło prawie milion ludzi. Od czasów drugiej wojny światowej nie było w świecie zachodnim większego exodusu



XX w. / Zapomniany exodus Francuzów z Algierii

„Walizka albo trumna”

Algierscy Francuzi na statku zmierzającym do Marsylii, 1962 r. FOT. KEYSTONE FRANCE/GAMMA-RAPHO VIA GETTY IMAGES

O tym się nie mówiło – powtarza Dominique Lagrange, emerytowana chemiczka z Tuluzy, dopytywana o szczegóły wyjazdu jej rodziny z Algierii, ówczesnej francuskiej kolonii, na początku lat 60. XX w. Przeszłości nie rozpamiętywały ani jej babka, ani prababka, choć obie były „pieds-noirs” (dosłownie: czarne stopy), jak we Francji nazywa się europejskich osadników urodzonych w Algierii Francuskiej między rokiem 1830 a 1962. Określenie „pieds-noirs” to, według słownika, synonim repatrianta, ale Dominique go nie lubi. – Jest pogardliwe – mówi.

Wysiadając ze statków we francuskich portach, „pieds-noirs” czuli się gorzej niż uchodźcy. Propaganda komunistyczna (Francuska Partia Komunistyczna miała prawie 27 proc. poparcia w skali kraju i ogromne wpływy w środowiskach akademicko-intelektualnych) robiła z nich wyzyskiwaczy Arabów, którym wygnanie zwyczajnie się należało. O tym, że także oni są ofiarą dekolonizacji, nie mogło być mowy.

Precz z „kolonizatorami”

Wielki exodus rozpoczyna się jeszcze w czasie wojny algierskiej, choć we Francji nikt tego wojną nie nazywa. Mówi się o „wydarzeniach” (les événements). W okresie od 1 listopada 1954 r., daty uważanej za początek antyfrancuskiej rebelii, do 31 grudnia 1961 r. Algierię opuszcza 150 tys. Europejczyków. Po zawarciu, w marcu 1962 r., porozumienia między Paryżem a algierskim Frontem Wyzwolenia Narodowego (FLN) w śródziemnomorskich portach robi się tłoczno. Między styczniem a kwietniem 1962 r. wyjeżdża 70 tys. ludzi. W maju – 80 tys., na czerwiec przypada kulminacja – 300 tys. ludzi. Potem fala opada: w lipcu i sierpniu Algierię opuszcza 100 tys. ludzi. W sumie na ten krok zdecyduje się ok. 900 tys. Europejczyków, plus ponad 40 tys. harkisów – rdzennych Algierczyków lojalnych wobec Paryża. To był największy exodus w zachodnim świecie od czasów drugiej wojny światowej.

Emocje francuskich repatriantów zapewne nie różniły się szczególnie od uczuć Polaków zmuszonych do opuszczenia swoich domów na Kresach: trzeba się spakować w dwie walizki (norma na osobę), na pastwę losu zostawić kota czy psa, a potem godzinami czekać w porcie, aż ktoś litościwie zezwoli wejść na pokład statku, który zabierze ich do Francji.

Stłoczeni – statki zabierają więcej pasażerów niż przewidują przepisy – płyną do kraju, którego nie znają i którego się boją. „Na każdym pokładzie, na każdym korytarzu panuje ogromny niepokój” – notuje reporter magazynu „Paris Match”, który w maju 1962 r. towarzyszy repatriantom na pokładzie statku „Ville-de-Marseille”. Dyskomfort potęguje fakt, że podróże często odbywają się nocą – zapewne ze względów bezpieczeństwa, ale repatrianci będą po latach twierdzić, że po to, by Francuzi ich nie widzieli.

Francja metropolitalna jest dla nich bezwzględna. Marsylskie gazety piszą o nich jako o „kolonizatorach”, przedstawicielach klas „uprzywilejowanych”, „wyzyskiwaczach”, a nawet „faszystach”. Dziś za symbol tej niechętnej postawy uchodzą słowa Gastona Defferre’a, socjalistycznego mera Marsylii: „W Marsylii żyje o 150 tys. ludzi za dużo, niech pieds-noirs poszukają sobie miejsca gdzie indziej”.

Tymczasem statki dobijają głównie do tego największego francuskiego portu. Postawa mera udziela się urzędnikom, a przybyszom zwykłe czynności, takie jak wypełnienie formularzy czy kontrola dokumentów, będą się kojarzyć z początkiem serii upokorzeń. – Nie chcieli

eprasa.pl ac2ccfad23



Mała Dominique Lagrange z babcią i prababcią FOT. ARCHIWUM DOMINIQUE LAGRANGE

nas – to zdanie przewija się w zadziwiająco wielu wspomnieniach.

Aby pokazać, jak bardzo ich nie chcą, w porcie dokerzy z komunistycznych związków zawodowych potrafią zrzucić do wody cały dobytek repatriantów, taksówkarze żądają bajońskich sum za kurs, a właściciele nieruchomości śrubują ceny do granic możliwości. Francja, która kilka lat wcześniej bez trudu wchłonęła rodaków powracających z Indochin, Maroka czy Tunezji, teraz jest bezsilna wobec skali exodusu. Co prawda, rząd pospiesznie uchwala przepisy, zapewniające repatriantom jakieś świadczenia, ale okazuje się to kroplą w morzu potrzeb. Nieliczni szczęściarze dostają mieszkania w stawianych właśnie – w ramach rządowego programu modernizacji najuboższych dzielnic – blokach zwanych HLM (dosł. „mieszkanie za umiarkowany czynsz") w Marsylii, Nicei czy Montpellier. Częściej trafiają jednak do zaadaptowanych naprędce baraków w ośrodkach tymczasowych czy w dawnych koszarach.

Prababka Dominique, Anne Bon, przyjęła swój los bez słowa skargi. Z tym że ona miała szczęście: jej córka, Célestine Lagrange, wyjechała z Algierii kilka lat przed wybuchem arabskiej rebelii i w Paryżu była już zadomowiona. Jej decyzja o wyjeździe nie miała nic wspólnego z ruchami dekolonizacyjnymi – syn Célestine, René, zdał maturę i miał studiować w Paryżu, a ponieważ ona była już wdową (pan Lagrange zmarł w 1945 r.), w Algierze nic jej nie trzymało. Teraz Célestine zaopiekowała się matką. – Ani babka, ani prababka nie użalały się nad sobą – wspomina Dominique. Żal miała za to siostra babci, też Anne, może dlatego – snuje przypuszczenia Dominique – że wyjechała w 1964 r., dopiero wtedy, kiedy terror stał się nie do zniesienia.

Masowe osadnictwo

Bonowie przyjechali do Algierii pod koniec XIX w. – To była chłopska rodzina z francuskich Pirenejów. Prapradziadek był despotą. Ponieważ jego jedyna córka źle znosiła konflikty wybuchające między ojcem a mężem, pradziadkowie postanowili się wyprowadzić – opowiada Dominique. Dlaczego akurat do Algierii? Pewnie dlatego, że dzięki prowadzonej przez Paryż polityce osiedleńczej stosunkowo łatwo można się tam było urządzić.

Francuzi najechali Algierię w 1830 r. Pretekst dał ostatni władca Algierii Hussein Dey: w 1827 r. domagając się od Francji spłaty długu zaciągniętego na pokrycie wyprawy Napoleona do Egiptu (1799), uderzył francuskiego dyplomatę łapką na muchy. Paryż się uniósł – najpierw żądał satysfakcji, a potem wysłał do Algierii wojska. Oczywiście chodziło nie tyle o zniewagę, ile o politykę – uznano, że to dobry sposób na wzmocnienie monarchii.



Dom rodziny Dominique Lagrange w Algierze FOT. ARCHIWUM DOMINIQUE LAGRANGE

Niemal od razu ruszyli też osadnicy. Dostawali ziemię, dostęp do kredytów i ulg podatkowych, a także ochronę wojska. W pierwszej fali osiedleńczej znaleźli się m.in. przodkowie jednego z najważniejszych francuskich pisarzy XX stulecia – Alberta Camusa. A kiedy w 1848 r. Algieria została formalnie uznana za integralną część Francji, imigracja stała się masowa. Zdecydowana większość osadników należała – tak jak Bonowie i Lagrange'owie – do klas pracujących: byli urzędnikami niższej rangi, rzemieślnikami czy robotnikami. Jak się ocenia, z ok. miliona Europejczyków w Algierii tylko ok. 50 tys. żyło na wysokim poziomie.

Bonowie przyjeżdżają z małym dzieckiem, urodzonym jeszcze w metropolii. Osiadają w Algierze. Tu rodzą się im kolejne córki: ciotka Anne i babka Célestine. Pracują jako zwykli urzędnicy państwowi – pracownicy poczty i kolei – ale w nowych okolicznościach błyskawicznie awansują w hierarchii społecznej. Dominique pamięta piękny dom prababki w urzędniczej dzielnicy Algieru La Redoute (dziś El Mouradia). I choć sama – jako zwolenniczka lewicy spod znaku Jeana-Luca Mélenchona (notabene urodził się w marokańskim Tangerze) – jest jak najdalsza od kolonialnych sentymentów, to nawet ona przyznaje, że porzucenie Algierii było trudnym doświadczeniem. – To był ich kraj – powtarza Dominique.

Nieudana misja

Stosunek Francuzów do kolonialnych zdobyczy zawsze był szczególny. O ile Brytyjczycy traktowali swoje kolonie w sposób merkantylny, o tyle Francuzi do swoich podchodzili ideowo. W największym skrócie można to podejście opisać tak, jak zrobił to Adam Gwiazda w tekście „Wyzysk czy rozwój? Jak Francja kolonizowała Afrykę", opublikowanym w internetowym Tygodniku TVP: „Republikańska Francja, spadkobierca i depozytariusz idei Oświecenia i roku 1789, ma misję i obowiązek iść na cały świat i niczym Mojżesz nieść narodom kamienne tablice Praw Człowieka". Celowali w tym politycy republikańskiej lewicy. – Rasa

eprasa.pl ac2ccfad23



Algierscy Francuzi opuszczający Algierię, 1962 r. FOT. MARC RIBOUD - FONDS MARC RIBOUD AU MUSÉE GUIMET/MAGNUM PHOTOS/FORUM

wyższa nie podbija dla przyjemności ani dla wyzyskiwania słabszych, ale dlatego, by ich ucywilizować i podnieść do tego samego poziomu kultury – argumentował 28 lipca 1885 r. w parlamencie ich lider Jules Ferry, wolnomularz, wróg Kościoła katolickiego, promotor darmowej i laickiej edukacji, który dwa razy pełnił urząd szefa rządu.

Tyle że misja niesienia francuskiego kaganka niezbyt się powiodła. Struktura, którą w Algierii zbudowali Francuzi, przypominała niesformalizowany apartheid. Powstały dwa społeczeństwa równoległe, ale tylko mniejszość cieszyła się pełnią praw. Większość musiała się zadowolić namiastką w postaci Kodeksu Tubylczego (Code de l'Indigénat). Na jego podstawie można było bez wyroku sądu nakładać kary administracyjne, kierować na przymusowe roboty, konfiskować mienie czy internować. Te dwa ostatnie środki przyspieszały zwykle po antyfrancuskich powstaniach, które wybuchały zadziwiająco regularnie.

W konsekwencji Europejczycy przejęli najlepsze ziemie rolne. W rozrastających się miastach również dominowali Francuzi. Gdy jesienią 1962 r. z Oranu czy Bône (dziś Annaba, jeszcze wcześniej Hippona) uciekną Europejczycy, urzędy, policja, sądy i sklepy w zasadzie przestaną funkcjonować.

Europejczycy zmonopolizowali większość dobrze płatnych stanowisk pracy, bezrobocie niemal ich nie dotyczyło. Inaczej Algierczycy – w połowie XX w. 33 proc. z nich było bez pracy, a ci, którzy pracowali, musieli się zadowolić czterokrotnie niższym wynagrodzeniem.

Za sztandarowy obraz niesprawiedliwości dotykającej tubylców uchodzą reportaże Alberta Camusa zebrane pod wspólnym tytułem „Bieda w Kabylii" („Misère de la Kabylie").

W 1939 r. 26-letni dziennikarz komunizującej gazety „Alger Républicain", sam wywodzący się z ubogiej, robotniczej rodziny (biografowie z upodobaniem podkreślają fakt, że jego matka, z pochodzenia Katalonka, była analfabetką), jedzie do najbiedniejszego regionu Algierii. Widzi dzieci, które „wydzierały psom resztki ze śmietnika", arabskich robotników, „pracujących jak niewolnicy", nielicznych lekarzy (jeden przypada na 60 tys. mieszkańców), fatalny poziom scholaryzacji (jedno dziecko na 10 chodzi do szkoły) i wołające o pomstę do nieba warunki edukacji (klasy szkolne liczą po 80 uczniów).

Biorąc pod uwagę intelektualną uczciwość pisarza i jego odwagę, można założyć, że nie pisał pod antykolonialną tezę.

Intensywna polityka integracyjna nie przyniosła zatem efektów. Ludność arabska i berberyjska zachowały własny styl życia, język i religię, a Francuzi – charakterystyczne dla siebie poczucie wyższości. Dominique Lagrange wspomina, że jej ciotki (zawsze głosowały na socjalistów) rdzennych mieszkańców północnej Afryki nigdy nie nazywały inaczej niż „tubylcy". W głowie im się nie mieściło, że można się z nimi przyjaźnić albo – o zgrozo! – pobierać.



Patrol żołnierzy francuskich w Orleansville, 1957 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FACEBOOK GROUP

Beczka bez dna

Na domiar złego z ekonomicznego punktu widzenia kolonie zaczęły Francji ciążyć, choć co do tego aspektu zdania są podzielone. Zgodnie z lewicowym dogmatem Francja się na kolonizacji wyłącznie bogaciła. Ale historycy gospodarki, tacy jak Jacques Marseille czy Daniel Lefeuvre, twierdzą, że wzbogacili się tylko nieliczni Francuzi. A Francja więcej w Algierię zainwestowała, niż na niej zarobiła.

Ropę naftową, gaz czy rudy metali odkryto zbyt późno. Natomiast żeby cała ta cywilizacyjna misja miała sens, trzeba było od zera zbudować porty, mosty, drogi, szpitale, budynki administracyjne, szkoły itp. Płacili za to Francuzi z metropolii. Nawet handel miał się odbywać na ich koszt, bo w Algierii produkcja była średnio o 20 proc. droższa niż w europejskiej części kraju. Metropolia wydawała zatem grube miliardy franków na to, co gdzie indziej mogłaby kupić taniej. Za przykład podaje się zwykle wino: litr algierskiego trunku kosztował 35 franków, podczas gdy greckie, hiszpańskie lub portugalskie wino tej samej jakości można było kupić za 19 franków.

Do tego doszły fatalne rządy. Tuż przed wybuchem wojny algierskiej, w latach 1952–1953, Algieria Francuska zwyczajnie zbankrutowała. Aby ratować kolonię, rząd w Paryżu musiał ciąć budżet metropolitalny, który i tak był mocno obciążony, m.in. wydatkami na wojsko.

Francja utrzymywała w Algierii ogromne siły, które rosły w momentach napięć. W latach wojny algierskiej stacjonowało tam ponad pół miliona żołnierzy, w najgorętszym okresie – nawet 750 tys.

Generał Charles de Gaulle będzie później pisał w pamiętnikach, że ponieważ kolonie były beczką bez dna, należało się ich pozbyć, bo opóźniały rozwój gospodarczy Francji. – Dekolonizacja to nasz

eprasa.pl ac2ccfad23

interes, a więc nasza polityka – powie w 1961 r.

Zamachy i porwania

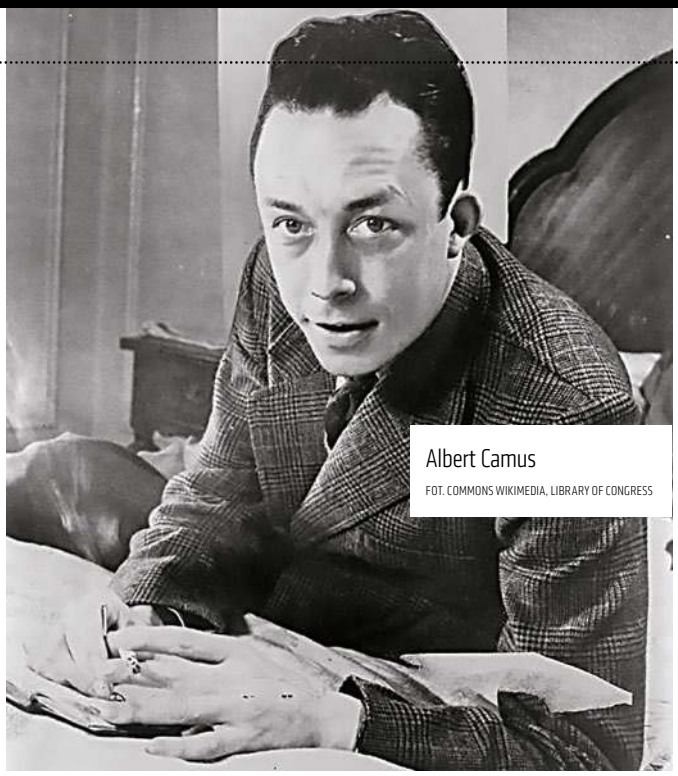
Rok później w Évian podpisze z FLN porozumienia o zawieszeniu działań wojennych i uznaniu przez Francję suwerenności i integralności terytorialnej Algierii. Podczas gdy we Francji kontynentalnej zostały one przyjęte z ulgą, Francuzi z Algierii powszechnie uznali je za katastrofę. Nikt ich na to nie przygotował. Przeciwnie – jeszcze niedawno politycy zarzekali się, że przenigdy nie porzucą Algierii.

Co prawda, procesy dekolonizacyjne były już w toku, bo Francja właśnie straciła Indochiny, ale gdy 1 listopada 1954 r., w krwawy dzień Wszystkich Świętych, FLN rzucił Paryżowi wyzwanie, ówczesny szef MSW François Mitterrand (przykładny socjalista) zapewnił, że Francja nie wycofa się z Algierii i nie podejmie z buntownikami negocjacji; jedyną odpowiedzią będzie wojna.

Ponieważ francuska armia odnosiła sukcesy militarne, „pieds-noirs" mogli sądzić, że nic złego im nie grozi. Sęk w tym, że francuskie elity nie bardzo już wiedziały, co z Algierią począć. Wahał się także gen. de Gaulle: w 1958 r., krótko po powrocie do władzy, zapewniał, że nie odda Algierii, by już we wrześniu 1959 r. proponować prowincji samostanowienie.

Tymczasem wojna w Algierii toczyła się nie tylko między wojskiem a bojownikami wspieranymi przez Związek Sowiecki i kraje arabskie. Uczestniczyli w niej także intelektualiści, a głosy takie jak Alberta Camusa, który starał się widzieć wielowarstwowość problemu, ginęły w marksistowskim jazgocie.

Na pisarza spadła zresztą lawina krytyki za to, że



Albert Camus

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

podczas spotkania ze studentami na uniwersytecie w Sztokholmie, dokąd pojechał w grudniu 1957 r. odebrać Literacką Nagrodę Nobla, ujął się za swoimi rodakami. – Zawsze potępiałem terroryzm. Muszę więc również potępić akty terroru, przeprowadzane bez powodu na przykład na ulicach Algieru, które pewnego dnia mogą dotknąć moją matkę lub moją rodzinę. Wierzę w sprawiedliwość, ale będę raczej bronił mojej matki niż sprawiedliwości – mówił pisarz, nawiązując do tego, co spotykało Europejczyków w ciągu ośmiu lat krwawej wojny.

Ich codzienność wyznaczał tymczasem ciąg zamachów bombowych, porwań i egzekucji. Było tego tyle, że w gazetach pojawiły się specjalne rubryki pt. „Ataki". Arabscy sąsiedzi mieli dla Francuzów tylko jedną propozycję: „walizka albo trumna".



Świętowanie uzyskania niepodległości przez Algierię, 1962 r.

FOT. MARC RIBOUD - FONDS MARC RIBOUD AU MUSÉE GUIMET/MAGNUM PHOTOS/FORUM

Płonące stosy

Potem do listy krzywd dochodzą wydarzenia z 1962 r. W marcu w strzelaninie na Rue d'Isly w Algierze – francuscy żołnierze otworzyli ogień do „pieds-noirs" protestujących przeciwko porozumieniom z Évian – zginęło 80 osób, a ponad 200 zostało rannych; w lipcowych masakrach w Oranie w ciągu kilkunastu dni bojownicy o wolność poderżnęli gardła co najmniej 95 (a być może nawet ponad 300) cywilom obojga płci. Późniejszy bilans ujawni, że połowa europejskich ofiar wojny zginęła lub zaginęła już po podpisaniu porozumień z Évian.

Choć oczywiście Francuzi też się nie patyczkowali. Wystarczy spojrzeć na te liczby: w latach 1954–1962 zginęło ponad 600 tys. ludzi (Algieria długo podawała zawyżoną liczbę 1,5 mln): 300–500 tys. Algierczyków; 25–30 tys. francuskich żołnierzy; 3–6 tys. „pieds-noirs" i ok. 30–90 tys. harkisów, zamordowanych po 1962 r., czyli w Algierii wolnej już od Francuzów.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że choć porozumienia z Évian gwarantowały „pieds-noirs" bezpieczeństwo, prawa obywatelskie i ochronę mienia, to wybrali oni ucieczkę. W Algierze i Oranie płonęły domy, samochody i stosy mebli, których Europejczycy nie chcieli zostawić zwycięzcom.

W końcu wyjeżdża też ciotka Dominique, Anne. Sprzedaje dom za bezcen i ląduje niedaleko wsi w Pirenejach, z której 70 lat wcześniej wyemigrowali jej dziadkowie. Francji nie polubi i przez resztę życia będzie miała poczucie krzywdy. – Była bardzo nieszczęśliwa – mówi Dominique.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2ccfad23



Film a prawda historyczna / Najsłynniejszy czołg Hitlera

David Schütter w roli dowódcy czołgu w filmie „Tiger" Dennisa Gansela

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Tygrys na samotnych łowach



Jakub Ostromęcki

„Tiger" Dennisa Gansela był przez kilka tygodni najchętniej oglądanym przez polskich widzów filmem na platformie Prime. Jego scenariusz bazuje jednak na nonsensie – nikt nie wydałby zgody na taki samotny rajd czołgowy. Z wielu powodów byłoby to samobójstwo

Druga wojna światowa. Front wschodni. Niemcy nacierają czołgiem. W Polsce wielu widzów może od razu podejrzewać, że wydźwięk filmu będzie podobny do „Naszych matek, naszych ojców", czyli zobaczymy zrzucania winy za zbrodnie na wszystkich, tylko nie na rycerski Wehrmacht. Należy uspokoić rozgrzane głowy. Nic takiego w filmie Gansela nie występuje. Obraz jest antywojennym moralitetem, w którym niemiecka wina jest pokazana bardzo jasno.

Pięciu facetów narażonych na przeróżne niebezpieczeństwa, zamkniętych w stalowym, ciasnym monstrum. Każdy ulepiony z innej gliny. Zbereźny i prosty kierowca, katolicki intelektualista służący jako radiooperator, młodziutki rolnik ładowniczy, wyrafinowany winiarz w roli celowniczego i stoicki dowódca hołdujący niewyszukanemu mottu: „Rozkaz ponad wszystko". Taki obraz jest dla kina zbyt kuszący, by z niego zrezygnować. Panzerkampfwagen VI Tiger to przecież czołg legendarny. „Za każdym razem, gdy wyjeżdżaliśmy ze strefy bojowej, a żołnierze piechoty stali na drodze i słyszeli nadjeżdżającego Tygrysa, stali tak, gapiąc się na nas z rozdziawionymi ustami, jakby chcieli powiedzieć: »A cóż to nadchodzi?«. Czuliśmy się jak królowie" – wspominał jeden z niemieckich pancerniaków. Filmowy oddział, w którym walczy Tygrys, to 503. Batalion Czołgów Ciężkich. Była to samodzielna jednostka Wehrmachtu, której nazwę polski tłumacz, nie sprawdzając terminologii wojskowej, przetłumaczył jako „503. dywizja". Czołg ma numer taktyczny 311, a więc należałby do dowódcy 1. plutonu, 3. kompanii tego batalionu.

Szóste miejsce

Jest rok 1943, już po bitwie pod Kurskiem. Załoga maszyny otrzymuje misję o kryptonimie Labirynt. Gdzieś na rozpościerającej się na głębokość 100 km ziemi niczyjej, która powstała po oderwaniu się Niemców od sowieckiego natarcia, ukrywa się w bunkrze płk Paul von Hardenburg. Posiada informacje, które nie mogą wpaść w ręce Sowietów, bo spowodują natychmiastową klęskę III Rzeszy. Oficera trzeba jak najszybciej odnaleźć i ściągnąć za linię frontu. Ma to zrobić czołg dowodzony przez por. Gerkensa.

Na froncie wschodnim w 1943 r. oczywiście nigdzie nie było tak gigantycznej ziemi niczyjej. Dwa totalitarne imperia trwały cały czas w krwawym klinczu. Z tego punktu widzenia operacja „Labirynt", której sednem jest przemierzanie samopas Tygrysem sowieckich pustkowi, wydaje się na pierwszy rzut oka projektem poronionym. Dopiero jednak niepokojące zjawiska w czasie marszu i samo zakończenie filmu powodują, że ten niebywały pomysł nabiera fabularnego

eprasa.pl ac2ccfad23



Tygrys strzela do sowieckiego czołgu w bitwie pod Kurskiem FOT. BUNDESARCHIV

sensu. Więcej na temat finału zdradzić jednak nie można, bo groziłoby to spoilerem.

Rozważania na temat szans Tygrysa, gdyby ktoś jednak faktycznie wysłał go na samotną misję ratowniczą, rozpocznijmy od rzeczy zupełnie prozaicznej: Gdzie niby „na szóstego" miałby się zmieścić w czołgu uratowany Hardenburg? Czyżby zakładano, że przynajmniej jeden z członków załogi misji nie przeżyje? Wożenie cennego i być może osłabionego rozbitka na pancerzu też nie wchodzi w grę, ponieważ maszyna ma do przemierzenia ponad 100 km w niebezpiecznym terenie.

Na froncie wschodnim zdarzało się oczywiście, że pod pancerzem upychano szóstego członka załogi, i to w czasie walki. W czasie drugiej bitwy o Charków na początku 1943 r. korespondent wojenny SS Joachim Gernau spędził kilka godzin w mniejszym od Tygrysa czołgu Panzer III, upchnięty pod armatą i tłamszony butami kolegów, ale przejażdżka odbyła się na dystansie 2 km i skończyła się uszkodzeniem czołgu przez zamaskowany w stodole T-34. Na Tygrysa dowodzonego przez pancernego asa Michaela Wittmanna wchodził czasami sanitariusz, ale opuszczał wóz natychmiast po zauważeniu w okolicy pierwszego rannego.

Samotne łowy daleko od własnych pozycji sprawdzały się w przypadku okrętu podwodnego, o którym napisano słynną powieść „Okręt". U-boot jest jednak w porównaniu z czołgiem w dużo bardziej komfortowej sytuacji. Jego silnik nie podlega tak gwałtownym przeciążeniom jak w przypadku czołgu, mniej prawdopodobna jest zatem awaria, a pływając – czy to w odmętach, czy na powierzchni – nie ma wokół siebie martwych pól, skąd mogłaby niepostrzeżenie nadejść wroga piechota. Po walce U-boot skrywa się w morskiej toni. Dla czołgu pozostają jedynie lasy lub zabudowania, a i tak nie są to kryjówki w pełni bezpieczne. Czołg jest poza tym hałaśliwy i dymi, okręt podwodny jest natomiast chichy.

Na froncie wschodnim Niemcy dokonali oczywiście kilku samotnych wypadów Tygrysem poza własne ugrupowanie, ale charakter tych zdarzeń był zupełnie inny. Najsłynniejsze z nich miało miejsce w lipcu 1943 r. Podczas bitwy na łuku kurskim dowodzący niedomagającym Tygrysem Untersharfführer Franz Staudegger wyjechał w lasostep swoją maszyną daleko poza linię niemieckiej piechoty, stając naprzeciw kontratakującym T-34. Załoga czołgu, bijąc się z nimi na dużym dystansie, wykorzystując przewagę pancerza i jakości działa, ustrzeliła ich łącznie 22 sztuki. Samotny Tygrys po powstrzymaniu kontrnatarcia ścigał jeszcze Sowietów, a Staudegger nakazał odwrót dopiero po tym, jak silnik zaczął kaszleć i skończyła się cała amunicja. Za swój wyczyn dowódca czołgu dostał Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego, ale jego samotna wyprawa trwała kilka godzin, a nie kilka dni jak w filmie.

Tygrys jak rumak

Czołgi nie służą do wielodniowych polowań na ziemi niczyjej, ale Tygrys nie nadaje się do tego szczególnie. Ta potężna maszyna była koszmarem dla mechaników, kierowców i zaopatrzeniowców. Zacznijmy od tego, że Tygrys na jednym baku w terenie, do tego walcząc, czyli spalając jeszcze więcej paliwa, mógł przejechać raptem 60 km. Filmowy kierowca utyskuje w pewnym momencie: „Niemiecki cud techniki, a nie da rady nawet łba wychylić". To fakt. Właz kierowcy Tygrysa skonstruowany był w ten sposób, że nie można było jednocześnie prowadzić maszyny i rozglądać się po przedpolu. Pozostawał malutki wizjerek ze wzmocnionego szkła z przodu, a w pierwszych miesiącach użytkowania czołgu na froncie pozbyto się nawet peryskopu kierowcy – był zbyt wrażliwy na ogień wroga. Tygrysem trzeba zatem było kierować niemal po omacku. Na osłodę pozostawała półautomatyczna, hydraulicznie wspomagana skrzynia biegów, która w porównaniu z T-34 działała nad wyraz płynnie.



Michael Wittmann FOT. BUNDESARCHIV

Sprzęgło wciskało się w Tygrysie tylko przy wrzucaniu pierwszego biegu i przy zatrzymaniu. Lewarek można było z kolei przesuwać prawą ręką zupełnie bez wysiłku. Bardzo trzeba było jednak uważać przy jednoczesnym cofaniu i skręcaniu. Źle dobrany bieg i zbyt gwałtowny skręt wolantem mogły doprowadzić do zerwania gąsienicy. Taki niebezpieczny manewr wykonuje właśnie w filmie kierowca Tygrysa w czasie walki z sowieckim działem pancernym.

Panzerkampfwagen VI był czołgiem potwornie ciężkim, o wadze 60 ton i ogromnym nacisku na centymetr kwadratowy. Duża część sowieckich mostów załamałaby się pod jego ciężarem. Sytuację ratowało tzw. głębokie brodzenie, o czym dalej. Była to maszyna znakomita do pojedynkowania się, ale podobnie jak większość czołgów z drugiej wojny światowej była awaryjna. W warunkach frontu wschodniego gotowość bojowa maszyn wynosiła ok. 65 proc. To oznacza, że filmowy Tygrys miałby takie same szanse na bezawaryjne wykonanie misji.

Słabą stroną konstrukcji pierwszych Tygrysów były zapalające się przewody paliwowe i konieczność bardzo precyzyjnego kontrolowania temperatury silnika. Maszyna miała kilka rzędów zachodzących na siebie kół nośnych pokrytych gumą na obwodzie. Koła te były

eprasa.pl ac2ccfad23

połączone ze sobą wałkami skrętnymi biegnącymi przez całą szerokość kadłuba, pod podłogą przedziału bojowego. W sowieckich błotach ulegały one szybkiemu zniszczeniu. Wymianę gąsienic i kół można było przeprowadzić w warunkach polowych rękami samej załogi, ale majstrowanie przy wałkach było koszmarem – aby się do nich dostać, trzeba było zdemontować wieżę i wyjąć silnik. Naprawa zawieszania zajmowała doświadczonym mechanikom 36 godzin. Żywotność zawieszenia skracały wiosenne i jesienne roztopy, natomiast w lecie silnik cierpiał z powodu upałów. Temperatura powietrza 35 st. C była dla Tygrysa zabójcza. Jak poważny był problem z brakiem części zamiennych, uzmysławia nam raport 502. batalionu z lata 1944 r. W ciągu półtora miesiąca w liczącym 40 czołgów batalionie do wymiany było 16 silników, a na stanie posiadano raptem cztery sztuki. Podobnie było ze skrzyniami biegów. Pod żadnym pozorem nie wolno było więc Tygrysem podróżować na dalekie odległości. Najlepiej, gdyby prosto z rampy kolejowej trafiał na pole bitwy.

Tygrys był zatem odpowiednikiem średniowiecznego rycerskiego rumaka. Krzątało się wokół niego mnóstwo osób, nie lubił dalekich podróży, więc siodłano go bezpośrednio przed walką. Tu dawał z siebie wszystko, niósł zwycięstwo, ale potem musiał długo odpoczywać.

Holowanie

Nasze wyobrażenie o walce czołgów zredukowane jest do obrazu heroicznego boju stalowych potworów pędzących na siebie przez stepy lub czających się jeden na drugiego w stodołach lub stogach siana. Wokół często chyłkiem przebiega piechota, walcząc z wrogiem, którego załoga czołgu nie jest w stanie dojrzeć. Próżno szukać tu dziesiątków specjalistycznych pojazdów i zastępów zaopatrzeniowców, techników i mechaników, bez których żaden czołg nie ujechałby daleko. Niemcy, bardzo wyczuleni na punkcie rycerskości, archaicznie zwali tych żołnierzy „czeladzią obozową", nie odmawiając jej wszak heroizmu i poświęcenia.

W batalionie czołgów ciężkich liczącym etatowo ponad 40 maszyn istniały sekcje i kompanie ciężarówek, samobieżnych dźwigów na kołach i półgąsienicowych holowników czy nawet samobieżnych suwnic bramowych. Zdecydowana większość wozów batalionu to właśnie maszyny tego typu ciągnące za Tygrysami w stosunkowo niewielkiej odległości. Naprawianie zepsutego Tygrysa było ciężką i niewdzięczną robotą. Najgorsze było holowanie uszkodzonej maszyny – potrzebne do tego były nieraz aż trzy półgąsienicowe holowniki, a jeśli maszyna utknęła w błocie, to konieczny był drugi czołg dowolnego typu w roli kotwicy lub wyciągarki. Za filmowym Tygrysem nie podążała tymczasem ani jedna ciężarówka z częściami zapasowymi, holownik, dźwig czy ciągnik.

Co ciekawe, załoga filmowego czołgu polega na osobistych ręcznych kompasach. Te jednak zaczynają drgać wszystkie naraz. Ta dziwna sytuacja zostaje wyjaśniona w zakończeniu, ale załogi prawdziwych czołgów nie spoglądały w czasie jazdy na kompasy, bo te odkształcały kierunek z powodu tak ogromnego nagromadzenia stali. Dlatego w przedziale bojowym obok siedzenia kierowcy na stałe zamontowany był żyroskop.



Adolf Hitler wręcza Michaelowi Wittmanowi Liście Dębu do Krzyża Rycerskiego Krzyża Żelaznego, luty 1944 r. FOT. BUNDESARCHIV

Tygrys w walce

Filmowy czołg stacza dwa pojedynki. Najpierw bije się na przyczółku mostowym z nacierającymi T-34, niszcząc ich jeden po drugim. Pomijając bezsens bronienia mostu, który zaraz ma zostać wysadzony i przez który wycofały się już wojska niemieckie, jest to starcie bliskie rzeczywistości. Na froncie wschodnim jeden Tygrys mógł faktycznie w czasie starcia ustrzelić sporą liczbę T-34. „Kiedy w pobliżu nie było żadnych myśliwców bombardujących, mogliśmy łatwo pokonać wszystkie nieprzyjacielskie czołgi, nawet gdy ich przewaga liczebna wynosiła trzy do jednego" – wspominał oficer 503. batalionu czołgów ciężkich. Z racji potrzeby dramaturgii wszelkie filmowe bitwy czołgowe rozgrywają się na bardzo bliskich dystansach. W rzeczywistości Tygrys przy dobrej pogodzie niszczył przedni pancerz T-34 z odległości 1,5 km, sam zbierając jedynie niegroźne zadrapania.

O odporności Tygrysa świadczy raport z jednej z bitew: „Ogółem naliczyliśmy 227 śladów trafienia pociskami z rusznic ppanc, 14 trafień z dział ppanc 57 mm oraz 11 z dział ppanc 76 mm. Ostrzał poważnie uszkodził podwozie z prawej strony. Elementy łączące kilku kół jezdnych uległy zniszczeniu, pękły dwa drążki skrętne. Oś tylnego koła napinającego też została uszkodzona. Mimo takich uszkodzeń Tiger zdołał przejechać jeszcze 60 km". Maszyna ta zaliczyła jeszcze pożar silnika, który jednak opanowany został przez automatyczny system gaśniczy.

Wojna to sport drużynowy, o czym nie chcą pamiętać twórcy filmów. Dowódca 501. batalionu czołgów ciężkich w 1943 r. pisał zatem: „Na obszarach zarośnię-

eprasa.pl ac2ccfad23



Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego z Liśćmi Dębu

FOT. WIKIPEDIA.DE, BRUCE MARVIN

tych lub górzystych, na których może znajdować się w rozproszeniu nieprzyjacielska piechota, każdy »Tiger« musi mieć do osłony czołg lekki". Pod koniec tego roku stwierdzono, że lepiej spiszą się tu transportery opancerzone. Niemniej jednak Tygrysowi, walczącemu z wrogimi czołgami i ze stanowiskami artylerii, ktoś musiał pomagać, eliminując wrogów, którzy byli mniej zabójczy, ale wciąż jednak dość niebezpieczni.

Tygrys kiepsko natomiast radził sobie z pościgiem za uciekającymi Sowietami, a ponadto sporym problemem był dla niego czołg ciężki IS-2. W starciu z nim Tygrysa ratowała jedynie szybkostrzelność armaty. „W pojedynki ogniowe z czołgami Iosif Stalin należy się wdawać tylko siłami całego plutonu. Walka podjęta przez pojedynczego »Tygrysa« doprowadzi do utraty czołgu" – przestrzegano w instrukcjach. Mówimy oczywiście o pierwszej wersji Tygrysa.

Drugą, dużo trudniejszą walkę filmowy Tygrys stacza z sowieckim samobieżnym działem pancernym. Z dialogu dowiadujemy się, że to SU-100, ale w 1943 r. maszyny te jeszcze nie weszły do służby. Po kształcie działa wnosić można zatem, że jest to SU-152. Działo pancerne, nie mając obrotowej wieży, nie uczestniczy w walce manewrowej. Zamiast tego posuwa się za piechotą lub czołgami, wspierając je ogniem potężnego działa. Innym jego zadaniem jest czajenie się w zasadzkach na nadjeżdżające czołgi przeciwnika. Wtedy taka maszyna staje się niszczycielem czołgów. Pod żadnym pozorem nie powinna jednak opuszczać swojej kryjówki, dążąc do zwarcia w przeciwnikiem, a to właśnie czyni w filmie na swoją zgubę. Tygrys nie musiał oczywiście czekać, aż działo wpadłoby w lej po pocisku. Po prostu wycofałby się i próbowałby objechać jego pozycję.

Czołg w wodzie

Sowieckie działa pancerne były znienawidzone przez załogi Tygrysów do tego stopnia, że nawet as pancerny Michael Wittmann, który pod koniec 1943 r. miał już na koncie 50 zniszczonych T-34, za bardziej honorowe uważał niszczenie właśnie ich. Celny strzał z SU-152 niszczył bowiem Tygrysa. Maszyna ta miała niską szybkostrzelność i celność – tylko to dawało Niemcom nadzieję w starciu. Nawiasem mówiąc, podobną skuteczność miały niemieckie działa pancerne. Maszyny Stug notowały więcej zniszczonych sowieckich pojazdów pancernych niż czołgi, w tym Tygrysy.

Filmowy czołg napotyka SU dwa razy. Za pierwszym razem chowa się przed nim w rzece. Przygoda ta wywołała ze strony niektórych komentatorów szyderstwa. Brodzący Tygrys? Dobre sobie. Były to jednak utyskiwania zupełnie nieuprawnione. Ogromny Tygrys rzeczywiście mógł brodzić po dnie rzek. Udane próby wodne przeprowadziły zarówno Wehrmacht, jak i armia brytyjska na zdobytych egzemplarzach.

Reżyser odtworzył przygotowania do zanurzenia czołgu z drobiazgową dokładnością, na czele z wkręcaniem ogromnej chrapy we wlot powietrza silnika – choć w realiach drugiej wojny światowej załogi wkręcały ową chrapę również w otwór w wieży czołgu, zyskując w ten sposób metr wysokości. Nie wiemy jednak, czy jakikolwiek Tygrys w warunkach bojowych brodził zanurzony w rosyjskich lub francuskich rzekach.

Na froncie wschodnim dokonały tego czołgi Pzkpfw III, forsując Dniepr w okolicy Ozieryszcz na Białorusi w czasie operacji „Barbarossa". W akcji tej chodziło o chwilowe uchwycenie przyczółka na wschodnim brzegu rzeki. Było to zadanie trudne, ponieważ rzeka miała tu aż 3,5 metra głębokości, a jej brzegi były grząskie. Co więcej, czołgi po wykonaniu zadania miały wycofać się na „niemiecki" brzeg. Udało się, i to mimo tego, że jedna z maszyn miała w pancerzu dziurę, w którą wciśnięto prowizorycznie gruby pniak, a reszta miała zniszczone w walkach uszczelki. Skoro zatem brodzić mógł Pzkpfw III, to dałby radę zrobić to nowocześniejszy Tygrys. Jedyny szkopuł w tym, że forsowanie Dniepru poprzedzone było rozpoznaniem brzegów, a w filmie załoga Gerkensa robi to spontanicznie, licząc, że na dnie nie będzie np. zwalonych drzew czy mułu. Generalnie zalecano jednak, aby tak skomplikowanej operacji towarzyszyli saperzy i piechota.

Skoro były to tak wspaniałe maszyny, to dlaczego nie zmieniły losów choćby jednej kampanii? Było ich zwyczajnie za mało. W szczytowym momencie na europejskich frontach walczyło ich raptem kilkaset, a w sumie zbudowano ich raptem nieco ponad 1,3 tys. Na zachodzie dodatkową ich zmorą było wysoko wyspecjalizowane alianckie lotnictwo szturmowe.



Kadr z filmu „Tiger" Dennisa Gansela

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2ccfad23



Anette Hauschild, z cyklu „Wieś Wesendahl", 1992 r

1983–1995 / Siedem ostatnich lat NRD i pięć po jej upadku

Uciec z klatki. I co dalej?



Piotr Semka

Borykając się z cenzurą, fotoreporterzy usiłowali pokazać prawdziwy obraz niemieckiego państwa komunistycznego, a gdy przestało ono istnieć, rejestrowali to, jak ludziom zawalił się świat

Muzeum Brandenburskie Przyszłości, Teraźniejszości i Historii w Poczdamie od lat prowadzi ambitny program dokumentowania zmian na terenach największego landu dawnej NRD. W tzw. nowych landach jest to bardzo drażliwy temat. Nadzieje polityków z zachodu Niemiec, że w miarę upływu kolejnych dekad od upadku muru berlińskiego tzw. Ostalgia będzie słabła, się nie spełniają. Poczucie inności Niemców z dawnego „pierwszego państwa robotników i chłopów" wciąż trwa. Świadczy o tym nadzwyczajna popularność na wschodzie kraju partii Alternatywa dla Niemiec i postkomunistycznej Die Linke. Tamtejsze gazety, jak choćby „Nordkurier", „Märkische Oderzeitung" i Thüringer Allgemeine", pełne są tekstów przypominających, jak się żyło w epoce pierwszych sekretarzy partii komunistycznej: Waltera Ulbrichta i Ericha Honeckera.

Na wschodzie Niemiec wciąż widoczne jest poczucie skrzywdzenia w wyniku wyjątkowo brutalnej transformacji systemowej w latach 1989–1995. Wtedy to wielkie, a także te mniejsze zakłady pracy, będące dla obywateli NRD całym znanym światem, w ciągu raptem kilku miesięcy bezceremonialnie zlikwidowano lub sprywatyzowano. A najczęściej były wykupywane za bezcen przez bogatych inwestorów z Kolonii, Monachium czy Frankfurtu nad Menem. Zwykłym ludziom świat walił się na głowę.

Linie podziału

Tamtym właśnie czasom poświęcona jest wystawa w Muzeum Brandenburskim Przyszłości, Teraźniejszości i Historii, nazwana „W poszukiwaniu szerokich, otwartych przestrzeni". Prezentowane są na niej zdjęcia z lat 1983–1995, czyli ostatnich siedmiu lat istnienia NRD i pierwszej pięciolatki w nowych kapitalistycznych warunkach.

„Chodź! Na otwartą przestrzeń, przyjacielu" – ten pierwszy wers wiersza romantyka Friedricha Hölderlina był popularnym powiedzeniem w późnym NRD. Do tych nastrojów nawiązuje nazwa wystawy, której kuratorkami są Isabel Enzenbach i Anja Tack z Centrum Historii Współczesnej im. Leib-

eprasa.pl ac2ccfad23



Tina Bar, z cyklu „Nuda", 1988 r.

niza w Poczdamie (ZZF). Muzeum tak reklamuje wystawę „Kuratorki prezentują fotografie artystów, którzy używali aparatów, aby poszerzyć perspektywy". Prezentowane serie fotografii powstały przed przełomem z lat 1989–1990 i po nim. Ukazują one ograniczenia społeczne i wstrząsy tamtych lat.

Autorzy wystawy wskazują: „To epoka, która jest dziś wspominana i kontrowersyjnie komentowana. Znajdują się na niej zdjęcia autorstwa dwunastu wybranych wschodnioniemieckich fotografów z tamtej epoki: Tiny Bary, Christiane Eisler, Christiana Fengera, Anselma Graubnera, Annette Hauschild, Ute Mahler, Jürgena Matschiego, Petera Oehlmanna, Ludwiga Raucha, Joachima Richau, Merit Schambach i Barbary Wolff. Ekspozycja podzielona została na pięć tematycznych rozdziałów: »Młodość«, »Praca«, »Ciało«, »Przemoc« i »Przestrzenie życiowe«. Przedstawia społeczeństwo NRD w stanie transformacji. W »długiej dekadzie przemian« między końcem NRD a latami 90. ujawniają się linie podziału i ciągłości, co skłania do ponownego przyjrzenia się tej transformacyjnej dekadzie w Niemczech Wschodnich".

Dla młodego widza zgromadzone na wystawie zdjęcia to wyprawa w nieco egzotyczny już świat fotoreportażu. Liczne NRD-owskie magazyny ilustrowane zatrudniały w tamtych latach fotografików na naprawdę wysokim poziomie. To samo zjawisko istniało także w Polsce, gdzie tygodniki „ITD", „Razem", „Na Przełaj", „Panorama" i „Czas" publikowały w latach 70. i 80. fotoreportaże pełne artystycznego polotu. Ich drapieżne w swej wymowie były blokowane przez zachowawczą postawę wyznaczanych przez partię redaktorów naczelnych i aktualną polityką komunistycznej cenzury.

Objuczeni kilkoma aparatami NRD-owscy fotoreporterzy wysyłani byli do zakładów pracy, by dokumentować „ciężką pracę w budowie socjalizmu". Z punktu widzenia ideologicznych zarządców komunistycznej prasy ich zdjęcia miały rejestrować sukcesy w budowie socjalizmu pod hasłem „każdy dzień przynosi nowe zwycięstwa". Ale fotoreporterzy tygodników takich jak „Für Dich", „Neue Berliner Illustrierte (NBI)", „Wochenpost", „Junge Welt", „Das Magazin" czy „Sonntag" mieli własne spojrzenie, rozum i wrażliwość. Widzieli poprzez soczewki aparatów także to, co miało pozostawać tajemnicą. Zdewastowane środowisko, przestarzałe kombinaty, dysfunkcjonalność gospodarki planowej, ściganie przez ludową policję NRD-owskich punków, wyzysk robotników ukryty pod sloganami o państwie, które „wszystko robi dla człowieka". Inne tematy tabu z epoki Honeckera to narkomania, wyzysk robotników sezonowych z Wietnamu, Angoli i Mozambiku oraz zacofanie wsi. Każdy numer tygodników stawał się polem walki między uczciwością fotoreporterów a asekuranctwem kierownictwa redakcji.



Merit Schambach, Berlin Wschodni, Prenzlauer Berg, 1988 r.

Upadek muru berlińskiego wydawał się wybawieniem dla fotografów walczących o swobodę wypowiedzi. Cenzura zniknęła, pojawiły się szanse na publikowanie nowych, drapieżnych fotografii, na które wcześniej nie było miejsca w kleszczach partyjnej kontroli prasy. Tyle że ten rozkwit trwał jedynie parę lat po upadku muru. Tytuły z NRD-owskim rodowodem mogły już wprawdzie pisać o wszystkim i nie bać się cenzury, ale zmiany na rynku podcinały im nogi. Mutacje zachodnich pism i tygodników zalały bowiem rynek prasowy dawnej NRD i wypychały stare tytuły. Co istotne, nowe pisma przedstawiały zachodni punkt widzenia, rzadko uwzględniając wschodnioniemiecką specyfikę.

Pisma z NRD-owskim rodowodem początkowo z ufnością patrzyły w przyszłość. Nie musiały już kłamać,

eprasa.pl ac2ccfad23

odzyskały wiarygodność i wydawało się, że przyzwyczajeni do nich od dekad czytelnicy będą nadal je kupować. Jednak pisma z epoki NRD nie miały tyle kapitału, aby przetrwać zmiany, w przeciwieństwie do nowych, zachodnich tytułów wydawanych przez wielkie i bogate koncerny z zachodnich landów. Dlatego tylko nieliczne pisma wschodnioniemieckie, takie jak np. „Das Magazin", przetrwały do dziś.

Ambitna fotografia reporterska stała się za droga, skoro można było kupować gotowy „kontent" z zachodu. Rozpowszechnienie się z czasem fotografii smartfonowej było ostatecznym końcem epoki chwały fotoreporterów, czemu towarzyszył spadek popytu na papierowe media. Dlatego wystawa w Poczdamie to podróż do zamierzchłej krainy, kiedy to fotografia miała ambicje demaskować patologie i pokazywać, jak się naprawdę żyje.

Wyrwać się z klatki

Młoda dziewczyna pozuje do zdjęcia tak, jakby chciała się jak najszybciej wydostać ze zdewastowanej budki telefonicznej. Zdjęcie Tiny Bary wykonane na ulicy w Berlinie Wschodnim w 1985 r. dobrze oddaje nastroje młodej generacji NRD – klaustrofobia, obrzydzenie skostniałą dyktaturą starców z politbiura, duszenie się w „państwie zamkniętym", w krainie kontrolującej społeczeństwo wyjątkowo rygorystycznie, nawet na tle innych państw obozu socjalistycznego. Gdy w Związku Sowieckim Michaił Gorbaczow zaczął wprowadzać nieśmiało reformy pod hasłami pieriestrojki i „głasnosti", w NRD panował kompletny zastój, a Erich Honecker zapowiadał, że „mur będzie stać jeszcze 100 lat". Jedynymi azylami była prywatność i w miarę apolityczna kontestacja, symbolizowana przez punkowską fryzurę i skórzaną kurtkę ramoneskę. Na jednym ze zdjęć tak właśnie ubrana jest młoda „nowofalówa", paląca papierosa na podwórku starej kamienicy, hen gdzieś na berlińskim Prenzlauer Bergu.

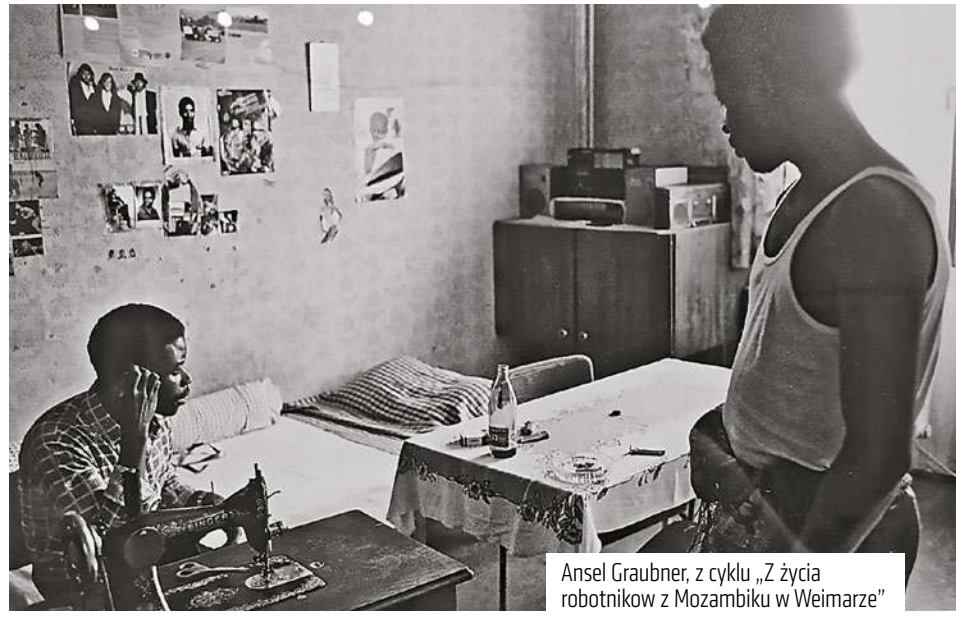
Kolejna seria fotografii nosi nazwę „Mój pokój" (1984) i była pomysłem



Christine Eisler, zakład dla trudnej młodzieży żeńskiej w Crimmitschau, 1987 r.

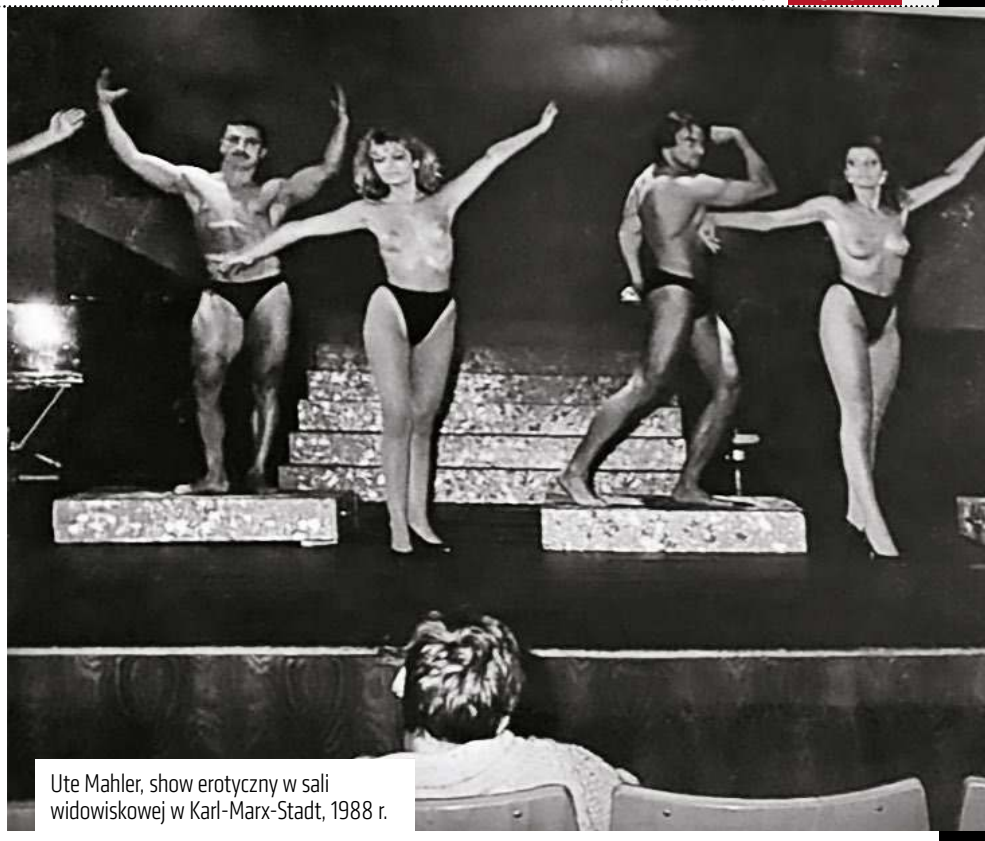


Joachim Richau, Przetwórnia warzyw i owoców we wsi Beerfelde, 1984-1988



Ansel Graubner, z cyklu „Z życia robotnikow z Mozambiku w Weimarze"

eprasa.pl ac2ccfad23



Ute Mahler, show erotyczny w sali widowiskowej w Karl-Marx-Stadt, 1988 r.

Z czasem fotograf odkrył i docenił występujące tu proste bytowanie oparte na ciężkiej pracy i małych wymaganiach wobec życia

fotografki Christiane Eisler na przedstawienie życia młodych ludzi z wielkopłytowego osiedla Grünau – sypialni Lipska. W ciasnym pokoikach młodzi pozują na tle zdjęć zachodnich kapel przytwierdzonych do ścian taśmą klejącą. Papierowy erzac Zachodu w klitce jednego z licznych NRD-owskich blokowisk. Jej aparat zaglądał też do miejsc, gdzie znaleźć można było tę „gorszą" młodzież. Christiane Eisler zawitała do Jugendwerkhofu w Crimmitschau w Saksonii, przędzalniczego zakładu poprawczego opartego na „wychowaniu przez pracę". Kierowano tu żeńską „trudną młodzież" – dziewczyny skazane za lżejsze przestępstwa, np. pospolite kradzieże. Eisler utrwaliła na zdjęciu przerwę w pokoju socjalnym. Panienki palą papierosy, a z rogu sali przygląda im się bacznie popiersie Lenina.

Fotograf Joachim Richau prezentuje z kolei zdjęcia z maleńkiej brandenburskiej wsi Beerfelde. „Początkowo byłem przytłoczony atmosferą absolutnej nicości, bycia w »środku nigdzie«, którą tu odkryłem" – wspomina Richau. To dobrze znane polskim turystom przejeżdżającym przez niegdysiejsze postenerdowskie wsie poczucie wyludnienia i bezruchu. Z czasem fotograf odkrył i docenił występujące tu proste bytowanie oparte na ciężkiej pracy i małych wymaganiach wobec życia. W połowie lat 80. musiało to silnie kontrastować z „wyścigiem szczurów" w wielkich NRD-owskich metropoliach, w których walczono o talon na meblościankę albo skierowanie na wczasy do Bułgarii. Autor zdjęć zaglądał do Beerfelde przez pięć lat i wykonał tu ok. 2,5 tys. zdjęć. Dziś są jak dokument z innego świata.

I wreszcie temat, który w ostatnich latach NRD stał się niezwykle drażliwy. Pierwsze nieliczne grupy opozycyjne biły na alarm, że motywowana ideologicznie industrializacja, niemająca względu na ochronę środowiska, zamieniła wielkie połacie NRD w wyniszczoną pustynię. Fotograf magazynu „Neue Berliner Illustierte" został w 1985 r. wysłany do VEB Elektrokohle w berlińskiej dzielnicy Lichtenberg. Był to kombinat przetwarzający węgiel i grafit. Miał tam uwiecznić wzorową brygadę imienia Karola Marksa, tymczasem jego zdjęcia pokazywały fatalne warunki pracy, zapylenie i robotników bez ochronnej odzieży. Gdy pokazał zdjęcia szefom, odmówili wydrukowania ich.

Gorzka wolność

Druga część wystawy pokazuje wschodnie landy po zjednoczeniu. Ansel Graubner na początku 1990 r. odwiedził z aparatem fotograficznym hotel dla „robotników kontraktowych" z Kuby i Mozambiku w VEB Weimar-Werk. Gdy ustał przymus demonstrowania internacjonalistycznej przyjaźni, czarnoskórzy robotnicy nagle zderzyli się z falą niechęci. Tuż obok wystawione są zdjęcia z blokowisk Rostocku, gdzie w 1992 r. skinheadzi podpalili azyl dla imigrantów, a także fotografie wyrostków, żyjących w świecie, gdzie właśnie skończył się czas pionierskiej chusty, a nowe zachodnie wzorce wychowawcze jeszcze się nie przyjęły.

Widzimy też na wystawie zapis groteskowego przeszczepiania pod wschodnioniemieckie strzechy seksbiznesu z Zachodu. Jedno ze zdjęć przestawia sex-shop w prywatnym mieszkaniu w Oranienburgu w 1989 r. Tina Bara obfotografowała zamkniętą fabrykę chemiczną Buna w miejscowości Leuna w Saksonii-Anhalt. Dawny moloch – duma socjalizmu – teraz jest zamknięty i niszczeje, stanowiąc dziwny pomnik dawnej epoki.

Na koniec zaczątki nowego. Fotografka Annette Hauschild dokumentowała powstawanie klubów techno music we wschodnim Berlinie w latach 1990 i 1991. Na jej zdjęciach widzimy klaustrofobiczne wnętrza i posępny postindustrialny „szyk" dyskotekowych sal w dawnych zakładach tekstylnych.

Było, minęło. Dobrze, że ktoś to uwiecznił. Szkoda, że w Polsce nikt nie zdobył się na zorganizowanie podobnej ekspozycji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „W poszukiwaniu szerokich, otwartych przestrzeni" w Poczdamie potrwa do 26 marca 2026 r.

eprasa.pl ac2ccfad23



Żołnierze I/111 Azerbejdżańskiego Batalionu Polowego podczas powstania warszawskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESAERCHIV

Lata 1941–1945 / Ludy kaukaskie w planach Berlina

Hitlerowska gra o Kaukaz



Arkadiusz Karbowiak

Niemcy instrumentalnie wykorzystali antykomunistyczne nastawienie mieszkańców Kaukazu. Szczególnie mocno wspomogli hitlerowską machinę wojenną Azerowie

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej wzmógł wśród Azerów nadzieje na odbudowanie niepodległego Azerbejdżanu. Adolf Hitler zamierzał wprawdzie wygrać wojnę z Sowietami bez pomocy narodów zamieszkujących ZSRS, jednak w przypadku Kaukazu, a szczególnie żyjących tam muzułmanów, wyrażane przez Turcję zainteresowanie przyszłością Azerbejdżanu, Krymu i Dagestanu skłoniło przywódcę Rzeszy do pewnej korekty swej dotychczasowej polityki w tym zakresie. Podpisany 18 czerwca 1941 r. pakt o nieagresji z Turcją tylko chwilowo zadowalał Hitlera. Jasne było, że Führer zainteresowany jest grą o wyższą stawkę. Celem było skłonienie Turcji do przystąpienia do wojny po stronie Niemiec.

Władze w Ankarze zapewne miały tego świadomość, jednak nie chciały całkowicie pozostawić ludów turkijskich na łasce Berlina. Stąd już w sierpniu ambasador Turcji w Niemczech, Gerede Hüsrev, zasugerował w rozmowie z sekretarzem stanu w niemieckim MSZ, Ernstem Freiherrem von Weizsäckerem, ewentualne zjednoczenie narodów kaukaskich w celu powołania do życia na Kaukazie państwa buforowego (drugą kwestią było zainicjowanie podobnego tworu na wschód od Morza Kaspijskiego). Niemiecki wysłannik do Turcji Hans Kroll potwierdził konieczność poparcia tureckich dążeń w sprawie utworzenia państw pod parasolem Ankary. We wrześniu 1941 r. z von Weizsäckerem i Ernstem Woermannem spotkał się Nuri Pasza, jeden z wpływowych panturkistów, brat przeciwnika Kemala Atatürka, poległego w walkach z Armią Czerwoną

eprasa.pl ac2ccfad23



Ernst von Weizsäcker

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV



Mehmed Emin Resulzâde

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DILGAM AHMAD COLLECTION

w 1922 r., który również wspomniał o sensowności takiego rozwiązania. Istotne znaczenie miała także wizyta dwóch tureckich wojskowych: gen. Fauda Erdena, komendanta tureckiej Akademii Wojennej w Ankarze, i gen. Hüsnü Emira Erkileta, nieoficjalnego przedstawiciela turkmeńsko-tatarskich kręgów emigracyjnych w Ankarze.

Ten ostatni zaproponował, by Niemcy wyrazili zgodę na otwarcie biura centrum politycznego reprezentującego ludy turkijskie. Nie doszło do tego, ale w Berlinie utworzono Narodowy Komitet Azerbejdżanu, na którego czele stanął Mehmed Emin Resulzâde, działacz zainicjowanego przez Polskę (Oddział II SG WP) ruchu prometejskiego (Klub Prometeusz), członek Komitetu Niepodległości Kaukazu, lider centrowej i wówczas już federalistycznej partii azerskiej. Został on zaproszony na zorganizowaną w Berlinie przez byłego ambasadora Rzeszy w ZSRS, hr. Friedricha Wernera von Schulenburga, konferencję narodów znajdujących się pod okupacją bolszewicką. Jednak zamiast pozytywnie wykorzystać tę inicjatywę, Alfred Rosenberg i jego Ostministerium (Ministerstwo Rzeszy do spraw Okupowanych Terytoriów Wschodnich) storpedowali to przedsięwzięcie. Co więcej, Adolf Hitler zabronił swojemu MSZ angażowania się w tego rodzaju inicjatywy, wyłączne plenipotencje w tej sprawie przyznając Ostministerium (Hitler nie zdecydował jeszcze o przyszłości politycznej Kaukazu po spodziewanym niemieckim zwycięstwie).

Z WP do SS

Tak kunktatorska postawa wywołała niezadowolenie wśród przybyłych na konferencję działaczy niepodległościowych. Dostrzegali oni u Niemców chęć instrumentalnego wykorzystania antykomunistycznego nastawienia Azerów w celu poprawienia swojej sytuacji na froncie, przy jednoczesnym braku jakiejkolwiek oferty wsparcia dla dążeń niepodległościowych tych kaukaskich narodów. 5 sierpnia 1943 r., po wycofaniu się Niemców z Kaukazu i fiasku operacji „Zitadelle", Resulzâde podał się do dymisji ze względu na brak niemieckich gwarancji dla niepodległości Azerbejdżanu. W ten sposób zakończyła się współpraca azerskich działaczy prometejskich z Niemcami.

Nie oznacza to jednak, że kolaboracja zakończyła się całkowicie. Po zjeździe, do którego doszło w listopadzie 1943 r., nową azerską strukturę kolaboracyjną, występującą pod nazwą Zgromadzenie Jedności Narodowej Azerbejdżanu, założył Magomed Nabi Olgi Izrafiłow. Był to oficer armii azerskiej z okresu Demokratycznej Republiki Azerbejdżanu, następnie oficer kontraktowy Wojska Polskiego w stopniu pułkownika, służący najpierw w 36. Pułku Piechoty Legii Akademickiej, a później w 29. Dywizji Piechoty. W czasie wojny w ramach powstałej na Ukrainie turkmeńskiej 162. DP, traktowanej jako ośrodek szkoleniowy kaukaskich batalionów, dowodził – po x jednostki do Włoch i na Słowenię – złożonym z Azerów 314. Pułkiem Piechoty. Pod koniec 1944 r. przeszedł do Waffen-SS (do Kaukasisches Waffen-Verbande der SS), gdzie w stopniu Waffen-Standartenführera objął dowodzenie nad Waffen-Gruppe Aserbaidschan. Po wojnie, nie chcąc opuścić swych dawnych podkomendnych, wydawanych w ręce bolszewików, był wraz z nimi deportowany do ZSRS, gdzie został osądzony i skazany na karę śmierci (wykonaną 11 lipca 1945 r.).

Poza Ukrainą Niemcy rozpoczęli formowanie Ostlegionów również w GG. 13 stycznia 1942 r. ukonstytuowało się w Legionowie dowództwo pierwszego Legionu Turkmeńsko-Kaukasko-Mahometańskiego. Jego dowódcą został



Żołnierze Oddziału Specjalnego „Bergmann" podczas powstania warszawskiego FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

eprasa.pl ac2ccfad23

mjr Andreas Mayer-Mader. Legion podzielono 24 marca 1942 r. na część turkmeńską i kaukasko-mahometańską. Później z tej ostatniej jednostki wyodrębniono Legion Azerbejdżański. W okupowanej Polsce Azerowie szkolili się w obozach w Paprotni i Jedlni. W początkowej fazie utworzono cztery azerskie bataliony o numerach od 804 do 807. Dwa z nich – 804. i 805. – wysłano na front kaukaski jeszcze jesienią 1942 r., gdzie zyskały bardzo dobre opinie ze strony niemieckiego dowództwa (podczas drugiej fazy tworzenia Legionu Azerbejdżańskiego do połowy 1943 r. powstało w GG kolejnych pięć batalionów o numerach od 817 do 821).

Azerskie bataliony uczestniczyły w szczególnie zaciętych walkach, co odbiło się na wysokości ich strat (w przypadku 805. batalionu wynosiły one 21 proc.). W sumie zatem na terenie GG powstało dziewięć takich batalionów. Kolejnych siedem sformowano w Priłukach na Ukrainie. Utworzono tam następne oddziały – I/111, II/295, I./97(Jg.), I./101(Jg.), I./4(Geb.) i I./73 (w tym ostatnim podczas stacjonowania na Krymie doszło do dezercji części żołnierzy do sowieckiej partyzantki, a grupa komunistycznych konspiratorów została ujawniona i rozstrzelana).

Jesienią 1943 r. na polecenie Hitlera rozpoczęto w ramach operacji „Panther" przerzucać na front zachodni jednostki Ostlegionów. Azerski batalion 807. trafił do Francji, gdzie włączono go do 242. dywizji piechoty i jako IV batalion 765. pułku walczył z aliantami lądującymi na południu Francji w ramach operacji „Dragoon" (pewna część jednostki zdezerterowała i dołączyła do francuskiej partyzantki FFI).

Bergmannowcy w natarciu

Największym zaufaniem w oczach Niemców cieszyli się azerscy ochotnicy z Oddziału Specjalnego „Bergmann". Pomysł utworzenia pod skrzydłami Abwehry tej specjalnej jednostki kaukaskiej narodził się w głowach kilku oficerów Wehrmachtu. Jednym z nich był Theodor Oberländer, wskazany na dowódcę jednostki z uwagi na wiedzę i doświadczenie wyniesione ze służby w ukraińskim oddziale specjalnym „Nachtigall". Oberländer był wykładowcą na Uniwersytecie w Królewcu, a następnie w Breslau. Od młodości studiował języki wschodnie; oprócz rosyjskiego mówił po gruzińsku i potrafił porozumiewać się również w językach kaukaskich. W 1928 r. uzyskał doktorat. W latach 1930–1934 kilkakrotnie odwiedzał ZSRS, w tym Gruzję, Armenię i Azerbejdżan. Służąc w Abwehrze, zajmował się tematyką kaukaską, rozwijając przy okazji kontakty z tamtejszymi emigrantami.



Żołnierz Oddziału Specjalnego „Bergmann" z naszywką – sztyletem kaukaskim

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESACVHIV



Theodor Oberländer

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESACHIV

Kiedy zapadła decyzja o utworzeniu batalionu, Oberländer i podlegli mu oficerowie rozpoczęli poszukiwanie w obozach jenieckich potencjalnych podkomendnych. Selekcja była bardzo staranna. Po jej zakończeniu wolontariuszy kierowano na szkolenie do obozu Luttensee. Zakończyło się ono pod koniec lipca 1942 r. Liczebność batalionu wynosiła 1,2 tys. żołnierzy, z czego trzy czwarte stanowili przedstawiciele narodów kaukaskich: Gruzini, Azerowie, Ormianie, Abchazi, Czerkiesi, Bałkarzy, Karaczajowie, Czeczeni, Ingusze, Kurdowie, Tałysze, Osetyjczycy i różne narody Dagestanu, m.in. Awarowie i Lakowie. Natomiast pozostałe 300 osób stanowili Niemcy przeniesieni z dywizji górskich Wehrmachtu. Jednostka składała się początkowo z pięciu kompanii strzeleckich. Zgodnie z planami niemieckiego dowództwa bergmannowcy mieli wziąć udział w zdobyciu północnego i południowego Kaukazu. Batalion „Bergmann" był do grudnia 1942 r. częścią Pułku Szkolnego do Zadań Specjalnych „Brandenburg-800", czyli stanowił formację Abwehry, a później przeszedł pod dowództwo Oberkommando des Heeres. Jednostkę nadzorowali Niemcy i oni też pełnili funkcje dowódców kompanii.

29 lipca 1942 r. batalion „Bergmann", ubrany w niemieckie tropikalne mundury strzelców górskich, wyruszył w podróż z Bawarii na Kaukaz. 10 września „Bergmann" dotarł do Mozdoku. Od razu niewielka jego część została przerzucona w rejon rzeki Terek niedaleko stacji Iszczerska i wsi Beno-Jurt, gdzie rozlokowali się żołnierze 3. azerbejdżańskiej kompanii. Od 17 września do 10 listopada Azerowie stracili ponad 60 zabitych i rannych. Pomimo przegrupowania na Kaukaz batalion nie był – poza paroma przypadkami – wykorzystywany zgodnie z zamierzeniami. Poszczególne kompanie przydzielono do różnych jednostek. Wszystkie kompanie wykorzystywano do prowadzenia operacji antypartyzanckich, mających z natury rzeczy brutalny charakter.

Od 26 stycznia do 2 lutego 1943 r., w związku z wycofywaniem się jednostek niemieckich z Kaukazu na Półwysep Krymski, przeniesiono także Sonderverband Bergmann. Miejscem jego stacjonowania były obwody bachczysarajski

eprasa.pl ac2ccfad23

i kujbyszewski. W czasie służby na półwyspie bergmannowców kierowano do walki z partyzantami. W kwietniu „Bergmanna" powiększono do pułku i podzielono na bataliony: I – gruziński, II – azerski, III – północnokaukasko-ormiański. Liczebność oddziału wzrosła do 2453 osób (1080 Gruzinów, 420 Azerów, 160 Ormian i ponad 800 mieszkańców Kaukazu Północnego).

4 sierpnia 1943 r. doszło do zmian w dowództwie jednostki. Reakcją na opublikowane w czerwcu przez Hauptmanna Theodora Oberländera memorandum, w którym postulował on lepsze traktowanie wschodnich narodów, było zwolnienie go z funkcji dowódcy Sonderverband Bergmann. Od marca 1945 r. pełnił on funkcję kierownika szkoły propagandystów Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej (ROA) w Dabendorf. 23 kwietnia 1945 r. Oberländer dostał się do niewoli alianckiej. Po wojnie pracował dla Gehlen Organisation, a w 1953 r. kanclerz Konrad Adenauer mianował go w swoim rządzie ministrem do spraw wysiedleńców.

Podczas służby na Krymie pułk „Bergmann" został podporządkowany 153. Feldausbildungs-Division. W obliczu sowieckiej ofensywy żołnierze kaukascy jesienią 1943 r. znaleźli się na pierwszej linii frontu, odpierając ataki czerwonoarmistów na Przesmyku Perekopskim. Ostatecznie azerscy ochotnicy opuścili Krym wiosną 1944 r., przemieszczając się do Chersonia, a stamtąd do Odessy.

Reszta pod koniec marca przez port Sewastopolu odpłynęła do Rumunii. Azerski batalion rozlokowany został w rejonie Kolonii, a w lipcu 1944 r. jego żołnierze rozpoczęli szkolenie na poligonie w Wandern koło Frankfurtu nad Odrą.

W Warszawie

Wybuch powstania warszawskiego wywołał po stronie niemieckiej gorączkowe poszukiwania jednostek, które mogłyby zostać skierowane do jego stłumienia. W gronie oddziałów dyslokowanych do akcji przeciw powstańcom znalazły się dwa bataliony złożone z azerbejdżańskich ochotników. Jako pierwszy w Warszawie pojawił się (prawdopodobnie 4 sierpnia) II Batalion „Bergmann", który jednak przybył w niepełnym składzie osobowym, ponieważ w meldunku z 5 sierpnia widnieją tylko dwie z czterech kompanii. Dołączono go do Einsatzgruppe Reinefarth. Dzień później pojawił się kolejny oddział złożony z Azerów – batalion I/111, posługujący się nieoficjalną nazwą „D□nmec", dowodzony do jesieni 1943 r. przez Hauptmanna Wernera Scharrenberga, a podczas walk w Warszawie przez Hauptmanna Hansa Eineckego (w polskiej historiografii jako dowódca z okresu powstania podawany jest W. Scharrenberg). Była to jednostka sformowana dla 111. Dywizji Piechoty, a jej tworzenie rozpoczęto w maju 1942 r. na Ukrainie w obozie szkoleniowym Priłuki. II Batalion Bergmann pod dowództwem dr. Hauptmanna Huberta Martelsamnna złożony był z czterech kompanii. Batalion podporządkowany był najpierw Angrifsgruppe (Grupie Uderzeniowej) „Dirlewanger", a pod koniec września 1944 r. Kampfgruppe Reinefarth. Jedynie działająca przez pewien czas niezależnie od reszty batalionu 7. kompania przydzielona została do Grupy Uderzeniowej mjr. Maxa Recka i weszła „z marszu" do walk o Wolę.



Bardzo prawdopodobne, że azerscy żołnierze brali udział w masakrze pacjentów Szpitala św. Łazarza przy ulicy Wolskiej 18/Leszno 127, gdzie miało zginąć aż 1,2 tys. osób (nie wszyscy byli ofiarami Azerów), a ponadto w zabójstwach co najmniej 15–16 osób, na czele z dr. Włodzimierzem Kmicikiewiczem. Natomiast Azerowie z całą pewnością brali udział w wypędzeniu pacjentów ze Szpitala Wolskiego przy ulicy Płockiej 26 oraz w zabójstwach dokonanych w Szpitalu Dziecięcym im. Karola i Marii.

W marcu 1945 r. azerski batalion I/111 przeformowano w III batalion 1627. pułku grenadierów 599. Grenadier Brigade „Russland". II Batalion Bergmann trafił natomiast do Danii. Bergmannowcy zostali wysłani do Ringkobing w zachodniej Jutlandii, ale ponieważ nie chcieli się dać rozbroić duńskiemu ruchowi oporu, przemieścili się do Niemiec, do prowincji Schleswig-Holstein, i tam złożyli broń przed Brytyjczykami.

Żołnierze azerscy wydani zostali w ręce funkcjonariuszy sowieckiego Smierszu. Część zamordowano, a resztę umieszczono w łagrach. Niektórzy z Azerów mieli szczęście i nie trafili do ZSRS. Do takich osób należał Abdurrachman Ali ogły Fatalibejli-Dudenginski. Dzięki niesamowitemu zrządzeniu losu udało mu się we Włoszech uniknąć deportacji do Sowietów. Po wybuchu zimnej wojny napisał nawet list do brytyjskiego premiera Clementa Attlee, dzieląc się w nim refleksjami na temat zaogniającej się sytuacji w stosunkach pomiędzy państwami zachodnimi a ZSRS. Mieszkał w Egipcie, Turcji i w Niemczech Zachodnich. W 1953 r. został szefem azerskiej sekcji Radia Wolna Europa. Swoje programy zaczynał słowami: „Drodzy rodacy! Słyszycie nasz głos z wolnego świata". Ta aktywność byłego majora Armii Czerwonej i bohatera Orderu Czerwonej Gwiazdy skupiła na nim uwagę sowieckich służb. 20 listopada 1954 r. został zamordowany w Monachium, prawdopodobnie przez agenta KGB Michaiła Ismaiłowa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Абрамян Э., ***„Кавказцы в Абвере";*** *Instytut Pileckiego,* ***„Akta Bundesarchiv",*** *IP/Arch/7/35.8.4.2/56, IP/Arch/7/35.8.4.2/53; Jeloschek A., Richter F., Schütte E., Semler J.,* ***„Freiwillige vom Kaukasus. Georgier, Armenier, Aserbaidschaner, TschFreiwillige vom Kaukasusetschenen u.a. auf deutscher Seite – Der »Sonderverband Bergmann« und sein Gründer Theodor Oberländer";*** *Kuberski H.,* ***„Walki SS-Sonderregiment Dirlewanger o Wolę a egzekucje zbiorowe ludności cywilnej",*** *„Dzieje Najnowsze", Rocznik LIII 2021, 1; Kuberski H.* ***„Wschodnioeuropejscy ochotnicy cudzoziemscy w niemieckich oddziałach Ostheer, SS i policji pacyfikujących Powstanie Warszawskie. Casus »własowców«, Kałmuków i SS Galizien...",*** *„Dzieje Najnowsze" 2015, t. 47, nr 3 (2015).*

eprasa.pl ac2ccfad23



Dukat koronny z 1794 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Wieki XI–XXI / Historia polskiego pieniądza

Od denara do złotego



Jakub Wozinski

Tysiącletnie dzieje rodzimego pieniądza odzwierciedlają wszystkie wzloty i upadki polskiego państwa

Za pierwszy polski pieniądz uznaje się tradycyjnie srebrny denar wybity ok. 1000–1005 r. na polecenie Bolesława Chrobrego, choć nie brak też opinii, że inauguracja piastowskiej mennicy mogła mieć miejsce dopiero pod sam koniec jego rządów.

Pierwszy polski król bił monety, które stanowiły ówcześnie standardową jednostkę pieniężną w całej łacińskiej Europie. Do obiegu wprowadził je u schyłku VIII w. sam Karol Wielki, a następnie robili tak wszyscy kolejni władcy chrystianizującej się Europy. Łaciński denar odpowiadał na ogół wagą funkcjonującemu w świecie islamu srebrnemu dirhemowi, który miał znaczny udział w naszej historii za sprawą handlarzy niewolników. Liczne znajdowane na terenie ziem polskich monety arabskie stanowią smutne dziedzictwo czasów sprzed przyjęcia chrztu, gdy nasi przodkowie pozbawieni odpowiedniej ochrony trafiali na bliskowschodnie targi niewolników.

Wybicie pierwszych monet polskiego państwa było nie tylko kwestią prestiżu, lecz także widomym znakiem, że miejscowi władcy są w stanie zapewnić rodzimej ludności bezpieczeństwo. Warto mieć przy tym świadomość, że pierwsze srebrne monety służyły głównie kupcom i możnym. W czasach Mieszka I wśród zwykłej ludności funkcję pieniądza nadal spełniały choćby płaty skóry (do dziś mówimy, że za coś „płacimy"). Do tego samego celu wykorzystywano także m.in. tkaniny czy grudki soli.

Przyglądając się współcześnie srebrnym denarom, aż trudno uwierzyć, że były one niegdyś „grubym" pieniądzem, czyli służącym do wymian o dużej wartości. Nie powinno to jednak dziwić, biorąc pod uwagę fakt, że odkrycie największych złóż srebra nastąpiło dopiero w kolejnych wiekach. Polscy władcy rezydujący w Krakowie mogli tradycyjnie liczyć na złoża zlokalizowane w okolicach Olkusza, lecz niestety nasi sąsiedzi mieli dostęp do dużo zasobniejszych pokładów. W Niemczech już w połowie X w. odkryto srebro w górach Harzu i to właśnie specjaliści z Saksonii znajdowali później często zatrudnienie w krakowskich mennicach.

Ogromne szczęście uśmiechnęło się później do Królestwa Czech i Królestwa Węgier, które od końca XII w. zaczęły eksploatować swoje niezwykle zasobne złoża odpowiednio w okolicach Kutnej Hory i Jihlavy oraz w Bańskiej Szczawnicy czy Kremnicy. Fakt, że oba te państwa były w średniowieczu na ogół silniejsze niż Królestwo Polskie, należy wiązać w znacznej mierze z posiadanymi przez nie obfitymi rudami metali szlachetnych. W Polsce srebro było dostępne głównie na Śląsku, ale dzielnica ta odpadła od reszty państwa w następstwie realizacji testamentu Bolesława Krzywoustego.

Pierwsza liga

Wróćmy jednak do XI w. i rządów Bolesława Śmiałego, któremu przypadło w udziale uruchomienie pierwszej masowej produkcji polskich monet. Wcześniejsze emisje były dość skromne, lecz władca, który zdobył słynący z bogactwa Kijów, mógł wybić nawet 1,3 mln

eprasa.pl ac2ccfad23

denarów o łącznej wadze 440 kg. Polska wchodziła tym samym do pierwszej ligi monetarnej, gdyż była w stanie w znacznej mierze zapanować nad większością krajowego obiegu pieniężnego. Wcześniej władcy byli zdani na dominację monet z innych krajów, co ograniczało im możliwość manipulacji stopą menniczą. Od tego momentu dysponenci regale menniczego zaczęli niestety nadużywać swojego przywileju, doprowadzając tym samym do okresowych buntów.

Najsłynniejszym średniowiecznym władcą, który dopuszczał się psucia pieniądza dla własnej korzyści, był Mieszko III Stary. Sprawujący dość despotyczne rządy książę tuż po objęciu tronu przystąpił do bicia brakteatów, czyli kiepskiej jakości monet z jednostronnym stemplem. Na dodatek stosował kolejne przymusowe wymiany monet na nowe o niższej stopie, co odbywało się ze sporymi stratami dla całego społeczeństwa. Przeciwko księciu seniorowi wybuchł wreszcie w 1177 r. bunt, na którego czele stanął biskup krakowski Gedko, który zaprosił na tron Kazimierza Sprawiedliwego. Mieszko III musiał się salwować ucieczką do Niemiec.

Największą przeszkodą dla powtórnego zjednoczenia ziem polskich pod piastowskim berłem stali się na przełomie wieków XIII i XIV stulecia czescy Przemyślidzi. Koronowany w 1300 r. na króla Polski Wacław II dokonał wielkiej reformy monetarnej, wprowadzającej do obiegu grosze praskie, stanowiące odpowiednik 12 denarów. Sprowadzeni do Kutnej Hory mincerze z Włoch, wybijając nawet kilkanaście milionów groszy rocznie, byli w stanie zapewnić czeskiemu władcy ogromną przewagę nad pozostałymi monarchami. Najlepiej świadczy o tym fakt, że regularna produkcja groszy krakowskich (stanowiących odpowiednik praskich) ruszyła dopiero w 1367 r.



Denar Bolesława Chrobrego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GABINET NUMIZMATYCZNY DAMIAN MARCINIAK



Floren Władysława Łokietka

FOT. MUZEUM NARDOWE W KRAKOWIE



Grosz krakowski Kazimierza III Wielkiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GABINET NUMIZMATYCZNY DAMIAN MARCINIAK

Drugą superpotęgą w zakresie emisji pieniądza były w tym okresie Węgry, w których już w 1325 r. zaczęto bić złote floreny, analogiczne do tych spotykanych we Włoszech. W Królestwie Polskim pierwsza emisja złotych monet miała miejsce dopiero w 1528 r. za sprawą Zygmunta Starego i była ona do tego symboliczna. Na ziemiach podległych królowi polskiemu nie było niestety nigdy obfitych rud złota, a pasywne w zakresie polityki morskiej polskie państwo nie zdołało sobie zapewnić dostaw kruszcu z terytoriów zamorskich. Złoto było w naszej historii głównie domeną kupców zagranicznych oraz najzamożniejszych warstw społecznych, lecz mimo to polskie pieniądze noszą do dziś nazwę „złoty". Jak do tego doszło?



Kopalnia srebra w Kutnej Horze w XV w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GALERIE STŘEDOČESKÉHO KRAJE

Dwa obiegi

Polski „złoty" pojawił się po raz pierwszy jako jednostka obrachunkowa w 1480 r., choć nie istniała wówczas żadna moneta o tej nazwie. Najpopularniejszymi polskimi monetami były grosze, szelągi, szóstaki, trojaki czy też później talary. Terminem „złoty" posługiwali się głównie zarządcy mennic, buchalterzy czy też kupcy. Pod koniec rządów Kazimierza Jagiellończyka złoty polski został zdefiniowany jako 30 srebrnych groszy i do tego kursu nawiązywała nawet reforma monetarna Stanisława Augusta Poniatowskiego z 1766 r.

Jak widać, złoty obrachunkowy był zaledwie substytutem prawdziwych złotych monet, które w znacznych ilościach były w stanie bić tylko światowe potęgi. W handlu międzynarodowym w wiekach XVI–XVII dominowały cztery rodzaje złotych monet: dukat habsburski, dukat wenecki, monety hiszpańskie (m.in. escudo) oraz dukat holenderski. Mimo że w Polsce bardzo pielęgnowany jest obraz złotego, już w XVI w. zauważalny był wtórny status polskiej gospodarki względem zorientowanych na handel kolonialny gospodarek państw zachodnich. Nie przeszkadzało to oczywiście w tym, aby polscy władcy bili dobrej jakości pieniądze na użytek wewnętrzny. Na dodatek w 1526 r. zawarto nawet unię monetarną z Prusami Książęcymi, na której mocy polskie pieniądze zaczęły w większej ilości krążyć także w państwie rządzonym przez Hohenzollernów.

Problemem Rzeczypospolitej było jednak to, że wykształciły się w niej dwa równoległe obiegi pieniężne: w transakcjach z kupcami zagranicznymi posługiwano się złotymi, obcymi monetami, lecz podatki uiszczano w srebrnej, polskiej monecie. Niestety, środowiska szlacheckie zaczęły już od początku XVI w. sztucznie zawyżać

eprasa.pl ac2ccfad23



Czterdzieści dukatów Zygmunta III Wazy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, COINLINK.COM, MACIEJ SZCZEPAŃCZYK MATHIASREX



Tymf. Nominał 30 gr

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PRAWO KRWI



Pięć złotych z 1831 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

przy pomocy sejmowych ustaw kurs polskich monet względem zagranicznych, aby zwiększyć zyski z eksportu zboża. Stało się to z czasem jedną z głównych przyczyn narastających problemów z rodzimym pieniądzem, ponieważ przeszacowane polskie monety zaczęły być coraz częściej przedmiotem wrogich operacji. Już w 1517 r. Królestwo Czech uruchomiło w Świdnicy mennicę kiepskich srebrnych półgroszków ze stemplem jagiellońskim, którymi zalewano cały kraj. Lepszej próby polskie monety wywożono za granicę, a następnie przetapiano je na świdnickie półgrosze i zgarniano spory zysk. Ten sam schemat wykorzystywali w późniejszych wiekach najwięksi wrogowie Rzeczypospolitej, w tym przede wszystkim Fryderyk II Hohenzollern.

W 1533 r. wybito pierwsze polskie talary, w stosunku do których grosze były już monetą drobną. Na tę epokową zmianę zapracowało najmocniej wydobycie srebra w krajach podległych Habsburgom: zarówno na Węgrzech, jak i w Nowym Świecie; Rzeczpospolita traciła już wtedy coraz bardziej kontrolę nad swoim pieniądzem. W proceder zalewania kraju spodlonym pieniądzem zaangażował się z czasem nawet Gdańsk. Miasto, na którym ciąży znaczna część winy za upadek polsko-litewskiego państwa, cynicznie wykorzystywało politykę szlachty, zadając polskiemu społeczeństwu ogromne straty. Jednocześnie ten sam Gdańsk był okresowo jedynym podmiotem w państwie, który był w stanie wybijać złote dukaty.

Wartość srebrnego pieniądza codziennego użytku (groszy, trojaków) powinna być już w XVI w. zdecydowanie obniżona (tj. urealniona). Dochody szlachty zmalałyby, lecz zmusiłoby to ją do szukania innych źródeł dochodu niż tylko sprzedaż zboża. Manipulowanie kursem pieniądza było w pewnym sensie równie szkodliwe, co późniejsze liberum veto, gdyż betonowało stosunki gospodarcze i polityczne w kraju w okresie, gdy pilnie należało przeprowadzić fundamentalne zmiany.



Sto złotych z 1831 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GABINET NUMIZMATYCZNY DAMIAN MARCINIAK

Upadek pieniądza

Rachunek za błędy szlachty i dywersję gospodarczą Gdańska został ostatecznie wystawiony w wieku XVII, który obok XX w. pozostaje najbardziej tragicznym pod względem jakości rodzimego pieniądza. Pierwszym aktem dramatu była wojna trzydziestoletnia, która formalnie ominęła nasze terytorium, lecz doprowadziła do wielkiego chaosu pieniężnego na kontynencie. Dzieła zniszczenia dopełniły jednak wojny i powstania z okresu rządów Jana Kazimierza. Doszczętnie zrujnowana i zrabowana Rzeczpospolita musiała ostatecznie uciec się do planowego zepsucia pieniądza, gdyż tylko w ten sposób można było opłacić wojska zdolne do przywrócenia pokoju. Symbolem upadku rodzimego pieniądza stały się tzw. tymfy, czyli monety emitowane pod nadzorem Andrzeja Tymffa. Pełnowartościowe pieniądze z wcześniejszych emisji zostały praktycznie wyparte z obiegu, a polskie monety przestały być nawet przejściowo honorowane za granicą.

O skali upadku gospodarczego polskiego państwa świadczy fakt, że po katastrofie potopu i wojen w skarbcu nie było nawet wystarczających środków do naprawy pieniądza. W czasach saskich polskie mennice były całkowicie nieczynne, a Wettynowie korzystali z własnych jedynie po to, aby osobiście się wzbogacić. Pierwszy minister Heinrich von Brühl uruchomił w 1749 r. w Dreźnie i Gubinie produkcję szelągów miedzianych ze stemplem królewskim, co przyniosło Augustowi III dochód w wysokości 680 tys. zł. Kilka lat później stemple te wpadły w ręce Prusaków, którzy zaczęli masowo zalewać Polskę spodlonym pieniądzem.

Polskie mennice zaczęły ponownie pracować dopiero w 1766 r., gdy za sprawą Stanisława Augusta Poniatowskiego przeprowadzono reformę monetarną i ustanowiono Komisję Menniczą. Za bicie monet odpowiadał Piotr Gartenberg, który wcześniej administrował dobrami Brühla na Spiszu i walnie przyczyniał się do zalewania Polski spodlonymi monetami. Współpraca z tego typu osobą nie

eprasa.pl ac2ccfad23



Sortowanie monet w Mennicy Państwowej, lata 20.- 30. XX w. FOT. NAC

mogła przynieść wiele dobrego. Wprawdzie w ciągu dwóch lat wybito aż 185 mln sztuk dobrej jakości monet, co przyniosło postęp względem całego minionego stulecia, lecz tak jak większość reform ostatniego monarchy miała ona ograniczony zasięg.

Co ciekawe, u samego schyłku I Rzeczypospolitej miał miejsce pierwszy eksperyment z papierowym pieniądzem. Jego propagatorem był należący do Wszechwładnej Loży Dobrego Porządku nobilitowany bankier Jędrzej Kapostas, który od dłuższego czasu zgłaszał władzom swój radykalny pomysł emisji papierowych banknotów na wzór eksperymentu Johna Lawa z Francji z lat 1716–1720. Idee te odrzucano, lecz gdy w 1794 r. wybuchło powstanie, Tadeusz Kościuszko zaakceptował pomysł Kapostasa, który przewidywał, że powstańcze banknoty będą zabezpieczone mieniem narodowym. Ludność nie była do tego eksperymentu przekonana, a gdy powstanie zaczęło upadać, premierowe polskie banknoty stały się bezwartościowymi świstkami papieru.

Era banknotów

Papierowe pieniądze budziły niegdyś nieufność i nie ma się temu co dziwić. Z czasem uznano jednak, że aby dogonić pod względem gospodarczym Zachód, trzeba oprzeć gospodarkę na rozwiązaniach pieniężnych znanych z krajów zachodnich. Takiego właśnie zdania był książę Franciszek Drucki-Lubecki, minister skarbu Królestwa Polskiego i założyciel Banku Polskiego.

Jego flagowa instytucja, na której założenie pozyskał pieniądze od pruskich kręgów finansowych, powstała na mocy dekretu cara Mikołaja I z 28 stycznia 1828 r. Bank Polski miał być odpowiedzialny za emisję pieniądza, obsługę długu publicznego, depozyty instytucji publicznych oraz nadzorowanie całego systemu bankowego. Emitowane przez niego banknoty złotowe miały mieć początkowo pełne pokrycie w kruszcu, lecz już w przededniu powstania listopadowego spadło ono do poziomu 30 proc. Upadek powstania właściwie przesądził o dalszych losach Banku Polskiego, który najpierw utracił przywilej emisyjny, a w kolejnych latach odebrano mu kolejne kompetencje.

Na odrodzenie polskiego pieniądza trzeba było czekać aż do odzyskania niepodległości. Od grudnia 1918 r. nad kwestiami emisyjnymi czuwała Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa, która jednak bazowała wciąż na wprowadzonych jeszcze przez Berlin w 1916 r. markach niemieckich. Wobec zagrożenia ze strony bolszewików i braku wystarczających zasobów majątkowych polskie władze były zmuszone już w pierwszych miesiącach istnienia odrodzonej Polski uciec się do dodruku pieniądza. Kontynuacja tej polityki doprowadziła w 1923 r. do hiperinflacji, którą szczęśliwie zażegnał związany z endecją Władysław Grabski. W wyniku jego reformy utworzono Bank Polski S.A. i wprowadzono do obiegu polskiego złotego, który pomimo pewnych zawirowań okazał się jednym z ważniejszych osiągnięć gospodarczych międzywojnia.

W trakcie drugiej wojny światowej istotnym elementem walki z polskością, prowadzonej przez Niemców i Sowietów, była także stosowana przez obu okupantów polityka pieniężna. W Generalnym Gubernatorstwie Niemcy powołali do życia Bank Emisyjny z siedzibą w Krakowie, którego głównym zadaniem było przerzucenie na polską ludność kosztów okupacji i działań wojennych. Pod okupacją sowiecką Polaków zmuszano natomiast do wymiany pieniędzy na ruble, jednakże przy rujnujących dla majątku osobistego limitach.

Wpadnięcie Polski w strefę wpływów sowieckich zaznaczyło się również w dziedzinie walutowej. Wkraczające nad Wisłę sowieckie wojska przywoziły ze sobą wydrukowane w Moskwie banknoty Narodowego Banku Polskiego, zanim instytucja ta została formalnie powołana. Na dodatek PKWN zdążył jeszcze w październiku 1944 r. zarządzić przymusową wymianę banknotów przy niewielkim limicie, doprowadzając Polaków do jeszcze większej nędzy.

Funkcjonujący oficjalnie od 15 stycznia 1945 r. Narodowy Bank Polski teoretycznie nawiązywał do wcześniejszych banków emisyjnych z Królestwa Polskiego i II RP, lecz był całkowicie podporządkowany komunistycznemu centralnemu planowaniu. W efekcie polski złoty stał się aż do końca PRL walutą permanentnie upadłą. Prawdziwym pieniądzem w czasach komunizmu były waluty zachodnie.

Od kilkudziesięciu lat próbuje się Polaków przekonać do narracji, że najbardziej w naszych czasach zasłużoną postacią dla polskiej gospodarki i pieniądza jest Leszek Balcerowicz. W rzeczywistości już teraz można zaryzykować tezę, że przyszłe pokolenia dużo więcej uwagi będą poświęcać Adamowi Glapińskiemu. Od momentu objęcia posady prezesa NBP (2016) zakupił on ok. 441 ton złota, przez co zyskał szczególne miejsce w polskiej historii pieniądza. W efekcie polskie państwo po raz pierwszy w historii posiada dziś do dyspozycji więcej złotego kruszcu niż... Wielka Brytania. Warto o tym pamiętać choćby dlatego, że jeszcze we wrześniu 1939 r. całe polskie złoto, którego było ledwie 38 ton, musiało być pospiesznie ewakuowane z kraju przed nadciągającymi wojskami niemieckimi i sowieckimi.

Największą tragedią, jaka mogłaby spotkać polski pieniądz po ponad 1000 latach istnienia, byłoby skazanie go na eutanazję poprzez przystąpienie do strefy euro.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2ccfad23



Druga wojna światowa / Litwini tłamszą polskość

Rejtan na Pohulance

Żołnierze litewscy w okupowanym Wilnie, październik 1939 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KAM.IT



Piotr Kitrasiewicz

Kiedy po wybuchu drugiej wojny światowej Litwini przez ponad pół roku okupowali Wilno, nad polskością zawisły ciemne chmury

Sowieci zajęli Wilno po raz pierwszy 18 września 1939 r., a opuścili je 27 października. Był to rezultat umowy zawartej pomiędzy Moskwą a Kownem, w której myśl państwo litewskie mogło przyłączyć Wileńszczyznę, a Sowieci dostali zgodę na zainstalowanie swoich baz wojskowych na jego terytorium. Transakcja została wymuszona przez Kreml, podobnie jak zawarty między oboma krajami układ „o pomocy i przyjaźni". Jak miała wyglądać owa „przyjaźń", Litwini przekonali się już latem kolejnego roku. Na razie cieszyli się z przekazanej im przez Rosjan zdobyczy i przystąpili do radykalnych działań mających wyplenić polskość z tego terenu.

Enklawą, w której Polacy zachowali największą swobodę, była kultura. W momencie zajęcia Wilna przez armię litewską i zainstalowania się w nim przedstawiciela rządu w Kownie życie artystyczne miasta opierało się przede wszystkim na Polakach. Nadal działały polskie instytucje kulturalne z Teatrem Miejskim na czele, tradycyjnie nazywanym od nazwy ulicy, przy której się znajdował, Teatrem na Pohulance. Litwini nie mieli w Wilnie swojego teatru zawodowego. Z gościnnymi występami przyjeżdżał niekiedy litewski teatr z Kowna, a na miejscu działało kilka grup amatorskich. W momencie przyłączenia Wilna do Republiki Litewskiej zamiary rządu w Kownie były jednak ustalone i sprecyzowane. Miała nastąpić szybka lituanizacja miasta, co zaczęto natychmiast wdrażać w życie. Błyskawicznie usunięto wszelkie polskie symbole i emblematy oraz zmieniono nazwy placówek użyteczności publicznej na litewskie. To samo dotyczyło ulic i placów. Nowe władze dokonały tego szybko i bezwzględnie, nie biorąc pod uwagę faktu, że ogromna większość mieszkańców miasta oraz okręgu wileńskiego nie znała w ogóle języka litewskiego. Dotyczyło to nie tylko Polaków, lecz także zamieszkujących ten teren Żydów i Białorusinów. Wszyscy mieszkańcy otrzymali nakaz nauczenia się języka nowej władzy. Nastąpiła również brutalna zmiana nazwisk, które obowiązkowo lituanizowano.

Zajęci tymi kwestiami Litwini pozostawili na razie we względnym spokoju sprawy związane z kulturą, mając jednak w planach wyeliminowanie teatrów polskich i zastąpienie ich przez zespoły wyłącznie litewskie. Wilno miało stać się stolicą niepodległego państwa litewskiego i posiadać reprezentacyjną operę, filharmonię, muzeum narodowe oraz wydawnictwa.

Ale na razie teatry polskie mogły działać. Teatr na Pohulance nie przerwał

eprasa.pl ac2ccfad23



Leopold Pobóg-Kielanowski FOT. NAC

pracy we wrześniu, nawet po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną. Jego dyrektor, Leopold Pobóg-Kielanowski, oficjalnie oświadczył, że sztuka jest apolityczna i powinna zajmować się czysto artystycznymi zadaniami. Nawet kiedy Wilno zajęli Sowieci, na „lżejsze" spektakle przychodzili czerwonoarmiści (zachowywali się w miarę poprawnie).

Litwini patrzyli krzywo na polski teatr, obejmując go cenzurą, ale pozwolili mu działać. Oczywiście nie było mowy o wystawieniu „Dziadów" Mickiewicza czy „Wesela" Wyspiańskiego, ale dyrektorowi udało się uzyskać zgodę na jednorazowe wznowienie, z okazji 11 listopada, granej przed wojną sztuki historycznej Kazimierza Brończyka „Rejtan". A ponieważ Święta Niepodległości nie można było oficjalnie obchodzić w nowych warunkach, pokaz dramatu Brończyka stał się okazją do patriotycznej zadumy.

Ordonka w czarnej szarfie

Wśród osób, które losy wojny zagnały do Wilna, było wielu artystów oraz ludzi pióra. Wilno, mające w II RP opinię prowincji kulturalnej, nabrało teraz wiatru w żagle, ponieważ zainstalowała się w nim istna śmietanka artystyczna. O ile wcześniej znani aktorzy z Warszawy, ze Lwowa czy z Krakowa omijali szerokim łukiem Wileńszczyznę (chyba że otrzymali intratną finansowo propozycję gościnnego występu), o tyle w nowych warunkach usilnie zabiegali o przyjęcie ich do zespołu Pohulanki lub innych teatrów. Wśród przybyszów znaleźli się m.in. Hanka Ordonówna, Ludwik Sempoliński, Jan Kurnakowicz, Jan Ciecierski, Jerzy Duszyński, Hanna Skarżanka czy Stanisława Perzanowska. Nad Wilią zjawił się znany radiowiec oraz dyrektor teatrów łódzkich, Michał Melina. Przed wybuchem wojny trafiły do Wilna Hanka Bielicka i Danuta Szaflarska, które jako świeżo upieczone adeptki sztuki aktorskiej podpisały kontrakty z Pohulanką. Skarżanka była studentką Uniwersytetu Stefana Batorego. W teatrze tym występował również Wilnianin, Igor Śmiałowski.

Największą gwiazdą była jednak bezsprzecznie Ordonówna. Przyjechała pod koniec grudnia 1939 r., tuż po wypuszczeniu jej przez Niemców z Pawiaka. Mogła przybyć oficjalnie, a nie przez zieloną granicę, gdyż była żoną hrabiego Michała Tyszkiewicza, ziemianina i obywatela Litwy. Wymizerowana i osłabiona, jak tylko doszła do zdrowia, rozpoczęła występy na polskich scenach. Zwykle były to składanki wokalno-taneczne, a także recitale. Nie oszczędzała sił dla publiczności wypełniającej po brzegi widownię, jej występy były długie, najczęściej trzygodzinne. Raz wystąpiła w czarnej szarfie na kostiumie – gdy Francja skapitulowała przed Niemcami.



Gmach Teatru na Pohulance FOT. NAC

W repertuarze Pohulanki dominował lekki repertuar. W sylwestra 1939 r. odbyła się premiera węgierskiej, trzyaktowej komedii Ferenca Molnára „Dobra wróżka", w reżyserii Leopolda Pobóg-Kielanowskiego. W repertuarze znalazły się też farsa Romana Niewiarowicza „Dlaczego zaraz tragedia?", „Świętoszek" Moliera oraz francuska komedia „Zielone lata" Claude'a-André Puget. 13 stycznia Kielanowski zorganizował benefis artystyczny zasłużonemu aktorowi Pohulanki – Leonowi Wołłejce. Jubilat zagrał Rejenta Milczka w „Zemście" Aleksandra Fredry, ale tytuł sztuki trzeba było z powodu cenzury przerobić na „Zemsta o mur graniczny", co zresztą był zgodne z intencją samego autora, który zadbał, aby jego arcydzieło można było wystawiać w trzech zaborach (Rosja nie akceptowała polskiego utworu noszącego tytuł „Zemsta", który w odczuciu cenzorów brzmiał nazbyt wieloznacznie).

W ciągu ośmiu miesięcy okupacji litewskiej (po 15 czerwca 1940 r. Wilno ponownie zajęli bolszewicy, tym razem z całą Litwą) Teatr na Pohulance zorganizował 14 premier i cztery wznowienia. Wielkim odkryciem okazała się Danuta Szaflarska, która zabłysnęła nietuzinkowym talentem. Józef Maśliński, recenzent teatralny, tak pisał o niej w „Kurierze Wileńskim" z 3 stycznia 1940 r.: „Pani Szaflarska wykazała tyle nerwu rasowej aktorki, tyle swobody i zrozumienia własnych możliwości, tak, krótko mówiąc, podobała się w tej wcale niełatwej roli, że pozostaje tylko złożyć jej serdeczne życzenia, by kontynuowała szczęśliwa tradycję swoich poprzedniczek, debiutantek wileńskich".

Wspomniane przez autora artykułu poprzedniczki debiutantki to Irena Eichlerówna, Nina Andrycz oraz Irena Górska. Inną aktorką, która znakomicie sprawdziła się nad Wilią, była Hanka Bielicka. Występowała nie tylko na Pohulance, lecz także w innych polskich teatrach i teatrzykach. Szybko doceniono jej pełen werwy talent i naturalny sposób gry.

A tymi innymi placówkami były: Teatr Muzyczny Lutnia, Teatr Miniatury,

eprasa.pl ac2ccfad23


Hanka Ordonówna FOT. NAC

Teatr dla Dzieci Niebieski Pajacyk oraz Kabaret Ksantypa. Lutnia mieściła się w budynku przy Pohulance i miała zespół liczący 110 artystów. Repertuar był lekki, czysto rozrywkowy, operetkowy i rewiowy. Wystawiono m.in. operetkę Leo Falla „Madame Pompadour", operetkę „egzotyczną" Paula Linckego „Gri-Gri", rewię w 17 obrazach „Poszukujemy amatorów". Czołowym gwiazdorem Lutni był Ludwik Sempoliński. Z kolei w Miniaturach, teatrze małych form specjalizującym się w jednoaktówkach, zestawach skeczy i występach wokalnych, zadebiutowała piosenkarka Marta Mirska. Stałymi gwiazdami tej sceny byli Bielicka i Śmiałowski.

Scena w kawiarni

Prężnie działał także Kabaret Ksantypa założony przez dwóch satyryków z Warszawy: Światopełka Karpińskiego i Janusza Minkiewicza. Mieścił się w Białym Sztrallu, jednej z trzech kawiarni należących do potomków Kazimierza Karola Sztralla. Z biegiem lat lokal stał się ulubionym miejscem spotkań miejskiej śmietanki artystycznej. Pomysł Karpińskiego i Minkiewicza wydawał się karkołomny, tym bardziej że jako uchodźcy nie mieli grosza przy duszy. Mieli za to głowy na karku – zarówno do pisania wierszy, jak i do zarabiania pieniędzy. Ich


Czesław Kulak i Danuta Szaflarska FOT. NAC

umowa z ówczesnym właścicielem lokalu była prosta: wypożycza im za darmo kawałek sali odpowiedni do ustawienia zaimprowizowanego podwyższenia i nie wtrąca się do sprzedawanych przez nich biletów, a on sam czerpie pełne dochody ze zwiększonej sprzedaży kawy, ciastek i innych wiktuałów. Pomysł sprawdził się znakomicie, bo na występy artystów przychodziło mnóstwo ludzi.

Funkcje kierownika interesu oraz konferansjera pełnił Minkiewicz. Dla tej niewielkiej scenki monologi, skecze i piosenki wykonywali m.in. Igor Śmiałowski, Hanka Bielicka i Ludwik Sempoliński. Muzyczną stroną przedsięwzięcia zajmował się późniejszy wybitny dyrygent Henryk Czyż.

Światopełk Karpiński zdobył w Warszawie sławę zdolnego poety, a przy tym niebieskiego ptaka. W 1936 r. został laureatem Nagrody Młodych Polskiej Akademii Literatury. Jego wiersze, zgrabnie rymowane, o krótkich wersach, łatwo wpadały w uszy słuchających i w oczy czytających. Były odbiciem prostolinijnej osobowości autora, korzystającego z uciech życia. We wrześniu 1939 r. poeta służył u boku prezydenta miasta Stefana Starzyńskiego jako podporucznik rezerwy, a po kapitulacji stolicy przedostał się na tereny zajęte przez Armię Czerwoną. Stamtąd, razem z Minkiewiczem, przeszedł przez zieloną granicę na Litwę.

Ksantypa musiała być przedsięwzięciem dochodowym, skoro Karpiński kontynuował w Wilnie hulaszcze życie. Dużo pisał, a jego najbardziej znanym utworem z tego okresu jest prześmiewcze epitafium napisane samemu sobie:

Nie zostawił spadkobierców,
ani łzy po swoim trupie,
bowiem wiele spraw miał w sercu,
ale jeszcze więcej w dupie.

Światopełk bał się panicznie bolszewików, słusznie przewidując, że wrócą do Wilna. Zwlekał jednak z wyjazdem do Francji i ostatecznie zmarł w mieście nad Wilią w ostatniej dekadzie kwietnia 1940 r. w wynajmowanym, nędznym pokoju w kamienicy przy ul. Połockiej.

Dokładna data jego śmierci nie do końca jest jasna. Oficjalnie podaje się 21 kwietnia, ale Jerzy Tylicki wspominał, że Karpiński pił z jego ojcem, Wojciechem, jarzębiak w dniu imienin tego ostatniego, czyli 23 kwietnia. W każdym razie feralny wieczór poeta spędził w towarzystwie pewnej kobiety, podobno rosyjskiej emigrantki, swojej kochanki.

Istnieją także inne wersje przebiegu tego wieczoru. Miał go spędzić z nieznaną bliżej prostytutką lub samotnie, narkotyzując się. Sąsiedzi znaleźli go nieprzytomnego, a wezwany lekarz stwierdził zgon z powodu zawału serca. Jednocześnie zauważył ślad na ramieniu denata od ukłucia igłą strzykawki, co stało się powodem spekulacji, że zażywał on morfinę lub został zamordowany.

Andrzej Sznajder w biografii pt. „Potargane życie Światka" przytacza wspomnienie Wandy Dreckiej:

„Dostał wylewu o godzinie 8-ej wieczór, na ulicy Cichej, najpierw myśleli, że to jest serce, i zawieźli go do szpitala św. Jakuba i tam zmarł o 12-ej. A ponieważ w szpitalu, więc zrobili sekcję i okazało się, że był wylew do mózgu".

Według Teodora Bujnickiego, autora artykułu wspomnieniowego o Karpińskim, zamieszczonego w „Gazecie Codziennej" tuż po jego śmierci, zgon poety nastąpił w nocy z 30 kwietnia na 1 maja. Pochowano go na Rossie 3 maja 1940 r. Kondukt żałobny z szerokim udziałem polskiej inteligencji przeszedł przez całe miasto, stając się manifestacją polskości w brutalnie lituanizowanym Wilnie.

Wymuszone napisy

W mieście działały niektóre przedwojenne kina. W chwili wybuchu wojny było ich w Wilnie 11. W zdecydowanej większości prywatne, należały do Polaków lub Żydów. Największym był Mars przy ul. Ostrobramskiej 5, z 1,2 tys. miejsc, którego właścicielami byli A. Arkin i B. Kalicki. Kolejne były Pan (ul. Wielka 42)

eprasa.pl ac2ccfad23



Światopełk Karpiński
FOT. NAC

oraz Helios (ul. Wileńska 22), które dysponowały tysiącem miejsc.

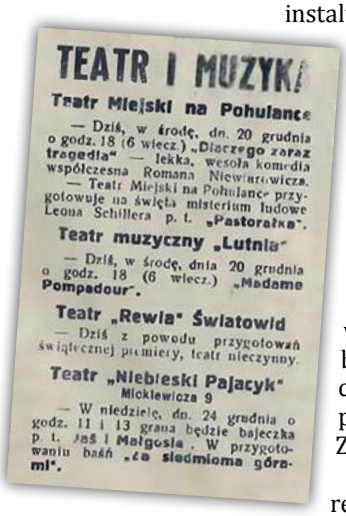
Podczas okupacji litewskiej większość z nich działała. Niektóre zapisały się w tradycji miasta. Pan istniał od 1922 r., ale jego pierwotna nazwa – utrzymana do roku 1930 – brzmiała Piccadilly. Kino powstało w siedzibie dawnego studia fotograficznego należącego do Stanisława Fleury'ego. Piccadilly powołali do życia G. Slepian i G. Feigenberg, a według ówczesnej prasy było ono nowoczesne, przestronne, dobrze oświetlone i posiadało dopływ świeżego powietrza. Pan funkcjonował do końca wojny, po czym nowi gospodarze Litwy – po raz drugi włączonej w skład ZSRS – zmienili jego nazwę na Udarnik.

Niemal do końca roku 1939 kina w Wilnie miały charakter polski, co drażniło napływających przybyszów z Kowna i innych części Litwy. Wyświetlały filmy, które zachowały się w zbiorach biur wynajmów z czasów przedwojennych. Były wśród nich polskie przeboje, jak „Znachor", „Profesor Wilczur", „Trędowata" czy „Zapomniana melodia", a także filmy zagraniczne, które weszły na ekrany w sierpniu 1939 r., np. „Pies Baskerville'ów" (w rolach głównych Richard Greene i Basil Rathbone) czy „Mała księżniczka" z Shirley Temple.

18 grudnia wszedł w życie nakaz, że wszystkie filmy wyświetlane w kinach muszą zostać zaopatrzone w napisy litewskie. Z Kowna ściągnięto filmy niemieckie i kazano je wyświetlać w kinach wileńskich, bo rząd litewski, formalnie zachowujący neutralność, dbał o utrzymanie poprawnych stosunków zarówno z III Rzeszą, jak i z ZSRS. Filmy wschodniego sąsiada również wchodziły coraz częściej na wileńskie ekrany, przy czym znane komedie muzyczne typu „Świat się śmieje" czy „Wołga-Wołga" przyciągały do sal kinowych wszystkich mieszkańców miasta bez względu na narodowość.

Bolszewicy wrócili!

Brutalna lituanizacja Wilna została nagle złagodzona w połowie maja 1940 r. Litwini niemal z dnia na dzień stali się pojednawczy w stosunku do Polaków, mniej rygorystyczni, bardziej skłonni do kompromisów. Przyczyną tej przemiany stały się coraz groźniejsze pomruki wysyłane w kierunku Kowna z Moskwy. Sowieci zaczęli wysuwać oskarżenia pod adresem rządu litewskiego (m.in. o porywanie sowieckich żołnierzy), co w połączeniu z nasilającą się ingerencją w wewnętrzne sprawy Republiki Litewskiej nie pozostawiało złudzeń w kwestii zamiarów wschodniego sąsiada.



TEATR I MUZYKA

Teatr Miejski na Pohulance

— Dziś, w środę, dn. 20 grudnia o godz. 18 (6 wiecz.) „Dlaczego zaraz tragedia" — lekka, wesoła komedia współczesna Romana Niewiarowicza.

— Teatr Miejski na Pohulance przygotowuje na święta misterium ludowe Leona Schillera p. t. „Pastorałka".

Teatr muzyczny „Lutnia"

— Dziś, w środę, dnia 20 grudnia o godz. 18 (6 wiecz.) „Madame Pompadour".

Teatr „Rewia" Światowid

— Dziś z powodu przygotowań świątecznej premiery, teatr nieczynny.

Teatr „Niebieski Pajacyk"
Mickiewicza 9

— W niedzielę, dn. 24 grudnia o godz. 11 i 13 grana będzie bajeczka p. t. Jaś i Małgosia. W przygotowaniu baśń „Za siedmioma górami".

15 czerwca Armia Czerwona przekroczyła litewską granicę, a od wewnątrz kraj zaczęły zajmować wojska stacjonujące w bazach rozmieszczonych na jego terytorium. W drugiej połowie lipca, po sterroryzowaniu obywateli i sfingowanych wyborach (każdy musiał pójść do urn pod groźbą oskarżenia o sabotaż, mając do wyboru dwa nazwiska komunistów litewskich), powstały nowy „rząd" oraz „parlament", które wystosowały do Kremla prośbę o przyjęcie Litwy w skład „szczęśliwych narodów sowieckich". Litwa stała się kolejną republiką ZSRS. Taki sam los, przy zastosowaniu analogicznej metody, zgotowano pozostałym krajom bałtyckim – Łotwie i Estonii.

Sowieci dokonali tego, czego Litwini nie zdążyli zrobić; wyrzucili polski zespół z dużego budynku na Pohulance, instalując w nim litewski teatr opery i baletu. Polacy trafili do dużo mniejszej siedziby poza centrum miasta. Występowali teraz pod szyldem Państwowego Teatru Polskiego, grając sowieckie sztuki socrealistyczne, a także polskie dzieła klasyczne, ukazujące w krzywym zwierciadle burżuazję i drobnomieszczaństwo, np. „Moralność pani Dulskiej" Gabrieli Zapolskiej.

Mimo wszystkich represji trwająca niewiele ponad pół roku okupacja Wilna przez Litwę była mniej krzywdząca dla Polaków niż to, co wyczyniały później hitlerowskie Niemcy oraz stalinowski ZSRS. Władze litewskie nie stosowały jednak polityki bezwzględnego despotyzmu, dopuszczając do wyrażania poglądów w dwóch polskich gazetach – „Kurierze Wileńskim" oraz „Gazecie Codziennej". Co prawda, nękała je cenzura, ale jednak pisma ukazywały się aż do wejścia Sowietów w czerwcu 1940 r. Czerwoni okupanci zlikwidowali wszystkie wychodzące w Wilnie gazety, zastępując je wychodzącą w kilku językach komunistyczną „Prawdą Wileńską".



Gmach, w którym mieścił się Teatr Muzyczny „Lutnia"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, POFKA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

BIBLIOGRAFIA:

Jałbrzykowski A.G., ***„Wspomnienia wileńskie (1939–1940)";*** *Łossowski P.,* ***„Litwa a sprawy polskie 1939–1940";*** *Mikonis A.,* ***„Życie filmowe Wilna w okresie międzywojennym. Lata 1919–1939. Szkic***

eprasa.pl ac2ccfad23



Dowództwo Zgrupowania Stołpeckiego, maj 1944 r. Aleksander Wolski „Jastrząb" drugi od prawej

FOT. ARCHIWUM ZDZISŁAWA NURKIEWICZA

Wywiad / Z Andrzejem Błażewiczem, współautorem książki „Niezłomny żołnierz ginącej Rzeczypospolitej"



rozmawia Piotr Włoczyk

W kleszczach Hitlera i Stalina

– Zgrupowanie Stołpeckie działało w warunkach absolutnie wyjątkowych – podwójnej okupacji sowiecko-niemieckiej, niespotykanej w innych regionach Polski – mówi autor

PIOTR WŁOCZYK: Skąd się wzięły popularne w czasach PRL głosy, że Zgrupowanie Stołpeckie AK było na niemieckich usługach?

ANDRZEJ BŁAŻEWICZ: Źródłem tych oskarżeń była od początku sowiecka propaganda. Już wiosną 1943 r., po zerwaniu stosunków dyplomatycznych ZSRS z rządem RP na uchodźstwie, Moskwa zaczęła przedstawiać oddziały Armii Krajowej, szczególnie te kresowe, nie tylko jako „burżuazyjne" czy nacjonalistyczne, lecz także jako faszystowskie.

Miejscem szczególnym była Nowogródczyzna, gdzie działał najbardziej na wschód wysunięty Batalion Stołpecki, funkcjonujący w otoczeniu wielotysięcznych sowieckich „otriadów". Formacje te składały się zarówno z żołnierzy rozbitych w 1941 r. jednostek Armii Czerwonej Frontu Zachodniego, jak i z przerzucanych na ten teren aktywistów partyjnych oraz funkcjonariuszy NKWD, określanych zbiorczo mianem tzw. wostoczników. Konflikt był zatem jedynie kwestią czasu, zwłaszcza że układ Sikorski-Majski, zawarty pod naciskiem ZSRS i Wielkiej Brytanii, w ogóle nie regulował spornych kwestii terytorialnych, celowo pozostawiając problem granic nierozstrzygnięty.

Kiedy Sowieci stwierdzili, że to właśnie stołpecka partyzantka jest dla nich najgroźniejsza w tych stronach?

Po szczególnie uroczystych obchodach święta 11 Listopada w Derewnie (w II RP siedziba wiejskiej gminy, oddalona 26 km od Stołpców), w których brali udział Oddział Stołpecki, a także przedstawiciele partyzantki... sowieckiej i po jednoznacznej deklaracji komendanta Ośrodka Stołpce „Słup", Aleksandra Warakomskiego „Świra", że Nowogródczyzna jest integralną częścią Rzeczypospolitej, Sowieci uznali już nie Niemców, ale Zgrupowanie Stołpeckie za głównego wroga na tym terenie. Skutkiem tej decyzji była podstępna zdrada i rozbrojenie oddziału 1 grudnia 1943 r. nad jeziorem Kromań.

Wydawałoby się, że to już koniec...

Po tym wydarzeniu oddział znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Nie mógł jednocześnie walczyć z dwoma wrogami, a także – zgodnie z rozkazami dowództwa obwodu i okręgu – nie miał prawa opuszczać Puszczy Nalibockiej. W tej

eprasa.pl ac2ccfad23

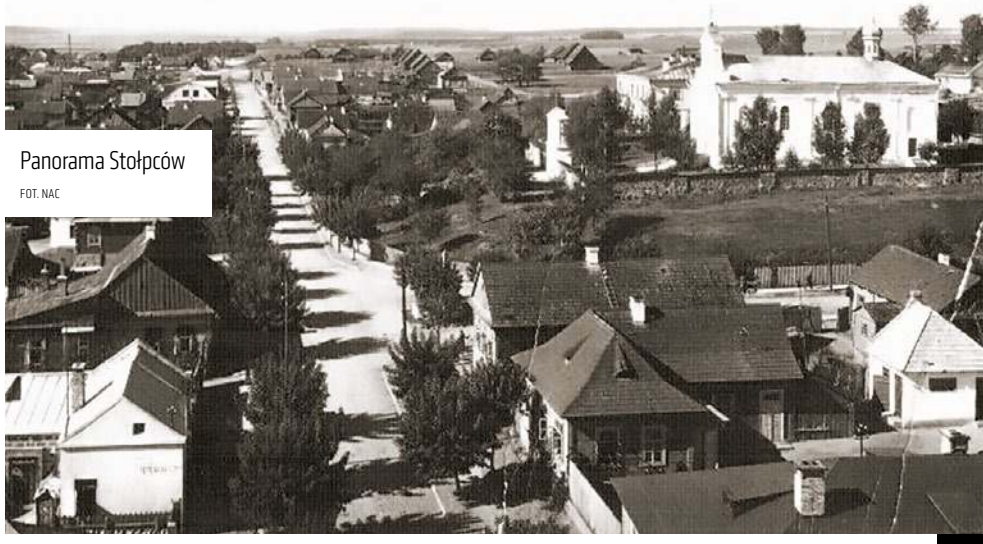
sytuacji podczas narady dowództwa wieczorem 8 grudnia 1943 r. jeden z oficerów, najprawdopodobniej por. Aleksander Wolski „Jastrząb", wysunął koncepcję zawarcia czasowego, krótkotrwałego i czysto taktycznego rozejmu z Niemcami. Miał on służyć m.in. umożliwieniu przemarszu oddziałów przez linie niemieckie, zakupowi broni oraz odbudowie sił i kontynuowaniu działań przeciwko Sowietom. Rozejm ten – wyłącznie ze względu na postawę strony sowieckiej – utrzymał się jednak przez kilka miesięcy. Należy przy tym zaznaczyć, że decyzja ta została później jednoznacznie zaakceptowana przez komendantów zarówno ośrodka, jak i okręgu AK, choć spotkała się ze sprzeciwem Komendanta Głównego AK oraz Naczelnego Wodza.

Taka postawa musiała rozsierdzić sowieckich decydentów.

Od tego momentu ruszyła prawdziwa lawina propagandowych oskarżeń ze strony Sowietów. Dowódców oddziału, a szczególnie por. Adolfa Pilcha „Górę", chor. Zdzisława Nurkiewicza „Noc" oraz por. Aleksandra Wolskiego „Jastrzębia", oficjalnie nazywano w rozmowach, rozkazach i ulotkach propagandowych „agentami gestapo", „faszystowskimi bandytami", „sukinsynami" czy „swołoczami".

Tę narrację przejął oczywiście później PRL jako państwo satelickie ZSRS. Jednak powielali ją również niektórzy autorzy wywodzący się z kręgów AK-owskich, wpisujący się w główny nurt polityki polskiej, polegającej na współpracy Komendy Głównej AK i rządu Mikołajczyka z nadchodzącym, nowym-starym okupantem sowieckim. Był to oczywiście wynik nacisków aliantów zachodnich. Na usprawiedliwienie tych autorów trzeba jednak podkreślić, że formułowali oni swoje opinie, zanim jeszcze otwarto archiwa białoruskie, tj. na początku lat 90. W III RP oskarżenia o kolaborację Zgrupowania Stołpeckiego z Niemcami przestały być tak częste, choć wciąż się pojawiają. Wynikają one najczęściej z niewiedzy, a czasem także z niewygodnych biografii i dawnych PRL-owskich kompromisów tych, którzy je formułują.

Czym wyróżniało się to zgrupowanie na tle innych polskich jednostek partyzanckich?



Panorama Stołpców FOT. NAC

Zgrupowanie Stołpeckie działało w warunkach absolutnie wyjątkowych – podwójnej okupacji sowiecko-niemieckiej, niespotykanej w innych regionach Polski. To właśnie ten fakt determinował jego losy. Chociaż za formalną datę powstania oddziału uznaje się 3 czerwca 1943 r., to część jego przyszłych żołnierzy brała udział w walce lub działalności konspiracyjnej znacznie wcześniej. Żołnierze przyszłego Zgrupowania Stołpeckiego walczyli ze wschodnimi okupantami w latach 1939–1941, w okresie tzw. pierwszego Sowieta. Po ataku Niemiec na Związek Sowiecki walczyli z Niemcami, działając jednocześnie w porozumieniu z Sowietami. Od 1 grudnia 1943 r. ponownie prowadzili walki przeciw Sowietom, by od lipca 1944 r. aż do rozwiązania oddziału znów walczyć z Niemcami... Jak widać, sytuacja na tym terenie była wyjątkowo skomplikowana.



Adolf Pilch FOT. NAC

W czerwcu 1944 r., gdy sowiecko-niemiecki front dotarł w okolice Mińska, oddział był zmuszony odejść na zachód, ustępując przed wkraczającą Armią Czerwoną. Wraz z nim ruszyły rodziny partyzantów, które – podobnie zresztą jak żołnierze – już na zawsze opuściły polskie Kresy. Dzięki temu nie zostały wymordowane lub zesłane do łagrów.

Legendę tych żołnierzy zbudowała niezwykle długa trasa przemarszu, wiodąca przez niemal dwie trzecie kraju...

Oddział por. „Góry" przeszedł jako zwarta formacja bojowa blisko 600 km przez okupowany kraj – z Puszczy Nalibockiej do Puszczy Kampinoskiej.

Zgrupowanie Stołpeckie odegrało kluczową rolę w utrzymywaniu kampinoskiego zaplecza powstania warszawskiego, stając się główną siłą Grupy „Kampinos" w VIII Rejonie VII Obwodu „Obroża". Po klęsce powstania i rozbiciu oddziału pod Jaktorowem jego żołnierze walczyli dalej z Niemcami na Kielecczyźnie i ziemi opoczyńskiej w ramach 25. Pułku AK.

Oddział został rozwiązany przez por. Adolfa Pilcha „Dolinę" dopiero 17 stycznia 1945 r., czyli dokładnie tego samego dnia, kiedy Sowieci wkroczyli do ruin Warszawy... Mówimy tu zatem o 19 miesiącach nieprzerwanych walk,

eprasa.pl ac2ccfad23



Aleksander Wolski „Jastrząb" (pierwszy z lewej) przy zdobycznym motocyklu, Puszcza Kampinoska, lato 1944 r. FOT. IPN

ok. 230 akcjach bojowych i jednym z najdłuższych (a być może najdłuższym) szlaków bojowych w historii polskiej partyzantki.

Skąd w ogóle wziął się pomysł na napisanie tej książki?

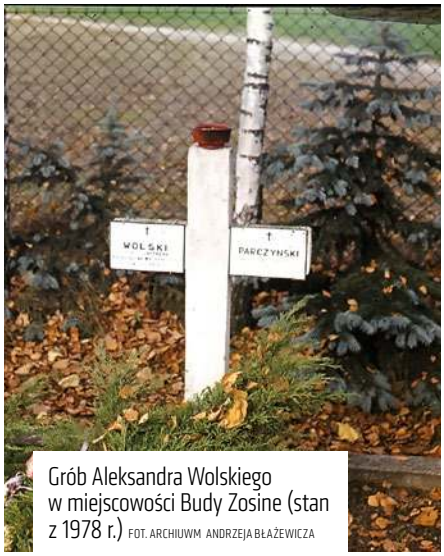
Z zestawienia dwóch prostych faktów. Po pierwsze, por. Aleksander Wolski „Jastrząb" był dziadkiem autorów, a także jedną z kluczowych postaci Zgrupowania Stołpeckiego Armii Krajowej – pełnił funkcję kwatermistrza oraz należał do najważniejszych dowódców oddziału. Po drugie, jesteśmy historykami z pasji i wykształcenia, zajmujemy się przede wszystkim dziejami I i II Rzeczypospolitej.

Jakim typem oficera był por. Wolski? Jak wyglądały jego relacje z dowódcą?

Głównym motywem walki „Jastrzębia" był jego głęboki, bezkompromisowy patriotyzm. W dużej mierze właśnie dzięki takiej postawie cieszył się on ogromnym szacunkiem Adolfa Pilcha „Góry". Świadectwem tego były bardzo ciepłe i pochlebne słowa, które Pilch przekazał synowi „Jastrzębia", Markowi, latem 1992 r., podczas spotkania w Wierszach, przy okazji promocji swojej książki „Partyzanci trzech puszcz", którą zadedykował właśnie m.in. „Jastrzębiowi" i jemu podobnym „patriotom Ziem Kresowych, służących sprawom Polski". Pilch napisał w niej m.in.: „W zdobywaniu zaopatrzenia odznaczał się pomysłowością por. Wolski »Jastrząb«. Był poza tym bardzo dzielnym oficerem liniowym. Nie pomijał żadnej okazji, zwłaszcza bardzo ryzykownych wypraw, aby dołączyć na ochotnika".

22 stycznia 1944 r. rozkazem nr 6 „Góra" mianował „Jastrzębia" swoim zastępcą. Dwukrotnie wnioskował także o nadanie mu Krzyża Walecznych (ale już o Virtuti Militari – paradoksalnie – wnioskował jego późniejszy dowódca, a zarazem dowódca „Doliny", mjr „Okoń"). W Puszczy Kampinoskiej do najbardziej brawurowej i ryzykownej akcji, czyli nocnego wypadu na początku września, w którym 80 wybranych ochotników zaatakowało w Truskawiu dwa bataliony RONA, „Góra" wybrał, obok dwóch kolegów cichociemnych, właśnie „Jastrzębia". Można odnieść wrażenie, że obaj doskonale się uzupełniali: „Góra" – spokojny, opanowany, raczej flegmatyczny – oraz „Jastrząb" – krewki, bezkompromisowy i niezwykle bojowy.

W tym kontekście warto także przypomnieć, że to właśnie „Góra" powstrzymał „Jastrzębia" przed podjęciem próby odsunięcia „Okonia" od dowodzenia Grupą „Kampinos", co w konsekwencji okazało się jednak brzemienne w skutki i fatalnie wpłynęło na jej losy.



Grób Aleksandra Wolskiego w miejscowości Budy Zosine (stan z 1978 r.) FOT. ARCHIUWM ANDRZEJA BŁAŻEWICZA

Który rozdział okupacyjnej walki był najtrudniejszy dla por. Wolskiego?

Bez wątpienia to właśnie okres kampinoski był dla „Jastrzębia" najcięższy, mimo że nie musiał już wówczas walczyć jednocześnie z dwoma okupantami. Znajdował się jednak daleko od rodziny i ukochanej Nowogródczyzny, a oddział, w którym służył, znalazł się już nie pod dowództwem „Doliny", lecz mjr. „Okonia", co – jak zapewne przeczuwał – musiało zakończyć się tragicznie zarówno dla niego samego, jak i dla całej Grupy „Kampinos". We wrześniu powstanie już dogorywało, front sowiecki zbliżał się nieubłaganie, a nowa okupacja oznaczała dla niego – jednego z najbardziej antysowieckich oficerów w oddziale – niemal pewną śmierć.

W takich sytuacjach bardzo często zagrożona była też rodzina.

„Jastrząb" bardzo niepokoił się losem żony i dwojga dzieci pozostawionych w Nieświeżu. Zwrócił się nawet do „Doliny" z prośbą o dłuższy urlop, chcąc do nich wrócić i podjąć próbę wydostania rodziny spod sowieckiej władzy oraz przerzucenia jej do Generalnego Gubernatorstwa. Na początku września 1944 r. udał się w tym celu do Lublina, do rodziny swojej żony, Antoniny z Niedźwieckich Wolskiej. Jak wspominali jego bliscy, był w tym czasie wyjątkowo zdenerwowany i rozbity psychicznie. Wówczas Leokadia, siostra Antoniny, kobieta spokojna, rozsądna i znacznie mniej impulsywna niż jej szwagier, a przy tym sama współpracująca z AK, pozbawiona złudzeń co do Sowietów (jej mąż został zamordowany w Katyniu), skutecznie wyperswadowała mu ten plan, uznając go za skrajnie ryzykowny. „Jastrząb", nie mając innego wyjścia, powrócił do Puszczy Kampinoskiej, by zaledwie trzy tygodnie później polec w bitwie pod Jaktorowem, fatalnie dowodzonej przez mjr. „Okonia". Natomiast Antonina wraz z dziećmi dotarła do Polski dopiero wiosną 1945 r., już jako

eprasa.pl ac2ccfad23

repatriantka. Za komuny nigdy nie przyznała się, że jej mąż był oficerem Zgrupowania Stołpeckiego Armii Krajowej.

Czytając o losach żołnierzy tego zgrupowania, można odnieść wrażenie, że byli jak Feniks, który kilka razy powstawał z popiołów...

W istocie oddział był trzykrotnie rozbijany. Po raz pierwszy podczas operacji „Hermann" w sierpniu 1943 r. w walkach z Niemcami w Puszczy Nalibockiej. Następnie, zaledwie kilka miesięcy później, 1 grudnia, nad jeziorem Kromań koło Derewna (również w Puszczy Nalibockiej), gdzie został zdradziecko napadnięty i rozbrojony przez Sowietów. Po raz trzeci oddział uległ rozbiciu 29 września 1944 r. – już na Mazowszu, pod Warszawą – w bitwie pod Jaktorowem, ponownie w starciu z Niemcami. Wola walki kresowych żołnierzy okazała się jednak na tyle silna, że za każdym razem oddział potrafił się odrodzić i stanąć do dalszej walki. Trudno znaleźć podobne przykłady patriotyzmu, determinacji i żołnierskiego poświęcenia, zwłaszcza że wszyscy jego partyzanci byli przecież ochotnikami.



Tablica upamiętniająca żołnierzy Zgrupowania Nalibockiego AK w kościele pw. św. Stanisława Kostki w Warszawie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DREAMCATCHER25

Porucznik Wolski, który niedawno walczył z Sowietami o Nowogródczyznę w granicach Polski, ginie w Polsce Centralnej, pod Jaktorowem, od niemieckiej kuli. To chyba mówi wszystko na temat „kolaboracji" Zgrupowania z Niemcami...

Tak się skończyła ta historia – oficer, który zaproponował na Stołpeczczyźnie por. „Górze" taktyczne zawieszenie broni z Niemcami, zginął faktycznie od niemieckiej kuli czołgowej w bitwie pod Jaktorowem. Co znamienne – poległ jako jedyny kresowy oficer Oddziału Stołpeckiego.

Porucznik Wolski walczył z Niemcami zarówno w Puszczy Nalibockiej, gdzie – zamiast niego – jego ciężarna żona została aresztowana przez gestapo i skazana na śmierć, której cudem uniknęła, jak i później w Puszczy Kampinoskiej. W tym kontekście używanie wobec niego i innych żołnierzy z oddziału, którzy przeszli podobną drogę, słowa „kolaboracja" może wywołać jedynie gorzki uśmiech.

Jak żołnierze Zgrupowania Stołpeckiego radzili sobie w czasach PRL?

Jak pisze Kazimierz Krajewski, najwybitniejszy badacz nowogródzkiego AK, „Doliniacy" po wojnie w większości przyjmowali w PRL postawę „przetrwaniową": ukrywali się, ujawniali się poprzez podjęcie nieeksponowanej pracy zarobkowej, starali się funkcjonować na marginesie życia publicznego, by zapewnić sobie i rodzinom względnie normalne życie. Należy jednak podkreślić, że niezależnie od obranej postawy i tak byli zaciekle tropieni przez komunistyczne służby specjalne i wielu z nich było po wojnie brutalnie represjonowanych. Lista żołnierzy Zgrupowania Stołpeckiego skazanych na karę śmierci, wieloletnie więzienie bądź wywiezionych do łagrów jest bardzo długa i obejmuje kilkadziesiąt nazwisk, a wielu przecież wyemigrowało, z Adolfem Pilchem „Górą", „Doliną" na czele.

Chorąży Zdzisław Nurkiewicz „Noc", „Nieczaj", jeden z najbliższych przyjaciół „Jastrzębia" z oddziału, został aresztowany już po tzw. odwilży gomułkowskiej – po 14 latach ukrywania się. Skazano go na karę śmierci, zamienioną następnie na 15 lat ciężkiego więzienia. Rehabilitacji doczekał się dopiero w 2005 r., po zdecydowanej interwencji jego syna – Macieja Downar-Zapolskiego.

Ale przecież nie wszyscy żołnierze Zgrupowania złożyli po wojnie broń...

Część „Doliniaków", która nie zaakceptowała nowej, komunistycznej rzeczywistości, próbowała kontynuować do końca swoją kresową walkę z nowym okupantem. Największy oddział stworzył wachmistrz z Iwieńca, Józef Pacejkowicz „Groźny", „Jurand", jeden z 44 pierwszych żołnierzy kresowego oddziału. Służyło u niego kilku „Doliniaków", m.in. Franciszek Kosowicz „Maciejka", kpr. Jan Chomicz, Konstanty Downar „Kostek", „Tatar", Marian Romanowski „Korek" oraz Franciszek Romanowski. Oddział bez pardonu likwidował kolaborantów sowieckiej władzy i chronił miejscową ludność przed represjami aparatu bezpieczeństwa. Schwytany i torturowany „Groźny" popełnił samobójstwo, podcinając sobie żyły 26 lutego 1949 r. na komendzie UB w Prudniku. Konstanty Downar został zamordowany przez komunistów już w 1947 r.

Wszystkie te represje powodowały, że wielu żołnierzy Adolfa Pilcha przyznało się do swojej AK-owskiej przeszłości dopiero w latach 80. lub nawet 90.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



ANDRZEJ BŁAŻEWICZ, KRZYSZTOF BŁAŻEWICZ „NIEZŁOMNY ŻOŁNIERZ GINĄCEJ RZECZYPOSPOLITEJ. HISTORIA POR. ALEKSANDRA WOLSKIEGO »SOKOŁA«, »JASTRZĘBIA«, Z-CY DOWÓDCY ZGRUPOWANIA STOŁPECKIEGO AK ADOLFA PILCHA »GÓRY«, »DOLINY«"

DEMART



Andrzej Błażewicz jest współautorem (wraz z Krzysztofem Błażewiczem) książki „Niezłomny żołnierz ginącej Rzeczypospolitej".

eprasa.pl ac2ccfad23



Krzysztof Masłoń

Niezależnie od naszych ocen jego twórczość – zarówno pisarska, jak i filmowa – jest nie do podrobienia. Przekonali się o tym jego naśladowcy, którzy jak jeden mąż ponieśli klęskę



FOT. COMMONS.WIKIMEDIA, MICHAŁ JÓZEFACIUK, KANCELARIA SENATU

100. rocznica urodzin pisarza / Niezrozumiałe przeoczenie

Gorąca głowa i zimne serce Konwickiego

W tym roku, dokładnie 22 czerwca, minie 100 lat od urodzin Tadeusza Konwickiego, prozaika, autora „Małej apokalipsy", „Kompleksu polskiego" i „Kalendarza i klepsydry", a także reżysera filmowego, twórcy „Ostatniego dnia lata", „Salta" i „Jak daleko stąd, jak blisko". W latach 70. i 80. Polacy rozczytywali się w jego książkach, a nie zapomnieli o nim także wtedy, gdy po wydaniu „Pamfletu na siebie" w roku 1995 praktycznie złamał pióro, co najwyżej odkurzając dawne swoje teksty, jak w tomie „Wiatr i pył" czy, z rzadka, udzielając takich wywiadów, jak „Pamiętam, że było gorąco". Dożył Pan Tadeusz 88 lat. Dwa lata przed śmiercią widzowie Teatru Telewizji mogli go zobaczyć w spektaklu Andrzeja Barta „Bezdech" w znamiennej scenie, w której grany przez Bogusława Lindę powracający do kraju po dłuższym pobycie w Ameryce reżyser całuje go w rękę. W podzięce za to, co zrobił, i za to, że jest i że tak łatwo natknąć się na tego „potocznego wieszcza", jak nazwał go Tadeusz Sobolewski, na jego codziennej warszawskiej trasie od ulicy Górskiego, gdzie mieszkał, przez Nowy Świat z Kawiarnią Bliklego i Plac Trzech Krzyży do Kawiarni Czytelnika przy ulicy Wiejskiej.

Niemal wszystkie jego książki (wydane po 1956 r.!) stawały się punktami odniesienia w każdej poważnej debacie w Polsce – o naszej historii, tradycji, kulturze, literaturze. A jednak próżno

eprasa.pl ac2ccfad23

szukać nazwiska Tadeusza Konwickiego na długiej liście patronów roku 2026. Prześlepił go dziwnie i nasz parlament, a uhonorował przecież m.in. i Józefa Czapskiego, i Sergiusza Piaseckiego, Jerzego Giedroycia i Ignacego Daszyńskiego, Mieczysława Fogga i Andrzeja Wajdę, który zresztą zekranizował „Kronikę wypadków miłosnych" Konwickiego. Nawiasem mówiąc, autor „Małej apokalipsy" tu i ówdzie wbijał szpile swojemu – jednocześnie – przyjacielowi i rywalowi.

Trzeba przy tym przyznać, że miernotami się nie zajmował. A nieraz mocno ukłuci przez niego pisarze i filmowcy, zachowujący na ogół olimpijski spokój, potrafili się obrazić, jak Stanisław Dygat, nad czym Konwicki szczerze bolał. Pióro miał ostre, dostało się zatem od niego nie tylko Wajdzie („Nie posiada uczniów i naśladowców. Bo nie można naśladować naśladownictwa"), lecz także Iwaszkiewiczowi („Wypełnił istotną lukę w polskiej literaturze dziewiętnastowiecznej") i Tyrmandowi („Jeśli był antykomunistą, to tak jakby należał do jachtklubu"). Czynił jednak, rzadkie, bo rzadkie, wyjątki. Po pierwsze: dla Antoniego Słonimskiego, który z kolei – z racji i wieku, i urzędu – szydził sobie z niego, zastanawiając się na przykład, jakie miejsce w literaturze zajmowałby jego młodszy kolega, gdyby wielekroć opisywał nie swoje Miasto (czyli Wilno), a – dajmy na to – Bydgoszcz. Konwicki przecierpiał te złośliwości, by w „Kalendarzu i klepsydrze" uhonorować starego skamandrytę aktem strzelistym: „Jest on dla mnie niedoścignionym wzorem i jak nad bezcennym wzorcem, jak nad platynowym wzorcem przechowywanym co prawda nie w Sèvres pod Paryżem, ale też dobrze, bo w Alei Róż, nad tym moim wzorcem czuwam pilnie od rana do nocy, chuchając i leciutko dmuchając, a w tym chuchaniu i leciutkim dmuchaniu pomaga mi wielu ludzi, którzy również kochają Antoniego".

Miłość do Słonimskiego przeniósł następnie na jego sekretarza. „Portret jąkającego się chłopca" pomieszczony w „Zorzach wieczornych" (1991) przynależy bardziej do literatury konfesyjnej niż jakiejkolwiek innej: „Patrzyłem na głowę Adasia i myślałem, jakim to wzorem chemicznym przebiegają w tej tak zwyczajnej czaszce tak niezwykłe procesy, których wynikiem jest jego, Adasia, bezbłędna intuicja moralna. Wszyscy już zdążyliśmy wielokrotnie pomylić się. Michnik ma jeszcze to przed sobą. Ale coś mi mówi, coś mi podszeptuje, coś mnie upewnia, że Adasia to ominie". Akurat! Ale jakby tego było mało, to przypomnę jeszcze tę lapidarną charakterystykę: „Płowe włosy, jasne, śmiałe oczy, poczucie honoru oraz imperatyw moralny w piersi – czyż to nie zbiorowy portret Zawiszy, Skrzetuskiego i Adama Chmielowskiego".



Tadeusz Konwicki i Gustaw Holoubek

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARIUSZ KUBIK

Ech, sokoły kulawe

Zabolało go, gdy po „Małej apokalipsie" usłyszał zarzut: „Pan widzi nasz naród jako kupę gnoju". „No cóż, można i tak – replikował. – […] gdybym miał za nic ten naród, to bym się nie szamotał, ile potrafię, przez kilkadziesiąt lat na okoliczność tego narodu […], ja jestem trochę chory na ten naród".

Piękną chorobą trudno byłoby jednak nazwać tę przypadłość. W „Pół wieku czyśćca", wywiadzie rzece, który przeprowadził z nim w połowie lat 80. Stanisław Bereś (podpisany jako Stanisław Nowicki), Konwicki dosłownie wściekł się, gdy rozmówca nazwał jego „Rojsty" paszkwilem. „Przecież pan doskonale wie – mówił Bereś – że ten pamflet powstawał wtedy, gdy AK-owcy lądowali nie na atłasowych kanapach, ale na więziennych pryczach w gmachach UB". „Cała Europa była na lewo! – wydzierał się urażony pisarz. – Ja chcę pisać o rzeczach bolesnych, a nie produkować paskudną, wstrętną, patriotyczną literaturę! To już lepiej, żebym pisał utwory probolszewickie!!! Wtedy przynajmniej za to czymś odpowiadam! Ciągle mnie nie znosili i nie znoszą. Chcą, żebym pisał w drugą stronę. Ale ja wiem, że nigdy nie napiszę w drugą stronę!".

To pisarskie oburzenie nie było bynajmniej szczere. Szczery to Konwicki nie był nigdy i maska fałszywego Litwina, z której sobie dowcipkował, świetnie do niego pasowała. Nie chodziło bowiem o to, by pisał on „utwory probolszewickie". Sęk w tym, że on już je dawno napisał. „Powiedzmy jednoznacznie – wykrztusił z siebie w »Kalendarzu i klepsydrze« – byłem pryszczatym i byłem stalinistą". Zaraz jednak rozwodnił to wyznanie w wojennej traumie i niesłychanie pięknych horyzontach, które roztaczał komunizm, by w końcu to niebagatelne wyznanie zamienić w czystą groteskę: „Ech, pryszczaci, ech, stalinowcy, sokoły kulawe, prorocy z Koszykowej, samobójcy, którym gaz się zatkał. Pożyliście sobie junacko, upapraliście się co niemiara, rozbiegliście się na wszystkie strony jak kuropatwy z pypciem na języku. Każda menda, którą ktoś przypadkiem począł o dziesięć lat za późno, może was dopaść i wyruchać bezwstydnie na oczach rozbawionej gawiedzi".

„Mała apokalipsa", którą zekranizował swego czasu Costa-Gavras, umiejscowiona w – mogło się zdawać – wcale nie tak dalekiej przyszłości, w której Polska, oczywiście na własne życzenie, przyłączyć się miała do Kraju Rad, była tym ciekawsza, że niebezkrytyczna wobec opozycji, ze szczególnym uwzględnieniem Jacka Kuronia. Tadeusz Konwicki, wieczny „podpisywacz" listów do

eprasa.pl ac2ccfad23

władz, uznawanych w tamtych latach za akty wielkiej odwagi, wyraźnie znudził się ich problematyczną skutecznością. Stąd wzięły się w „Małej apokalipsie" ewidentnie komiczne sceny, łącznie z tą najważniejszą, gdy do bohatera powieści przychodzą emisariusze opozycji demokratycznej z radosną wieścią, że oto wytypowany został do podpalenia się na schodach Pałacu Kultury i Nauki, by jego tak spektakularna śmierć wstrząsnęła sumieniami rządzących i rządzonych.

Zanim Tadeusz Konwicki na serio zajął się literaturą, zdążył w czasie wojny pobłąkać się po Puszczy Rudnickiej, strzelając przy tym nie w tę stronę, co trzeba było

W istocie odkąd w 1966 r., po 14-letnim stażu, został skreślony z listy członków PZPR, wielokrotnie podpisywał listy protestacyjne do władz, m.in. List 59 czy apel intelektualistów protestujących przeciw stanowi wojennemu.

Do Solidarności nigdy nie wstąpił, choć stać go było na gesty, które sporo w latach PRL kosztowały. Nieprzypadkowo ostentacyjnie wręcz oddał maszynopisy swoich książek – „Kompleksu polskiego" i „Małej apokalipsy" – podziemnemu wydawcy, co sprawiło, że ukazały się one jako numery 3. i 10. wydawanego poza cenzurą kwartalnika „Zapis". Później stosował już płodozmian pisarski, np. „Wschody i zachody księżyca" wyszły w drugim obiegu, ale „Nowy Świat i okolice" jak najbardziej oficjalnie. Żartował, że to takie gierki starszego pana z cenzurą i opresyjnym, tyle że często bezsilnym systemem.

Oznajmił kiedyś, że ma gorącą głowę i zimne serce. Zdaje się, że był w tym stwierdzeniu bardzo bliski prawdy. Niezależnie od naszych ocen jego twórczość – zarówno pisarska, jak i filmowa (był niewątpliwie najwybitniejszym przedstawicielem kina autorskiego w Polsce) – jest nie do podrobienia. Przekonali się o tym jego naśladowcy, którzy jak jeden mąż ponieśli klęskę. Widać biedacy zapomnieli – stwierdziłem kiedyś – że prorok może być tylko jeden.

Z całym przekonaniem

Zanim Tadeusz Konwicki na serio zajął się literaturą, zdążył w czasie wojny pobłąkać się po Puszczy Rudnickiej, strzelając przy tym nie w tę stronę, co trzeba było. Słowem, pisał, zaliczył „sześć miesięcy partyzantki antyradzieckiej" jako żołnierz 8. Oszmiańskiej Brygady Armii Krajowej. W 1947 r. tę swoją partyzantkę opisał w „Rojstach", wydanych dopiero w 1956 r. To był obraz – określił go Ryszard Kiersnowski, starszy rangą kolega z tego samego oddziału, autor wspomnień „Tam i wtedy. W Podweryszkach, w Wilnie i w puszczy 1939–1945" (Warszawa 1994) – „lepki, niby to realistyczny, a w istocie odrealniony, podporządkowany idei złej rzeczywistości". Z siebie samego zrobił Konwicki nieudacznika, któremu bez przerwy zacina się broń, za to sukcesy miłosne odnosi na każdym kroku. W innych powieściach Konwickiego dotyczących partyzantki jego bohater literalnie nic nie pamięta. Co prawda, coś mu się kołacze po głowie, ale co, tego dokładnie nie wie, poza tym głowa go boli bez przerwy. Z takich wojennych zwidów, z tego całego „było nie było" narodziły się potem dziwne postaci filmów Konwickiego – „Salta" czy „Jak daleko stąd, jak blisko", niemogące się uwolnić od czasu wojennego i tego, że gdzieś, kiedyś, do kogoś strzelali...

A „Rojsty" znalazły sobie po latach miłośnika w osobie Adama Michnika, który nazwał ją tyleż efektownie, ile bezmyślnie „najuczciwszą relacją z dziejów absurdu polskiego honoru i z dziejów honoru polskiego absurdu". Przy okazji „jąkający się chłopiec" z charakterystycznym dla siebie wątpliwym wdziękiem sflekował prof. Ryszarda Kiersnowskiego, który śmiał powiedzieć kilka słów prawdy o pisarstwie i życiu swojego wileńskiego kolegi.

W 1951 r. Konwicki dostąpił zaszczytu wstąpienia do PZPR. Towarzysze z literackiej Podstawowej Organizacji Partyjnej szczegółowo zbadali jego przeszłość i, mimo początkowego sprzeciwu dwóch partyjnych ortodoksów, przyjęli pisarza w szeregi „najlepszych z najlepszych". Niewątpliwie skłonić ich mogło do tego takie oto wyznanie obiecującego kandydata: „Od 1944 roku do końca 1945 roku byłem w antyradzieckim AK-owskim oddziale. Oddział ten miał na celu mordowanie działaczy demokratycznych, członków Partii i pracowników Bezpieczeństwa". Jeśli chodzi o Sowietów, to aspirujący do czerwonej legitymacji Konwicki przyznał się do ranienia jednego. Zarzekł się, że wszystkie swoje grzechy wyznał na UB, a stosunek do naszego wschodniego sąsiada zmienił diametralnie.

I rzeczywiście, nie minęło wiele czasu i oto w 1952 r. niegdysiejszy „Bóbr" wraz z drugim adeptem sztuki pisarskiej – Tadeuszem Papierem – wybrał się w rejs wzdłuż Wisły, podczas którego młodych inżynierów dusz ludzkich starsi inżynierowie wodni wprowadzali w tajniki hydrologii. Rozmawiali jednak nie tylko o regulacji Wisły, którą przewidzieli na rok 1960 (sic!). W wydanej naprędce przez Książkę i Wiedzę książeczce „Nad Wisłą i Pilicą" mogliśmy przeczytać: „Inżynier pochylił się ku nam i rzekł prawie szeptem: – Kiedy byłem dzieckiem, ojciec prowadził mnie pod zamek w Warszawie i pokazywał Czerkiesów pełniących służbę. »Patrz – mówił – i pamiętaj: Zaborcy, Rosjanie«. W 1905 roku pokazywał Kozaków szarżujących na tłum: »Patrz, co robią Rosjanie«. Prowadził pod cytadelę i uczył: »Tu Rosjanie mordują Polaków...«.

Inżynier wydobył pudełko z papierosami. Zapalił zapałkę trochę drżącymi palcami.

– W takiej atmosferze rosłem... W ciągu lat kamieniało to w głowie...

Milczeliśmy. Pod pokładem buczało jękliwe dynamo.

– Dziś z całym przekonaniem należę do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej".

Gdyby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości, pozbawiłby się ich ostatecznie po lekturze książeczki „Wśród przyjaciół", zawierającej plon wyprawy Tadeusza Konwickiego i dziewięciu innych polskich adeptów pióra do stolicy Kraju Rad, która odbyła się grudniu 1952 r. Były „Bóbr" po skrupulatnym opisie Kremla i „muzeum

eprasa.pl ac2ccfad23

miłości do człowieka", w którym zgromadzono dary nadsyłane Chorążemu Pokoju przez masy pracujące całego świata, swoje wypracowanie kończył tak:

„Nasza miłość do Józefa Stalina nie jest abstrakcyjna. Bo każdy nasz poszczególny, osobisty los jest ściśle związany z jego życiem. Bo nawet młody polski literat, który mozoli się nad swą pierwszą książką, nauczył się pisać w wielkim pociągu historii, który On prowadził. Bo ten młody pisarz, świadcząc prawdzie swoich czasów, żywił gdzieś tam w głębi serca cichą, niepokojącą nadzieję, że jego książkę, jego człowieczy manifest miłości do człowieka przeczyta kiedyś Józef Stalin".

Z wdziękiem i bez niego

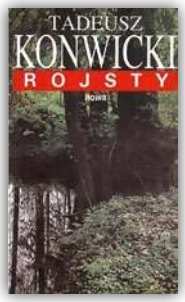
Tych, którym ta układanka z klocków niepasujących do obrazu Tadeusza Konwickiego, zwierciadła polskich sumień, autora antykomunistycznej „Małej apokalipsy" i obowiązkowej lektury Salonu Warszawskiego – „Kalendarza i klepsydry", postaram się ułagodzić, przypominając, w jakich okolicznościach pisarz, po 15 latach, rozstawał się z tą, której – jak powiedział – chciał być żołnierzem: z Partią.

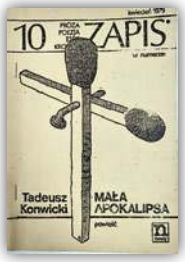
Otóż 25 listopada 1966 r. przez specjalną komisję kierowaną przez Zenona Kliszkę poproszony został o napisanie oświadczenia w sprawie usuniętego właśnie z PZPR Leszka Kołakowskiego. Odmówił: „Ja was bardzo przepraszam, ale nie będę pisał oświadczenia, one bardzo mnie upokarzają. Przyrzekłem sobie, że nie będę już pisał żadnych oświadczeń. Kiedyś je pisałem". Po dwóch tygodniach krnąbrny – jak się okazało – towarzysz Konwicki wezwany został przed oblicze Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej. Po jego wyjaśnieniach członek tego zespołu, Tadeusz Galiński, nie kryjąc irytacji, orzekł: „Wy mówicie gorzej aniżeli jakiś korespondent zagraniczny". Konwicki, zdaje się, miał już wszystkiego dosyć i sam przypomniał, że uprzednio „towarzysz Kliszko na koniec rozmowy powiedział, że nie widzi mnie w partii". W związku z tym przewodniczący zespołu CKKP, Roman Nowak, zadał sakramentalne pytanie: „Czy wam zależy na partii?". Konwicki odpowiedział: „Szczerze mówiąc – nie".

Kiedyś mu zależało, co potrafiono docenić. W 1950 r. za cykl reportaży (?) z Nowej Huty „Przy budowie" otrzymał Państwową Nagrodę Artystyczną. Później przedstawiał to tak, że nagrody te rozdawano niemal wszystkim chętnym, na których polowano niczym w jakiejś łapance. Przeciwnie, przeciwnie... To było niesłychane wyróżnienie, którym nagle uhonorowano 24-letniego debiutanta. Był bowiem Konwicki w „pryszczatej" awangardzie, walcząc o palmę pierwszeństwa z takimi tuzami pisarstwa jak Roman Bratny, Andrzej Mandalian, Aleksander Ścibor-Rylski i wielu innych, o których słuch zaginął.

Po raz drugi Państwową Nagrodę Artystyczną zainkasował Tadeusz Konwicki już po czterech latach. W tym czasie wstąpił w szeregi PZPR i jako świadomy jej członek napisał – właśnie nagrodzoną – „Władzę". Co się pięknie zaczęło, skończyło się jednak fatalnie, bo nie minęło wiele miesięcy, a występujący w jego powieści zdradziecki szef prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia, niejaki Gomułka, został I sekretarzem KC PZPR, a naród zechciał zobaczyć w nim swego wodza, o czym towarzysza „Wiesława" zapewniano na wiecach jak Polska długa i szeroka.

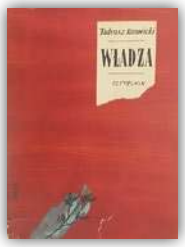
Tadeusz Konwicki, jak na Wilnianina przystało, przypomniał sobie wtedy o tym, że „Gustavus obiit, Hic natus est Conradus", i w połowie 1957 r. wyjechał nad morze, gdzie nakręcił swój pierwszy, nagrodzony na festiwalu w Wenecji film – „Ostatni dzień lata". „I tam, nad tym zimnym jak lodownia morzu – roznamiętniał się pisarsko – w strasznym i samotnym sierpniu, miesiącu bezksiężycowym, miesiącu spadających gwiazd, co podobno spełniają ludzkie marzenia albo zachcianki, tam jednej nocy z zadartą do góry głową zrozumiałem, że nade mną jest niebo gwiaździste, a prawo moralne we mnie".

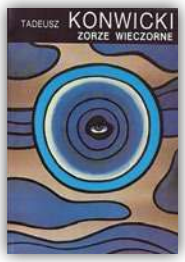












Ten pisarz, autor „Nowego Świata i okolic" (1986 r.), choć doceniony za zasługi dla Warszawy Nagrodą Literacką przyznaną w 2009 r. (w latach 50., czym specjalnie się nie chwalił, był radnym m.st. Warszawy) i do znudzenia indagowany przez dziennikarzy o rolę, jaką w jego życiu odegrał Pałac Kultury i Nauki (straszył go codziennie rano, gdy wychylał się ze swej nyży przy ulicy Górskiego), w rzeczywistości duchem nie ruszył się z Kolonii Wileńskiej. I to jest pełna odpowiedź na podnoszoną wielokrotnie kwestię, dlaczego na początku lat 90. podjął się Konwicki tak karkołomnego zadania, jak nakręcenie „Lawy" według „Dziadów" Adama Mickiewicza. On sam, opowiadając o tym, jak zrealizował „Lawę", konstatował: „Jestem utkany z jakichś resztek po Pieślakach, Kieżunach, Wieszunach, a może nawet Mickiewiczach. Zastygłem w krysztale tamtego powietrza, w wątłym świetle północnego słońca, w urokach nocy zimowych zakłóconych wyciem wilków, którym także nienajlepiej wiedzie się na tym naszym świecie".

W połowie lat 70. zeszłego wieku stwierdził, że „wymiera pokolenie schorowane na literaturę. Wymierają literaci chorzy na literaturę i znikają w niepamięci czytelnicy chorzy na literaturę". Zastanawiające „przeoczenie" przez nasz parlament 100. rocznicy urodzin Tadeusza Konwickiego, pisarza o skomplikowanym życiorysie i niejednoznacznym dorobku literackim, ale pisarza absolutnie wyjątkowego dowodzi, że z naszą narodową pamięcią jest już bardzo, ale to bardzo źle.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2ccfad23



Bezrobotny i jego rodzina na krakowskiej ulicy, 1932 r. FOT. NAC

Książka miesiąca / Wielki Kryzys w Polsce

Dzielenie zapałki

Dzielenie zapałki na czworo wymaga pewnej umiejętności. Musiały ją nabyć miliony Polaków niecałe 100 lat temu, podczas Wielkiego Kryzysu. O jego społecznych skutkach pisze niezwykle zajmująco Kamil Piskała, historyk z Uniwersytetu Łódzkiego, często przywołując wypowiedzi osób dotkniętych bezrobociem i w konsekwencji ubóstwem, nierzadko skrajnym.

Oto parę liczb, które podaje autor. Spadek PKB pomiędzy rokiem 1928, ostatnim przedkryzysowym, a 1933, gdy zapaść osiągnęła dno, wyniósł 22 proc., produkcja była niższa o 36–46 proc. Liczba etatów w przemyśle włókienniczym spadła o 25 proc., metalowym – 30 proc., górnictwie – 40 proc.

Kamil Piskała zwraca uwagę na to, że najbardziej ucierpiała ludność wiejska, a z pracy na roli utrzymywało się aż 60 proc. społeczeństwa. Jeden z rolników, cytowany przez autora, pisał, że za kilogram wyrobów żelaznych płacił przed kryzysem siedem jaj, w trakcie kryzysu – 14. Zapałki kupowano na sztuki i dzielono na cztery części. W tej samej osolonej wodzie kilka razy gotowano ziemniaki. A mięso na wiejskich stołach pojawiało się od święta. Ceny w kryzysie spadały, jednak najmocniej dotyczyło to produktów rolnych. Wraz z tym spadała siła nabywcza ludności wsi, co pociągało za sobą skurczenie się rynku, to z kolei powodowało wzrost bezrobocia i obniżki płac w przemyśle. W krytycznym okresie liczba bezrobotnych sięgała 1 mln osób, co z rodzinami dawało 4–5 mln ludzi dotkniętych przez kryzys. Do tego trzeba dodać trudną do oszacowania liczbę pracujących w zredukowanym wymiarze czasu i tych, którym obniżono, czasami drastyczne, płace. Skutkami braku pieniędzy na czynsz były eksmisje na bruk i rzesza bezdomnych. W Warszawie, na Annopolu, w barakach udostępnionych przez miasto, mieszkało 10 tys. ludzi pozbawionych mieszkań.

Słowo „wstyd" niejednokrotnie pojawia się na stronach książki. Zredukowani, czyli pozbawieni pracy i często nawet zasiłku, wstydzili się chodzenia w znoszonych, połatanych ubraniach, stania w kolejkach do kuchni dla bezrobotnych i do urzędu pośrednictwa pracy. Doraźna pomoc tylko częściowo pochodziła z funduszy rządowych, większość z ofiarności społeczeństwa. Jak zauważa autor, w dokumentach z tamtych czasów odnotowano, że najbardziej zamożne grupy społeczeństwa nie kwapią się do pomocy dla bezrobotnych, a jej ciężar spada na tych, którym się nie przelewa.

Kamil Piskała stwierdza, że kolejne rządy uważały – jak się okazało, błędnie – że kryzys rozpoczęty w 1929 r. jest taki, jak inne w przeszłości i przezwyciężą go znów naturalne mechanizmy rynkowe. Trzymano się sztywno dwóch zasad: stabilizacji waluty i równowagi budżetowej. Jednak – jak zauważa autor – koszty takiej polityki były dla społeczeństwa bardzo duże, a zdaniem większości historyków – zbyt duże. Rząd z opóźnieniem rozpoczął program robót publicznych, mających choć trochę zmniejszyć bezrobocie, podjął też działania ochraniające rolników przed licytacją zadłużonych gospodarstw i ograniczył ściąganie ich długów do spłaty odsetek. Ponadto wobec deficytu budżetowego bezwzględnie ściągano podatki, nawet jeśli należność wynosiła tylko 2 zł. Z tego powodu wieś Kozodrza stawiła stanowczy opór nie tylko sekwestratorowi, lecz także wezwanej na pomoc policji. ©℗

Tomasz Stańczyk



KAMIL PISKAŁA
„ZREDUKOWANI. O SPOŁECZNYCH SKUTKACH WIELKIEGO KRYZYSU"
MUZEUM HISTORII POLSKI

eprasa.pl ac2ccfad23

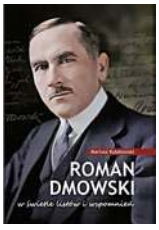
Inna twarz Pana Romana

Niewiele jest w historii Polski osób, na których temat w przestrzeni publicznej pojawiło się tyle kłamstw, co o Romanie Dmowskim. Liczba podawanych o nim, z powodu zwykłej niewiedzy – ale też ze złej woli – fałszywych informacji, nie maleje w ostatnich latach. Choć Dmowski wymieniany jest jednym tchem jako Ojciec Niepodległości, obok Józefa Piłsudskiego i Ignacego Jana Paderewskiego, to z tej trójki ma z pewnością – przynajmniej w mediach – najgorszą prasę. Dzieje się tak, gdyż większość tego, co mówi się i pisze o Dmowskim, oparta jest na stereotypach. Mówi się o jego antysemityzmie, łącząc go błędnie (i często z premedytacją) ze zwykłą nienawiścią na tle rasowym, o współpracy z Rosją (faktem jest, że zasiadał w Dumie), o zacofaniu – jakby zapominając, że przecież znał kilka języków i zjeździł pół świata – czy o faszyzmie, który w sposób skandaliczny łączony jest z nacjonalizmem. Roman Dmowski stał się „straszakiem", wykreowano go na symbol tego, co w historii Polski XX w. najgorsze, i wciąż przedstawia się go nierzadko jako najczarniejszą jej postać.

Jednak każdy, kto zadał sobie trud, aby zapoznać się z biografią Pana Romana, musi przyznać, że był to człowiek nieprzeciętny, który ukształtował bardzo wielu polityków oraz działaczy i któremu Polska zawdzięcza dużo więcej niż wygłoszenie w trzech językach przemówienia podczas konferencji pokojowej w Paryżu.

Zebrane w książce listy Dmowskiego i osób z nim korespondujących oraz wspomnienia wypełniają wielką lukę w polskiej wiedzy na temat przywódcy endecji. Znajdziemy w niej zupełnie inną, mniej polityczną, a wręcz intymną twarz Dmowskiego. Książka ukazała się pierwszy raz w wydawnictwie emigracyjnym kilkadziesiąt lat temu, a jej autor, Józef Zieliński, podpisał się pseudonimem Mariusz Kułakowski. Na niemal 900 stronach znalazły się nie tylko dziesiątki listów i wspomnień, lecz także nota biograficzna Romana Dmowskiego autorstwa uznanych autorów związanych z myślą narodową. Książka zawiera także spis wszystkich dzieł (tych znanych i tych dużo mniej popularnych), które napisał na przestrzeni lat Dmowski. Jak podkreśla wydawca, jest nadzieja, że obecne wydanie książki stanie się okazją do powstania nowej, wyczerpującej, opartej na bogatych źródłach biografii Romana Dmowskiego. ©℗

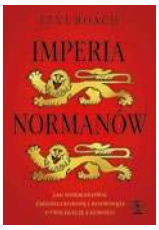
Anna Szczepańska



MARIUSZ KUŁAKOWSKI
„ROMAN DMOWSKI W ŚWIETLE LISTÓW I WSPOMNIEŃ"
DĘBOGÓRA

Normańscy zdobywcy

Potomkowie wikingów zdominowali obrzeża Europy i z biegiem lat rozciągnęli swoje wpływy w głąb kontynentu. Potęga Normanów osiągnęła apogeum wraz z koronacją Fryderyka II, władcy, który po kądzieli miał normańskie korzenie. Udało im się podbić nie tylko Anglię, lecz także Sycylię, a ich wpływy sięgnęły nawet północnej Afryki i Ziemi Świętej. Normańscy wojownicy odnosili wielkie zwycięstwa i mieli duży wpływ na średniowieczne losy naszego kontynentu, ale dość szybko tracili swoją odrębną tożsamość i się asymilowali. Co dziś po nich zostało w Europie? ©℗ *(p.w.)*



LEVI ROACH
„IMPERIA NORMANÓW"
REBIS

Nostalgia bez apoteozy

Trudno rozważać dzieje PRL w oderwaniu od prześladowań, inwigilacji, cenzury, „ścieżek zdrowia" czy pacyfikacji Kopalni „Wujek". Jednak nie sposób myśleć o ponad czterech dekadach historii naszego państwa tylko poprzez pryzmat tego, co najgorsze. Pomijając tych, którzy w systemie komunistycznym urządzili się bardzo wygodnie, trzeba pamiętać o zwykłych ludziach, którzy w takim systemie musieli żyć i jakoś sobie radzić. O nich właśnie jest książka Jacka Piekary. To idealne, przystępnie napisane kompendium wiedzy także dla tych, którzy PRL znają tylko z opowieści rodziców i dziadków, filmów Stanisława Barei, Sylwestra Chęcińskiego oraz książek historycznych.

Piekara pokazuje, jak zmieniał się PRL na przestrzeni lat i w jaki sposób wydarzenia polityczne odbijały się na codziennym życiu Polaków. Opowiada o tym, jak zmieniała się moda, dostępność produktów, czym w czasach komuny były Pewexy, reglamentacja i system kartkowy, czego ludziom brakowało i za czym tęsknili.

Książka nie jest sentymentalnym powrotem do minionej epoki, lecz niejako fotograficznym zapisem obrazów i zdarzeń. Wspomnienie zdobywanych z drugiej ręki zachodnich czasopism może spowodować uśmiech nostalgii, lecz inne – zimowy poranek 1981 r., gdy ogłaszano stan wojenny – wywołają dreszcz grozy. ©℗

Anna Szczepańska



JACEK PIEKARA
„ŚWIAT ZAGINIONY. WYPRAWA DO WNĘTRZA PRL", T. 1
ZYSK I S-KA

eprasa.pl ac2ccfad23



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Rydz cierpiący

Do niedawna, przyznaję się, w ogóle nie wiedziałem, że Edward Śmigły-Rydz, nieszczęsny „drugi Marszałek", który doprowadził Polskę do katastrofy roku 1939, pozostawił po sobie wiersze. Dopiero ostatnio znajomy podesłał mi fotokopię książeczki wydanej w 1989 r. w Londynie przez bliżej mi nieznaną Oficynę Poetów i Malarzy. Autorem edycji i wstępu był Krzysztof Munnich, o którym dowiedziałem się z Internetu, że był wieloletnim sekretarzem generalnym londyńskiego Instytutu Piłsudskiego, synem pułkownika Wojska Polskiego i że zmarł w roku 2022. Zebrane w tomiku „Dążąc do końca swoich dróg" wiersze pochodzą właśnie z archiwów wspomnianego Instytutu, jednak nie z rękopisów samego Rydza, ale z odpisów wykonanych przez osoby, które miały z nim kontakt i którym on swoje rękopisy udostępnił. Możliwe – pisał Krzysztof Munnich – że podobnych odpisów dałoby się znaleźć w innych archiwach więcej, ale on zdołał zgromadzić tylko owych 17, zebranych w tomiku. W każdym razie fakt, że Rydz podczas internowania pisał wiersze i pokazywał je różnym osobom, zaświadczony jest we wspomnieniach jego adiutanta, opublikowanych przed laty w „Zeszytach Historycznych" paryskiej „Kultury".

Powiedzmy sobie szczerze: nie jest to wielka poezja ani nawet poezja dobra. Ale nie jest to też grafomania – wiersze są napisane poprawnie, wedle wzorców epoki, i tyle. Ale przecież nie wartości literackie są powodem, by je czytać, ale chęć zajrzenia wygnanemu i nikomu już wtedy niepotrzebnemu marszałkowi, któremu moralnego prawa do marszałkowskiej buławy odmawiali nawet piłsudczycy (Marian Hemar w swoim sławnym wierszu nie przypadkiem zwracał się do byłego wodza naczelnego per „generale"), do duszy. Co zrozumiał ze swej sytuacji, „garując", za przeproszeniem, w Dragoslavele? Z wierszy wynika to samo, co z jego wywiadu, udzielonego u schyłku roku 1939 Melchiorowi Wańkowiczowi: że nic.

Odeszli... tylko dwóch lub trzech
Z całego tłumu pozostało
Nie skarżę się, że ich tak mało
Tamtych zaś żegna drwiący śmiech

Nie pragnę ani serc, ni dusz
Ani pociechy ni przyjaźni
Opancerzyłem się w tej kaźni
Oskorupiłem pośród burz

Przez które mię prowadzi Bóg!
I jego tylko zmiłowania
Proszę, gdy duch się czasem słania
Dążąc do końca swoich dróg.

Na różne sposoby powtarza się ten ton we wszystkich wierszach. Jeszcze jedna próbka:

Już gorzej być nie może,
Wszystko mię boli i rani
Ginę we wstrętu otchłani –
A jutro może być gorzej...

Cała znana polonistom do znudzenia rekwizytornia romantyczna, dziś może mniej powszechna, 100 lat temu z hakiem uporczywie wtłaczana do głów wszystkim uczniom, została tu zaprzęgnięta do wyrażenia przekonania Rydza, że dzieje mu się straszliwa krzywda, ale z pomocą Boga znosi ją mężnie, by nie rzec – męczeńsko.

Tak samo widzi to jego wydawca, wystawiając ten edytorski pomnik „dowódcy, który po kampanii niemającej szansy zwycięstwa został podstępnie izolowany, niesłusznie napiętnowany i pozbawiony możliwości obrony przed zarzutami politycznych przeciwników".

Trudno mi się zgodzić z wizją nadętego własną urojoną wielkością Rydza jako niewinnej ofiary ludzkiej nienawiści, szukającej kozła ofiarnego. Ale może warto byłoby wiersze Rydza gdzieś wznowić – jako przyczynek do sądu nad Piłsudskim, który sam jaki był, taki był, ale pozostawił Polskę w rękach skończonych miernot? ©℗

eprasa.pl ac2ccfad23

Morderstwa, strzelaniny, pościgi w pociągach i poza pociągami – właśnie tej kryminalnej intrygi potrzebowałam w połowie niemiłosiernie ciągnącego się stycznia" – w ten sposób Marta Górna, recenzentka „Gazety Wyborczej", reklamuje ekranizację powieści Agathy Christie dla kanału Netflix pod nazwą „Siedem zegarów". Ta opublikowana po raz pierwszy w 1929 r. książka jest jedną z najrzadziej przenoszonych na ekran powieści pisarki. Zresztą gdy wydano ją 97 lat temu, niespecjalnie przypadła do gustu krytykom i czytelnikom.



Piotr Semka

Siedem zegarów na kolorowo

Jest to opowieść o młodej arystokratce o sympatycznym przydomku Bundle, odważnie dającej sobie radę z tajemniczą intrygą, w którą wplątane są zagraniczne wywiady pragnące wejść w posiadanie tajemnicy nowego, niezwykle mocnego metalu. A w tle pojawia się zagadkowa loża tytułowych siedmiu zegarów. Mimo że powieść miała słabą recepcję, to Netflix zrobił na jej podstawie bardzo ciekawy obraz.

„Takiego serialu właśnie mi brakowało. Myślę, że nawet Agatha Christie obejrzałaby go naraz [serial podzielono na trzy godzinne części – przyp. red.] – może tylko lekko krzywiłaby się na zmiany, jakie po raz kolejny wprowadzono w jej dziele" – zachwyca się Marta Górna.

Nie będę się zajmował serialem, który zrobił na mnie – przyznam – bardzo dobre wrażenie, ale jednym jego aspektem, który przypomina nam o specyfice dzisiejszych czasów. Ktoś, kto nie oglądał trzech odcinków serialu, może nie wiedzieć, o co chodzi recenzentce „GW", gdy zastanawia się, czy autorka lekko krzywiłaby się na zmiany w jej dziele.

Otóż mowa jest o wprowadzeniu do filmu dziejącego się na szczytach brytyjskiej arystokracji w 1925 r. trojga aktorów o wyraźnym egzotycznym wyglądzie. Nie powinno to jednak dziwić w świecie, w którym w hollywoodzkiej ekranizacji niemal połowa rycerzy Okrągłego Stołu to aktorzy czarnoskórzy. A jednak jest coś ewidentnie mało wiarygodnego we wprowadzaniu czarnoskórych lub hinduskich aktorów do opowieści dziejącej się na szczytach brytyjskiej elity lat 20. zeszłego wieku.

W powieści kluczową postacią jest tajemniczy dr Eberhardt, naukowiec z Niemiec, który zaproponował swojemu rządowi metal o niezwykle dużej odporności, ale został oszukany wskutek intryg. Gdy zaoferował swój wynalazek Brytyjczykom, obce wywiady starały się wyrwać mu z rąk jego sekret. W ekranizacji Netflixa zamiast dr. Eberharda pojawia się czarnoskóry naukowiec dr Cyril Matip z Kamerunu, który do pierwszej wojny światowej był niemiecką kolonią. Matip tłumaczy, że urodził się w kameruńskiej Duali i jego ojciec jako naczelnik wioski uznał za swój obowiązek wysłać go na studia do niemieckiej metropolii. Autor scenariusza potraktował swoje researcherskie obowiązki po łebkach, gdyż filmowy Matip ogłasza, że ukończył Uniwersytet Goethego we Frankfurcie nad Menem. Uczelnia, owszem, powstała w 1914 r., ale nazwisko autora „Fausta" uzyskała dopiero w 1932 r. Natomiast aktor Nabhaan Rizwan, Hindus z pochodzenia, gra Ronniego Deveruxa – pracownika londyńskiego Foreign Office, a jedną z dam jest Mulatka Ella-Rae Smith (wcieliła się w rolę Loraine Wade). Oczywiście wszystkie te trzy postaci w oryginalnym dziele Christie to biali. Co ciekawe zresztą, upchnięci kolanem aktorzy o egzotycznym wyglądzie nie są specjalnie sympatyczni. Doktor Matip cały czas demonstruje swoją irytację z powodu arogancji brytyjskich arystokratów, a Loraine okazuje się zdrajczynią, która wystąpiła przeciwko własnemu bratu. Oczywiście chodziło o to, by pokazać, że brytyjskie społeczeństwo jest zróżnicowane kulturowo. Ale jaki jest sens zakłamywania brytyjskich realiów z 1925 r.? Mówimy przecież o czasach, gdy synowie naczelników wiosek z Kamerunu nie robili jeszcze karier naukowych, a w brytyjskim MSZ niemal 100 proc. stanowili biali. Czy Agatha Christie jedynie lekko by się skrzywiła? Zapewne powiedziałaby, że jest to niedopuszczalne naginanie realiów do jakichś równościowych ideologii. Tylko tyle i aż tyle. ©℗

Jest coś ewidentnie mało wiarygodnego we wprowadzaniu czarnoskórych lub hinduskich aktorów do opowieści dziejącej się na szczytach brytyjskiej elity lat 20. zeszłego wieku

eprasa.pl ac2ccfad23



Obrona przeciwlotnicza Moskwy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, OLEG KNORRING/ARCHIWUM RIA NOVOSTI

1941 r. / Zajęcie miasta i kapitulacja ZSRS?

Moskwa albo śmierć



Mikołaj Iwanow

Upadek sowieckiej stolicy miał być fundamentem zwycięstwa III Rzeszy. Hitler planował stworzyć w miejscu Moskwy wielki zbiornik wodny

Zimą 1941 r. armia niemiecka pod Moskwą poniosła pierwszą w drugiej wojnie światowej odczuwalną porażkę. Wehrmacht musiał wycofać się spod sowieckiej stolicy na odległość 100–150 km. Nie była to jeszcze katastrofa na miarę pogromu 6. Armii pod Stalingradem, ale jednak było to bardzo bolesne doświadczenie dla całej machiny wojennej III Rzeszy.

Po zdobyciu Moskwy Hitler zamierzał w niedługim czasie zakończyć kampanię przeciwko Związkowi Sowieckiemu – wynikało to z planów operacji „Tajfun". Upadek sowieckiej stolicy miał być fundamentem zwycięstwa III Rzeszy. Zgodnie z opracowanym jeszcze pod koniec 1940 r. planem wojny na wschodzie („Barbarossa") armia niemiecka miała zakończyć aktywne działania wojenne po trzech–czterech miesiącach po dotarciu do Wołgi i zdobyciu Moskwy oraz Leningradu. Plan Niemców nie przewidywał okupacji całej europejskiej części Związku Sowieckiego. Zniszczenie ostatniego wielkiego ośrodka przemysłowego na Uralu Hitler planował dokonać za pomocą lotnictwa.

Stalin natomiast chciał walczyć do końca, nawet po zniszczeniu większości swojej armii. Dla sowieckiego dyktatora ewentualny upadek Moskwy byłby jedynie etapem wojny. Propaganda ZSRS na początku października 1941 r., gdy upadek sowieckiej stolicy wydawał się prawdopodobny, odwoływała się do gen. Michaiła Kutuzowa, który po poddaniu Moskwy Napoleonowi w 1812 r. ostatecznie wygrał wojnę z Francją. Co więcej, Stalin w październiku polecił Berii podjąć rozmowy z ambasadorem Bułgarii w Moskwie, Iwanem Stamenowem, na temat odnowienia kontaktów sowiecko-niemieckich. Bułgaria, sojusznik III Rzeszy, nie przyłączyła się do wojny przeciwko ZSRS, mimo że armia bułgarska aktywnie wspierała działania Wehrmachtu na Bałkanach. Wykonawca tego polecenia, generał NKWD Paweł Sudopłatow, w swych wspomnieniach sugerował, że Stalin był gotów podpisać separatystyczny pokój z III Rzeszą, powtarzając z grubsza to, co Lenin uzgodnił z Niemcami w 1918 r. w Brześciu. Stalin był skłonny oddać Niemcom Ukrainę, Białoruś i niedawno zajęte kraje bałtyckie. Jak wyjaśniał Sudopłatow, Stalin chciał w ten sposób zyskać przerwę w działaniach wojennych, by

eprasa.pl ac2ccfad23

zgromadzić nowe siły do walki z Niemcami. Był to oczywisty podstęp, na który Hitler nie zareagował.

Dwa pociągi

U podstaw konfliktu sowiecko-niemieckiego znajdowały się zarówno sprzeczności geopolityczne, jak i osobista niechęć między dwoma liderami konkurujących ze sobą reżimów totalitarnych. Po rozpoczęciu wojny niechęć przekształciła się w nienawiść, zwłaszcza ze strony Stalina, który czuł się oszukany. Oficjalnie przywódcy ZSRS i III Rzeszy nigdy nie spotkali się osobiście, komunikując się wyłącznie za pośrednictwem swoich ministrów spraw zagranicznych. Jednak w 1979 r. w Stanach Zjednoczonych odtajniono dokumenty sugerujące coś innego.

Sensację wywołała publikacja raportu FBI (zarządzanego przez Edgara J. Hoovera), napisanego dla zastępcy sekretarza stanu Adolphusa Burleigha Jr. W dokumencie tym Hoover sugeruje, że doszło do tajnego spotkania Józefa Stalina z Adolfem Hitlerem 18 lub 19 października 1939 r. we Lwowie. Po tej rozmowie rzekomo podpisano tajne porozumienie, którego treść pozostaje jednak nieznana.

Pośrednio potwierdzają to świadectwa niektórych historyków. Znany rosyjski badacz Edward Radzinski pisał o tajnej operacji, podczas której lwowski dworzec kolejowy został oczyszczony z osób postronnych, w tym mieszkańców sąsiednich domów. Wkrótce potem na dworzec przybyły dwa pociągi specjalne. Po kilku godzinach postoju oba składy odjechały w przeciwnych kierunkach. Oczywiście żaden ze świadków tego wydarzenia nie widział osobiście ani Stalina, ani Hitlera. Tymczasem rejestr wizyt u Stalina z 18 i 19 października potwierdza, że nie był obecny w pracy. Harmonogram Hitlera w tych dniach jest również pusty, a przynajmniej żaden z jego bliskich współpracowników go nie odwiedził.

Jesień 1939 r. była okresem największej przyjaźni między ZSRS a Niemcami. Oba kraje dokonały rozbioru Polski i zawarły pakt o nieagresji. Możliwe, że sojusznicy chcieli się spotkać osobiście, aby ustalić dalsze działania. Warto zauważyć, że natychmiast po powrocie na Kreml po dwudniowej nieobecności Stalin zebrał całe kierownictwo państwa, zapowiadając coś bardzo ważnego. Możliwe, że (jeżeli to spotkanie faktycznie doszło do skutku) Hitlerowi udało się przekonać Stalina, iż atak na ZSRS nigdy nie był i nie będzie jego celem. To tłumaczyłoby, dlaczego Stalin do ostatniej chwili nie wierzył w niemiecką inwazję na ZSRS, a kiedy już do niej doszło, był wściekły i zdezorientowany.

To, że do spotkania obu dyktatorów rzeczywiście doszło, zdaje się również potwierdzać odtajniona korespondencja między najważniejszymi urzędami Związku Sowieckiego i III Rzeszy. Obie strony potwierdziły w jej trakcie możliwość zorganizowania spotkania przywódców obu państw w terminach wskazanych w odtajnionym dokumencie FBI. Co więcej, spotkanie było początkowo planowane na wrzesień, a następnie przełożono je na październik. I choć nie ma żelaznych dowodów, że faktycznie do niego doszło, to jednak wszystkie poszlaki przemawiają za tą wersją.



Czołgi Panzer VI „Tiger" na froncie wschodnim, grudzień 1941 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Alternatywny scenariusz

Sytuacja Związku Sowieckiego i jego armii w październiku 1941 r. była dramatyczna. Zdesperowany Stalin zwrócił się do Churchilla z prośbą o wysłanie do ZSRS 20–25 dywizji. „Brytyjczycy – pisał – mogliby zająć cały odcinek frontu na południu i tym samym odciążyć Armię Czerwoną". Inną, absolutnie bez precedensu kwestią była błyskawiczna realizacja układu Sikorski-Majski. Na jego podstawie jesienią tamtego roku z więzień, obozów i zsyłki zwalniano dziesiątki tysięcy Polaków, by utworzyć z nich armię mającą wesprzeć sowiecki wysiłek wojenny. Pokazuje to niezbicie, że Stalin był gotów kontynuować wojnę nawet w przypadku utraty Moskwy.

Zastanówmy się, jak mogłyby się potoczyć losy wojny, gdyby stolica ZSRS upadła. Eksperci do spraw historii wojskowości twierdzą, że Niemcy mieli duże szanse na zdobycie Moskwy do końca



Żołnierze Wehrmachtu na froncie wschodnim, grudzień 1941 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl ac2ccfad23



Opatrywanie rannego żołnierza niemieckiego pod Moskwą

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

1941 r. Pierwotny plan „Barbarossa" przewidywał uderzenie na ZSRS w maju 1941 r. Zamysły Hitlera pokrzyżowali jednak Jugosłowianie, obalając swój rząd, który był przychylny III Rzeszy. Chęć ukarania Jugosłowian opóźniła początek agresji przeciwko Związkowi Sowieckiemu niemal o półtora miesiąca. Czy to uratowało Moskwę? Gdyby kampania rozpoczęła się w maju, a nie w czerwcu, Niemcy mogliby rozpocząć decydującą ofensywę na stolicę ZSRS już w sierpniu, przy sprzyjających warunkach pogodowych. „Generał mróz" nie zdążyłby przyjść na ratunek Stalinowi.

Wydaje się jednak, że jesienią 1941 r. Hitler i tak mógł wkroczyć na Kreml, gdyby nie opóźnił natarcia na stolicę ZSRS, zawracając w sierpniu swoje najlepsze zmotoryzowane dywizje w stronę Kijowa. Wódz III Rzeszy bezpodstawnie oceniał, że Moskwa i tak wkrótce padnie. Przerzucając swoje siły na południe, chciał ubezpieczyć na tym kierunku grupę armii Centrum. Prawdopodobnie tych kilku tygodni zabrakło Wehrmachtowi w momencie decydującego starcia na przedpolach Moskwy. Jak pokazują wspomnienia żołnierzy niemieckich, rosyjski mróz dokuczał nie tylko ludziom, którzy z powodu braku zimowych mundurów nie byli w stanie skutecznie walczyć. Stanęły też niemieckie pojazdy. Silniki czołgów musiały pracować non stop, inaczej zamarzały. Ale najgorsze było to, że posłuszeństwa odmawiała broń. Niemiecki olej używany do smarowania jej zwyczajnie nie wytrzymywał 20-stopniowych mrozów.

Wielu ekspertów do spraw historii wojskowości twierdzi, że upadek Moskwy mógł spowodować kapitulację Związku Sowieckiego. W takim przypadku zostałaby wdrożona „Dyrektywa nr 32", opracowana przez Hitlera jeszcze przed inwazją na ZSRS. Niemcy zamierzały zdominować europejską część kontynentu wraz z Włochami. Rosja aż po Ural miała zostać włączona do „Wielkich Niemiec", ale wcześniej europejska część ZSRS miała zostać całkowicie splądrowana. Następnie terytorium to miało zostać podzielone na cztery inspektoraty: Holsztyn, z siedzibą w dawnym Leningradzie; Saksonia w Moskwie; Badenia w Kijowie i Westfalia w Baku. Hitler zamierzał całkowicie „oczyścić" terytoria zachodniej Ukrainy, Białorusi, krajów bałtyckich, Krymu i Powołża z ich rdzennych grup etnicznych, przesiedlić tam Niemców i włączyć te tereny do Rzeszy. Półwysep Kolski, ze względu na wielkie bogactwa naturalne, miał być wykorzystywany jako baza surowcowa, a nieokupowana Azja Środkowa miała stać się rolniczym dodatkiem nowego imperium.

Upadek Moskwy mógł mieć ogromny, negatywny wpływ na morale społeczeństwa sowieckiego. Dlatego Hitler planował zrujnować większą część miasta, tworząc w miejscu sowieckiej stolicy wielki zbiornik wodny. Wódz III Rzeszy prawdopodobnie zdawał sobie sprawę z tego, że upadek Moskwy nie zakończy wojny, a jedynie nada konfliktowi nową dynamikę. Dlatego nie szczędził wysiłków, by zdobyć Moskwę.

Stalin, mimo nacisków swego otoczenia i przeniesienia licznych urzędów państwowych i ambasad zagranicznych do Kujbyszewa, nie opuścił Moskwy w październiku 1941 r. Był to symboliczny krok, odzwierciedlający gotowość do obrony stolicy za wszelką cenę. Nie bez znaczenia była tu postawa najważniejszego w tym momencie sojusznika ZSRS – Wielkiej Brytanii. Churchill zapewniał Stalina, że rząd Jego Królewskiej Mości nigdy nie opuści sowieckiego przyjaciela.

Ukryta prawda

Fakt, że stolica ZSRS znalazła się w krytycznym położeniu, wygląda tym dziwniej, że przecież Związek Sowiecki przygotowywał się do wojny być może nawet bardziej intensywnie niż III Rzesza. Pierwszy konkretny plan wojny przeciwko III Rzeszy został opracowany przez Ludowy Komisariat Obrony i sztab generalny Armii Czerwonej już 18 września 1940 r., prawie trzy miesiące przed niemieckim planem „Barbarossa".

Przewidywał on wykonanie uprzedzającego uderzenia na Niemcy i przeniesienie działań wojennych na terytorium wroga. Stalin był przekonany, że Armia Czerwona będzie w stanie natychmiast rozbić wroga. Jednak pierwsze bitwy przygraniczne zaskoczyły wszystkich. Zamiast mocnego kontruderzenia i „wyzwolenia" Europy spod jarzma niemieckich faszystów Armia Czerwona, mimo swej przewagi liczebnej, zaczęła ponosić jedną druzgocącą porażkę za drugą.



Sowieccy żołnierze na Placu Czerwonym w Moskwie przed wyruszeniem na front

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ANATOLIJ GARANIN/ARCH. RIA NOVOSTI

eprasa.pl ac2ccfad23



Medal „Za Obronę Moskwy”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GRAFIKM FR

Przez lata przyczyny tych spektakularnych niepowodzeń Armii Czerwonej były pieczołowicie ukrywane i fałszowane.

Historycy sowieccy sprawnie wykonywali zadanie partii. Jako główną przyczynę pogromu armii sowieckich w bitwach toczonych latem 1941 r. podawano brak nowoczesnych pojazdów wojskowych, przewagę liczebną Wehrmachtu, zaskoczenie agresją i błędne kalkulacje ze strony niektórych sowieckich dowódców wojskowych. Dopiero w dobie pieriestrojki i po upadku ZSRS na podstawie wielu ujawnionych dokumentów archiwalnych historycy sowieccy i rosyjscy zaczęli powoli wyjaśniać podstawowe przyczyny tych olbrzymich klęsk.

Dane na temat strat wojsk sowieckich w początkowym okresie wojny są ciężkie do uwierzenia. Tylko w ciągu trzech pierwszych miesięcy starcia z Niemcami wojska sowieckie straciły 15,5 tys. czołgów, 66,9 tys. armat i moździerzy, ok. 10 tys. samolotów. Te liczby co najmniej trzykrotnie przewyższają uzbrojenie armii niemieckich biorących udział w agresji na ZSRS. Rosyjski historyk Mark Sołonin przyczyn tego niezwykłego zjawiska upatruje w samej istocie reżimu stalinowskiego: „20 lat okrutnego niszczenia wszystkich norm moralności i prawa, wszystkich pojęć o honorze i godności przyniosło swoje zatrute żniwo. W żadnym kraju, który padł ofiarą hitlerowskiej agresji, nie było tak powszechnego moralnego rozkładu, masowej dezercji, tak masowej współpracy z okupantem”.

Na oczach Stalina jego „niezwyciężona”, doskonale uzbrojona armia w ciągu kilku tygodni przemieniła się w bezwolną grupę uzbrojonych ludzi, dążących jedynie do uratowania własnego życia.

Skala klęski Armii Czerwonej w pierwszych tygodniach wojny była tak ogromna, że załamał się nawet sam Stalin. Aby zapobiec całkowitej katastrofie, trzeba było zmieniać prawie wszystkie priorytety zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej polityki ZSRS. Już w pierwszych dniach wojny, gdy sowieckie armie ponosiły druzgocące porażki, zaczął się rodzić sojusz wojskowo-polityczny z Wielką Brytanią, do niedawna wrogą Związkowi Sowieckiemu. Zmienił się też wyraźnie klimat stosunków ze Stanami Zjednoczonymi; pojawiły się całkiem realne perspektywy objęcia ZSRS ustawą „lend-lease”, przewidującą ogromną amerykańską pomoc materialną.

W żadnym momencie wojny Wehrmacht nie miał na froncie wschodnim przewagi liczebnej. Zdecydowanie ustępował Armii Czerwonej również pod względem ilości i – nierzadko – jakości różnych typów uzbrojeń. Wielkie niemieckie zwycięstwa z lat 1941–1942 były możliwe głównie z powodu słabości organizacyjnej Armii Czerwonej, fatalnego dowództwa i – szczególnie na początku – braku motywacji do walki wśród milionów żołnierzy sowieckich. Jednak z każdą kolejną porażką Armii Czerwonej jej przewaga nad Wehrmachtem jedynie wzrastała – przeważająca większość obywateli sowieckich (nawet wrogo nastawionych wobec ustroju komunistycznego) przekonała się, że faszyzm niemiecki stanowi dla nich o wiele większe zagrożenie niż stalinizm.

Lokalny sukces strategiczny

Diametralne odwrócenia ról na froncie wschodnim tylko pozornie wygląda paradoksalnie. Stalin jeszcze przed wojną zdołał zbudować potężny przemysł wojenny, który wyprzedzał niemiecki w produkcji niemal wszystkich typów uzbrojeń. W 1943 r. ta przewaga była już przytłaczająca (z wyjątkiem budowy nowych jednostek dla marynarki wojennej). Amerykańskie i częściowo brytyjskie dostawy sprzętu wojskowego i materiałów strategicznych dopełniali obrazu miażdżącej przewagi sowieckiej.

Wyższość stalinizmu nad hitleryzmem w warunkach wojennych najbardziej widoczna była w zdolności mobilizacji wszystkich zasobów kraju. W 1943 r. Związek Sowiecki wyprodukował ponad cztery razy mniej żelaza i stali od III Rzeszy, a jednak produkcja czołgów w tym okresie wojny była w ZSRS 2,5 razy większa od niemieckiej, samolotów – 1,4 razy większa, artylerii – dwukrotnie większa. Z jednej wyprodukowanej w kraju tony stali przemysł sowiecki wytwarzał prawie ośmiokrotnie więcej uzbrojenia i materiałów przeznaczenia wojskowego niż przemysł niemiecki. Bitwa pod Moskwą była pierwszą zapowiedzią nieuniknionej porażki III Rzeszy. Totalitaryzm typu sowieckiego okazał się w warunkach wojennych o wiele bardziej skuteczny w kwestii zaopatrywania armii.

Konsekwencje upadku Związku Sowieckiego byłyby bardzo poważne również dla Zachodu. Jeżeli Niemcy kontrolowałyby wszystkie zasoby Europy kontynentalnej, to pozycja Wielkiej Brytanii stałaby się beznadziejna, a zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych, które wkrótce musiałyby się zmierzyć z Japonią w walce o dominację na Wschodzie, wzrosłoby dramatycznie. Z tego powodu bitwę o Moskwę należy uznać za punkt zwrotny drugiej wojny światowej, choć patrząc ze strategicznego punktu widzenia, Armia Czerwona odniosła jedynie lokalny sukces, odsuwając Niemców ledwie o 100–150 km od swej stolicy.



Sowieccy żołnierze wzięci do niewoli, czerwiec 1914 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2ccfad23



Rekonstrukcja pokładu działowego „Kronana" w Muzeum Regionalnym w Kalmarze

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SZILAS

„Kronan" – wrak pełen skarbów



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Monumentalnym symbolem szwedzkiej rywalizacji o dominium Maris Baltici jest wrak królewskiego galeonu „Vasa" („Snopek"). Majestatyczny okręt, ucieleśnienie potęgi wojowniczego Gustawa II Adolfa, zatonął nieopodal Sztokholmu 10 czerwca 1628 r., podczas dziewiczego rejsu. Najprawdopodobniej to błędy konstrukcyjne były przyczyną katastrofy. Działa tego olbrzyma nie zostały zatem użyte przeciwko Polakom w wojnie na Pomorzu w latach 1626–1629. Blisko 50 lat później poszedł na dno inny szwedzki okręt wojenny, jeszcze większy i potężniejszy od „Vasy" – admiralski liniowiec „Kronan" („Korona"). On zdążył zrobić użytek ze swojej artylerii i gdyby nie błędy dowodzących nim oficerów, być może odegrałby większą rolę w szwedzko-duńskiej wojnie o Skanię w latach 1675–1679.

Fatalny manewr

Wizyta w sztokholmskim muzeum „Vasy" (Vasamuseet) jest prawie obowiązkowym punktem wycieczki dla odwiedzających szwedzką stolicę. Wrak, podniesiony z morskiego dna w 1961 r., jest jedynym niemal w pełni zachowanym galeonem na świecie. Ten unikat nad unikatami zachwyca bogactwem dekoracji i stanowi niewyczerpane źródło wiedzy o XVII-wiecznym szkutnictwie. Tyle tylko że z jego wnętrza pochodzi stosunkowo mało artefaktów. „Vasa" wypłynął bowiem z niekompletną załogą, bez żołnierzy piechoty i sporej części wyposażenia. Z ponad 60 dział większość wydobyto z wraku za pomocą dzwona nurkowego już w latach 1664–1665. Z „Kronana" także odzyskano w XVII w. przynajmniej połowę dział, jednak to, co pozostało we wraku i zostało wydobyte 300 lat później, okazało się oszałamiającą kapsułą czasu.

„Kronan" podobnie jak „Vasa" miał być symbolem potęgi Szwecji. Okręt zaprojektował według najnowszych trendów Anglik Francis Sheldon, a stępkę położono w sztokholmskiej stoczni w 1665 r. Z powodów finansowych budowa przeciągnęła się aż do 1672 r. „Kronan" zaliczał się do największych i najlepiej uzbrojonych okrętów nowej klasy – liniowców. Wyporność tego trójmasztowca szacowana jest na 2300 t („Vasa" – 1210 t), a jego załogę stanowiło 550 marynarzy i 300 żołnierzy piechoty morskiej. Zasadniczą rolą okrętów liniowych było prowadzenie pojedynku

eprasa.pl ac2ccfad23

artyleryjskiego, dlatego na trzech pokładach działowych rozmieszczono 110–114 armat z brązu („Vasa" miał ich niemal dwukrotnie mniej).

Armia lądowa wciąż była niepokonana, za to flota, formalnie liczna i potężna, radziła sobie fatalnie. Nieustające pasmo porażek uniemożliwiło Szwedom wysadzenie desantu i przeniesienie kampanii lądowej na terytorium Danii. Jedna z klęsk spadła na nich u wschodniego wybrzeża Olandii 1 czerwca 1676 r. Wtedy właśnie dopełnił się los „Kronana", flagowego okrętu adm. Lorentza Creutza, dumnego arystokraty bez wojskowego doświadczenia. Szwedzi zostali dopadnięci przez siły duńsko-holenderskie prowadzone przez jednego z najwybitniejszych XVII-wiecznych admirałów – Holendra Corneliusa Trompa. W trakcie wymiany ognia Creutz nakazał wykonać śmiały manewr taktyczny pod pełnymi żaglami. Nie jest do końca jasne, czy był on zamierzony czy też spowodowała go niesubordynacja podkomendnych łamiących szyk. Wiadomo natomiast, że gwałtowny przechył, spotęgowany sztormową pogodą, doprowadził do niekontrolowanego przemieszczenia się ciężkiego sprzętu i eksplozji zapasów prochu. „Kronan" zatonął na głębokości 26 m, zaledwie 6 km od brzegów Olandii. Zginęło 800 ludzi wraz z admirałem; ocalało tylko 42 oficerów i marynarzy. Jakiś czas potem zdołano odzyskać ok. 60 dział i o wraku zapomniano na setki lat.



Wśród znalezisk wyróżnia się m.in. imponujący zestaw szklanych naczyń o różnym przeznaczeniu FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Odkrycie

Wrak „Kronana" został zlokalizowany w 1980 r. przez Andersa Franzéna, badacza i archiwistę, który zasłynął wcześniej odkryciem „Vasy". W 1981 r. Muzeum Regionalne w Kalmarze (Kalmar Läns Museum) rozpoczęło trwające do dzisiaj badania archeologiczne (do tej pory wzięło w nich udział blisko 650 nurków). Wydobyto już 35 tys. zabytków, ale na wystawie stałej kalmarskiego muzeum podziwiać można jedynie 2 tys. To i tak jest wystarczające, a cała aranżacja jest świetnie zaprojektowana, uzupełniona czytelnymi opisami, ciekawostkami oraz dioramami (w tym rekonstrukcją pokładu działowego), co wymaga sporo czasu dla pełnego zapoznania się z losami okrętu, odkryciem wraku i interpretacją znalezisk.

Smutnym memento jest wydobytych na powierzchnię ponad 800 kg kości marynarzy, żołnierzy i oficerów poległych w bitwie (część ciał morze wyrzuciło na brzeg tuż po katastrofie; pochowano je w zbiorowych mogiłach). Analiza szczątków wykazała, że wiek członków załogi wahał się w granicach 20–35 lat, średnia wzrostu wynosiła zaś 171 cm. Wstrząsającym odkryciem są liczne rany na kościach (analiza wykazała, że powstały tuż przed śmiercią), które z uwagi na ich charakter zinterpretowano jako ślady zaciekłej walki między marynarzami, którzy próbowali się wydostać z tonącego okrętu.

Oczywiście najbardziej okazale prezentują się armatnie lufy, w tym najcięższe, 36-funtowe (masa ponad 3,6 t), a takich dział było na pokładzie osiem. W sumie wydobyto 47 luf, nie tylko szwedzkich, lecz także duńskich i cesarskich – zdobytych w czasie wojny trzydziestoletniej w latach 1618–1648. Działa stanowiły ponad połowę wartości całego okrętu, dlatego nie dziwią próby ich odzyskania podejmowane wkrótce po jego zatonięciu. Najstarsze pochodzi z 1515 r., najmłodsze odlano w 1661 r. Poza lufami pozyskano wiele typów amunicji oraz akcesoriów artyleryjskich. Doskonale zachowały się także drewniane osady muszkietów i pistoletów oficerskich.

Odrobina codzienności

Na pokładzie „Kronana" przebywali ludzie o różnym statusie i z odmiennych warstw społecznych. Wraz z nimi na dnie spoczęła cząstka ich codzienności, którą po wiekach wydobyto na światło dzienne. W drewnianych schludnych kufrach i skrzyneczkach przechowywano dobra kadry dowódczej, w tym przedmioty luksusowe. Odnaleziono w nich m.in. bogato zdobione elementy garderoby, narzędzia nawigacyjne, zegarki kieszonkowe, biżuterię, pieczęcie, złote sztućce, a także książki. Z kajuty admiralskiej pochodzą m.in. skarb 550 złotych monet oraz efektowne krzesło z inicjałami adm. Creutza i jego żony. Odnaleziono także należący do niego strój. O życiu niższych szarż i zwykłych marynarzy świadczą setki miedzianych monet, którymi płacono żołd, drewniane naczynia i sztućce, kości do gry, proste (choć praktyczne) nakrycia głowy, tanie fajeczki holenderskie i woreczki na tytoń. Tekstyliów zachowało się nadspodziewanie dużo i w tym wypadku wyraźnie widać różnice klasowe. Bogato dekorowane kaftany oraz efektowne buty z klamerkami kontrastują ze zgrzebnymi szarymi ubraniami okrętowej biedoty. Zdumiewa rozmaitość naczyń – zarówno szklanych, ceramicznych, jak i cynowych. Dzięki badaniom w wielu przypadkach ustalono ich pierwotną zawartość.

W „Kronanie", niczym w soczewce, ogniskuje się XVII-wieczny świat marynarki wojennej. Wśród cennych zabytków są przybory lekarskie, w tym narzędzia dentystyczne, niemal kompletne wyposażenie apteczki, instrumenty muzyczne. Ogromne wrażenie robi największy skarb srebrnych monet odkryty na szwedzkich wodach – 6,4 tys. sztuk, w tym jedna polska. Dopełnieniem ekspozycji są liczne przykłady dekoracji rzeźbiarskich, które zdobiły nie tylko burty okrętu, lecz także jego wnętrza oraz doskonale zachowane elementy takielunku oraz narzędzia ciesielskie.

Zwiedzając muzeum w Kalmarze, nie można zapominać, że ten odległy świat odtworzono dzięki tytanicznej pracy szwedzkich konserwatorów. Ponieważ projekt „Kronan" wciąż trwa i wiąże się z nowymi wyzwaniami naukowo-badawczymi, czeka ich niewątpliwie jeszcze sporo pracy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2ccfad23



Pisten Bully 600. Snowcat, czyli ratrak

FOT. KÄSSBOHRER



Tymoteusz Pawłowski

Nazwy wielu produktów, które wydają się nam rodzajowe, w rzeczywistości zawdzięczamy ich twórcom. Często pochodzą one z tak dawnych czasów, że o ich genezie mało kto pamięta, a firmy te już dawno nie istnieją

Język i postęp / O wątpliwych nazwach

De Dubiis Nominibus A.D. 2026

Łaciński tytuł artykułu zaczerpnąłem z wczesnośredniowiecznego dokumentu spisanego gdzieś na zachodzie dzisiejszej Francji. Jest to lista słów, co do których pisowni anonimowy autor – być może autochtoniczny Gal, być może zasiedziały od kilku pokoleń Rzymianin, być może sarmacki imigrant świeżo przybyły znad Wisły – ma wątpliwości. We współczesnej polszczyźnie też są takie wyrazy i bynajmniej nie chodzi o gżegżółkę (czyli kukułkę), tylko o słowa i zwroty powszechnie używane.

Przez długi czas polska ortografia przypominała wolnoamerykankę – zapasy, w których wszystkie chwyty są dozwolone – ale pod sam koniec XVIII w. podjęto próbę uregulowania jej. To wówczas pojawiły się litery „j" oraz „ó". Oczywiście próba kodyfikacji wzbudziła spory – w ich toku zrezygnowano m.in. z liter „á" oraz „é" – które od tamtej pory stały się chlebem powszednim podczas zmieniania „konstytucji" języka.

Kolejną próbę podjęto u progu niepodległości, ale dyskusje trwały aż do 1936 r., gdy ogłoszono Wielką Reformę Ortografii, której zasady w gruncie rzeczy obowiązują do dziś. Najważniejszą regułą było pozbycie się wyjątków, ale nawet ta reguła ma wyjątki, choć jest ich mniej niż w innych językach. Język polski jest dokładnie skodyfikowany, a zasady poprawnej pisowni i wymowy są ściśle przestrzegane, co również różni nas od większości narodów – wynika to z doświadczeń historycznych i konieczności walki z rusycyzmami i germanizmami.

Jednym z frontów tej walki było stosowanie wielkich liter. Niemcy używają ich nagminnie przy każdym rzeczowniku, więc żeby się od nich odróżnić, ustalono, by w polszczyźnie stosować ich jak najmniej. Czasami prowadziło to do zamieszania, tak jak w przypadku pisowni nazw pojedynczych egzemplarzy wyrobów przemysłowych. Nazwy firm zapisywano wielką literą, ale nazwy ich produktów już małą. I dlatego firma Ford produkowała fordy (to nie jest lokowanie produktu: tego przykładu używała Rada Języka Polskiego w swoich oficjalnych komunikatach!).

Od 1 stycznia 2026 r. trzeba jednak pisać wielką literą zarówno nazwę firmy, jak i jej produktów. Jest to zmiana od dawna wyczekiwana przez wszystkich tych, którzy pisali o samolotach, samochodach oraz innym sprzęcie technicznym i po dziurki w nosie mieli ortograficzny brak logiki.



Reklama bicykli firmy Rover, 1885 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, C.T.C. MONTHLY GAZETTE

Prysznic z landrynką

Pomiędzy próbami kodyfikacji polszczyzny w XVIII w. a Wielką

eprasa.pl ac2ccfad23

Reformą Ortografii – albo wielką reformą ortografii, zasady pisowni nazw wydarzeń dają pewną swobodę – nastąpiła rewolucja przemysłowa. Miała ona również olbrzymi wpływ na język polski. Jedną z zasadniczych kwestii były nazwy odkryć i wynalazków: czy należy zachować je w brzmieniu oryginalnym, ryzykując utratę tożsamości narodowej, czy też spolszczyć je, utrudniając naukowe kontakty ze światem. Wiele pierwiastków chemicznych ma nazwy polskie, chociażby światowy hydrogen jest wodorem – oba słowa oznaczają czynnik rodzący wodę. Nitrogen miał być albo saletrorodem – co również jest bezpośrednim tłumaczeniem z łaciny – albo dusieniem, bo nie podtrzymywał życia. Na szczęście został azotem, co po grecku oznacza mniej więcej to samo: „bez życia".

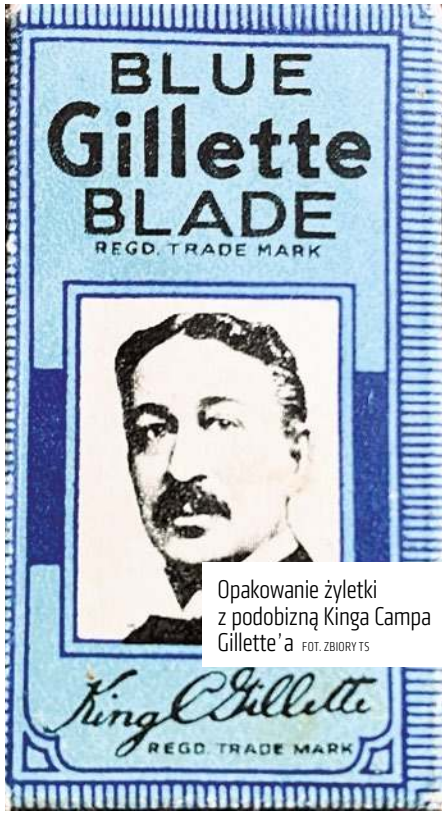
Łacina i greka to międzynarodowe języki nauki, które w Polsce są tolerowane. Walczono jednak z naleciałościami niemieckimi i w ten sposób tungsten stał się wolframem, podobnie jak kartofel – ziemniakiem. W obu tych przypadkach nieco przedobrzono: tungsten to szwedzki „ciężki kamień", a kartofel to włoskie „tartufo", czyli trufla. Z naleciałościami rosyjskimi również toczono boje, ale rzadko dotyczyły one wynalazków i nauki, chociaż są wyjątki, np. „uczony" zamiast „naukowca".

Niemal każdy zna anegdotę o tym, kto wynalazł najpopularniejszą polską zupę. Był to oczywiście wielki rosyjski uczony Iwan Iwanowicz Pomidorow. Mało kto jednak zna nazwisko twórcy jednego z najpopularniejszych polskich cukierków: Fiodora Matwiejewicza Łandrina. Jak łatwo się domyślić, pracował w Rosji, był dostawcą słodyczy na dwór carski, ale jego prawdziwe nazwisko to Georg Landrin. Cukierki pochodzą z Francji, w Polsce reklamowano je jako „pastylki angielskie" i tylko u nas używa się nazwy „landrynka".

W tym samym czasie co landrynki do Polski zawitał prysznic, propagowany przez hydroterapeutę Vincenza Prißnitza, a także kilka innych wynalazków sygnowanych imieniem lub nazwiskiem jednego człowieka: chociażby weki i pulmany. Wiek XX przyniósł jednak istotną zmianę: nowe przedmioty coraz rzadziej powstawały na skutek wysiłków jednego człowieka, a coraz częściej odpowiadały za nie całe przedsiębiorstwa.

Termos na trampolinie

Najlepszym przykładem przejścia nazwy firmowej do powszechnej polszczyzny jest rower, tak bowiem nazywały się pierwsze bezpieczne bicykle sprowadzane do Polski w 1885 r. z angielskiej firmy Rover. Najlepszym, ponieważ słowo to jest powszechnie używane, nic nie wskazuje na to, że zostanie ono zastąpione jakimś innym; firma Rover wciąż istnieje, a niektórzy rowerzyści zdają sobie sprawę ze wzajemnych powiązań.



Opakowanie żyletki z podobizną Kinga Campa Gillette'a FOT. ZBIORY TS

Można jednak podać przykłady, które nie są już tak dobre. Na przykład nazwę wypartą przez inną, chociażby elektroluks czy eros. Albo przedmiot, którego dziś już się nie używa, np. patefon czy walkman. Albo nazwę, którą ciężko skojarzyć z firmą czy znakiem towarowym, jak klakson, linoleum czy ratrak.

Ratrak jest jednak tym przykładem, nad którym warto się pochylić. Słowo to używane jest niemal wyłącznie w Polsce oraz w Rosji, na Ukrainie i w Bułgarii. W języku angielskim używa się określenia „snowcat". Co zabawne, obie nazwy oznaczają producentów: neutralnego szwajcarskiego oraz imperialistycznego amerykańskiego. Niektóre nazwy są z kolei typowe wyłącznie dla języka polskiego: żyletka czy ksero.

Specyficznym polskim przykładem są słowa takie jak „pepegi" i „cepeeny". Te pierwsze są wyrobami przedwojennej firmy nazywającej się Polski Przemysł Gumowy Towarzystwo Akcyjne w Grudziądzu: gumowymi butami, czymś w rodzaju… adidasów. Te drugie były stacjami benzynowymi należącymi do powojennej Centrali Przemysłu Naftowego, która w 2000 r. zmieniła nazwę na Orlen, a wszystkie jej cepeeny stały się stacjami benzynowymi. Prawie wszystkie: w 2018 r., aby zachować prawo do nazwy, uruchomiono w Warszawie stację benzynową CPN.

Pospolicenie nazw handlowych – bo taką poważną nazwę nosi opisywane zjawisko – jest jednak uznawane przez wielkie firmy za niekorzystne i starają się one temu przeciwdziałać. Jeden ze znanych big techów stara się na różne sposoby zniechęcić do używania słowa „guglowanie" i zastąpić je sformułowaniem „wyszukiwanie w Internecie". Z reguły jednak próby te skazane są na niepowodzenie, ponieważ jedną z podstawowych zasad językowych jest ekonomia. Człowiek – niezależnie od języka, którego używa – stara się zaoszczędzić sobie wysiłku. Po co mówić „aparat fotograficzny do błyskawicznego wywoływania zdjęć", skoro można powiedzieć polaroid?

I – niejako przy okazji – jest to dowód, że kodyfikacje językowe oraz reformy ortografii mają sens. Zdania „zrobiłem zdjęcie polaroidem" oraz „zrobiłem zdjęcie Polaroidem" oznaczają przecież dwie różne rzeczy. Przed 1 stycznia 2026 r. to drugie zdanie było niepoprawne ortograficznie i należało je zapisać: „zrobiłem zdjęcie polaroidem marki Polaroid", co było nie tylko nielogiczne, lecz także nieekonomiczne. A ekonomia – także w pisaniu i mówieniu – jest dla nas przecież czymś zupełnie naturalnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2ccfad23



Jerzy V (siedzi w środku) i nad nim Wilhelm II wśród europejskich monarchów, 1910 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PHOTOGRAPHED BY W.&D. DOWNEY

XX w. / Starcia potęg

Cena hegemonii



Piotr Zychowicz

Wojny światowe nie były walką dobra ze złem. Ich przyczyną była walka mocarstw o dominację

Dlaczego w XX w. wybuchły dwie wojny światowe? Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy odrzucić wiarę w to, że wielkie mocarstwa kierują się w swojej polityce szczytnymi wartościami. I przyjąć do wiadomości oczywisty fakt, że w międzynarodowej rozgrywce liczą się tylko twarde, egoistyczne interesy. A konkretnie dominacja ekonomiczna i polityczna nad innymi mocarstwami.

Wojny światowe nie były zatem walką dobra ze złem, jak przedstawiała to propaganda wojenna obu stron. A potem kultura masowa kształtowana pod dyktando narracji zwycięzców. Jedną z głównych przyczyn pierwszej i drugiej wojny światowej były długoletnie zmagania o europejską hegemonię między Wielką Brytanią i Niemcami.

W rozgrywce tej Wielka Brytania występowała w roli obrońcy korzystnego dla niej status quo, a Niemcy były mocarstwem rewizjonistycznym walczącym o – z perspektywy Berlina – nowy, bardziej sprawiedliwy ład międzynarodowy. Gdy Niemcy zaczęły rosnąć w siłę, konflikt stał się nieuchronny.

Wynikało to z fundamentalnej zasady brytyjskiej strategii, czyli równowagi sił. Wielka Brytania pilnowała, by żadne mocarstwo kontynentalne nigdy nie zdominowało pozostałych i nie stanęło na czele Europy.

Uzyskanie pozycji hegemonicznej przez jakiekolwiek państwo starego kontynentu stanowiłoby bowiem śmiertelne zagrożenie dla interesów imperium. Zagroziłoby handlowym szlakom komunikacyjnym – na których straży stała flota Albionu – oraz pozycji brytyjskich produktów na światowych rynkach.

Dlatego właśnie Wielka Brytania na początku XIX w. zniszczyła Napoleona Bonaparte. Przez 12 lat montowała kolejne koalicje i wojowała z cesarzem, aby skruszyć potęgę Francji. Gdy udało się osiągnąć ten cel, Wielka Brytania wycofała się z kontynentu. Ustalenia kongresu wiedeńskiego z 1815 r. gwarantowały bowiem – upragnioną przez Londyn – równowagę sił.

Prawdziwy kolos

Sytuacja diametralnie zmieniła się w roku 1871. Proklamowana została bowiem wówczas restauracja Cesarstwa Niemieckiego. Prusy – pod wodzą genialnego kanclerza Ottona von Bismarcka – pokonały Austrię, a następnie pobiły Francję, aby „krwią i żelazem" położyć kres niemieckiemu „rozbiciu dzielnicowemu".

Ku przerażeniu brytyjskich mężów stanu w Europie nagle wyrósł prawdziwy kolos. Najludniejsze państwo kontynentu, zajmujące kluczową centralną pozycję – od Renu na Zachodzie po Memel nad Morzem Bałtyckim. W ślad za potęgą polityczną i demograficzną przyszła pozycja gospodarcza.

Niemcy na przełomie wieków XIX i XX stały się czołową potęgą przemysłową Europy. Zagłębie Ruhry, Zagłębie Saary, huty, kopalnie i fabryki Górnego Śląska. Doskonałe maszyny, węgiel, stal. Armaty i karabiny. Pozycja polityczna Wielkiej Brytanii w Europie zaczęła topnieć, a produkty „Made in Germany" zaczęły wypierać ze światowych rynków towary „Made in England".

Wszystko to wywoływało panikę na salonach politycznych nad Sekwaną. W 1908 r., po powrocie z podróży do Niemiec, brytyjski magnat prasowy lord Northcliffe napisał: „Jechałem przez Essen, gdzie znajdują się olbrzymie fabryki Kruppa. I każdy z ich dymiących kominów w mojej wyobraźni jawił się jako lufa potężnego działa wymierzonego w Anglię".

Jak tłumaczył amerykański historyk John Maurer, Brytyjczycy zdawali sobie sprawę z tego, że wzrost niemieckiej potęgi przemysłowej musiał przełożyć się na potęgę militarną i siłę niemieckiej floty, która mogła rzucić wyzwanie Royal Navy. A to podważało pozycję mocarstwową Londynu w świecie. Znowu, jak w czasach Napoleona, rodził się groźny rywal.

Rywal, którego należało zatrzymać wszystkimi dostępnymi środkami.

eprasa.pl ac2ccfad23

Włącznie z tym ostatecznym – wojną. Wojna była bowiem mniejszym złem niż degradacja Wielkiej Brytanii do roli mocarstwa drugiej kategorii. A co za tym idzie – utraty władzy i pieniędzy. O to bowiem tak naprawdę toczy się gra między mocarstwami.

Tomasz Gabiś przytaczał następującą wymianę zdań, do której doszło w 1910 r. między przywódcą torysów lordem Balfourem i ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Londynie Henrym White'em.

– Prawdopodobnie jesteśmy głupcami – mówił Lord Balfour – że nie potrafimy znaleźć powodu, aby wypowiedzieć Niemcom wojnę, zanim zbudują zbyt dużo okrętów i odbiorą nam nasz handel.

– Jest pan w życiu prywatnym człowiekiem wspaniałomyślnym – odpowiedział White. – Jakże więc jest to możliwe, że na płaszczyźnie politycznej rozważa pan coś tak niemoralnego jak sprowokowanie wojny przeciw narodowi, który wam nie zagraża i który ma takie samo prawo posiadać flotę jak pan? Jeśli chcecie konkurować z niemieckim handlem, to więcej pracujcie.

– To by oznaczało obniżenie naszego standardu życia – stwierdził lord Balfour. – Być może wojna byłaby dla nas czymś prostszym.

– Jestem przerażony, że akurat pan wyznaje takie zasady.

– Czy to jest kwestia prawa czy bezprawia? Możliwe, że jest to tylko kwestia naszej hegemonii.

Polski pretekst

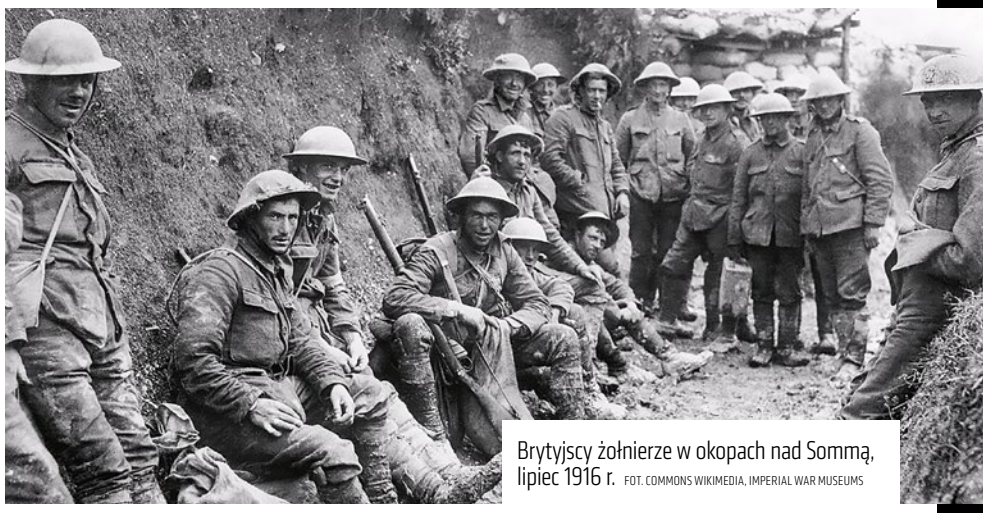
Przyjrzymy się przykładowi, który najlepiej oddaje problem, o którym mówimy. Czyli słynnej – budowanej przez Niemców od 1903 r. – strategicznej linii kolejowej Berlin – Bagdad. Jej budowa miała większy wpływ na wybuch pierwszej wojny światowej niż zabójstwo arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie.

A żeby być precyzyjnym, nie tyle jej budowa, ile brytyjski sprzeciw wobec niej. Zgodnie z założeniem linia miała stać się „autostradą" dla niemieckich wpływów na Bliskim Wschodzie i w Azji. Docelowo miała przebiegać aż do Zatoki Perskiej, gdzie Niemcy planowali zbudować port handlowy. Dalej szlak miał sięgać Indii i Chin.

Finansowana m.in. ze środków Deutsche Banku inwestycja stała się symbolem rosnącego niemieckiego imperializmu naruszającego dotychczasową równowagę sił. Miała ona połączyć Europę Centralną z polami naftowymi Mezopotamii i rynkami Azji. Co istotne, z pominięciem – znajdującego się w rękach Wielkiej Brytanii – Kanału Sueskiego i innych szlaków morskich kontrolowanych przez flotę Jego Królewskiej Mości.

Taki wzrost niemieckiego imperializmu stanowił oczywiście śmiertelne zagrożenie dla brytyjskiego imperializmu. Ówczesny świat był po prostu za mały na dwa takie supermocarstwa. Wielkiej Brytanii zajrzało w oczy upiorne widmo detronizacji z roli globalnego hegemona.

Dzięki linii Berlin – Bagdad doskonale zorganizowani Niemcy uzyskaliby dostęp do nieograniczonych ilości surowca kluczowego dla ich rozwijającego się przemysłu maszynowego: ropy naftowej.



Brytyjscy żołnierze w okopach nad Sommą, lipiec 1916 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IMPERIAL WAR MUSEUMS

A wschodnie rynki – aż po Indie i Chiny – otworzyłyby się przed niemieckimi produktami przemysłowymi.

Dla Wielkiej Brytanii byłaby to oczywiście dziejowa katastrofa. Państwo to nie tylko straciłoby fortunę z powodu groźnej konkurencji w postaci niemieckich produktów. Jeszcze bardziej niebezpieczne było to, że Niemcy mogliby odciąć Wielką Brytanię od ropy, kluczowej dla napędzania jej potężnej floty. Aby uniknąć tego koszmarnego scenariusza, Wielka Brytania gotowa była zrobić wszystko. Czyli iść na wojnę.

Właśnie temu celowi służyło stworzenie w 1907 r. Trójporozumienia, paktu między Wielką Brytanią, Francją i Rosją. Koalicję tę Londyn zmontował wyłącznie w jednym celu – aby okrążyć, a następnie zgnieść Niemcy. Zatrzymać ich ekspansję i przywrócić równowagę sił na kontynencie europejskim. A co za tym idzie, hegemonię brytyjską na morzach i oceanach. Kontrolę nad globalną gospodarką.

Taka właśnie była geneza wybuchu pierwszej wojny światowej. Krwawego konfliktu, który pochłonął ponad 15 mln istnień ludzkich. Choć Wielka Brytania jak zawsze próbowała nadać tej wojnie wymiar moralny – przedstawiając Niemców jako barbarzyńskich Hunów – to w rzeczywistości chodziło o to, co zawsze. Czyli rywalizację wielkich mocarstw. Gdy wyczerpały się środki dyplomatyczne, przemówiły działa.

Wielka Brytania – jak wiadomo – wojnę wygrała. Niemcy zostały zagłodzone blokadą morską i skapitulowały w 1918 r. Porażka ta nie zahamowała jednak raz na zawsze wzrostu potęgi Rzeszy, jak oczekiwali tego brytyjscy decydenci. Jedynie powstrzymała go na kilkanaście lat…

Gdy Niemcy w połowie lat 30. zaczęli obalać kolejne ograniczenia nałożone na nie przez traktat wersalski i odbudowywać swoją pozycję mocarstwową, Wielka Brytania stanęła dokładnie przed tym samym dylematem, co kilkadziesiąt lat wcześniej. Skutkiem była kolejna światowa wojna. Jeszcze bardziej krwawa niż poprzednia. A Polska? Polska była tylko pretekstem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2ccfad23

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

URODZONY W 1913 ROKU ZBIGNIEW RAKOWIECKI BYŁ UZNAWANY ZA JEDNEGO Z NAJZDOLNIEJSZYCH AKTORÓW MŁODEGO POKOLENIA. KARIERĘ ROZPOCZYNAŁ NA DESKACH WARSZAWSKICH TEATRÓW NA POCZĄTKU LAT 30. ZNANY ZE SWOJEGO CHARAKTERYSTYCZNEGO UŚMIECHU, SZYBKO ZOSTAŁ DOSTRZEŻONY PRZEZ PRODUCENTÓW FILMOWYCH I REŻYSERÓW. W WIEKU 20 LAT ZADEBIUTOWAŁ W FILMIE ,,DZIEJE GRZECHU''.

ZE WZGLĘDU NA TALENT MUZYCZNY ANGAŻOWANO GO CHĘTNIE DO POPULARNYCH WÓWCZAS KOMEDII MUZYCZNYCH. GŁÓWNĄ ROLĘ, KTÓRA MOGŁA UCZYNIĆ GO GWIAZDĄ, ZAGRAŁ W KOMEDII Z 1939 ROKU ZATYTUŁOWANEJ ,,JA TU RZĄDZĘ''. WCIELIŁ SIĘ W POSTAĆ HRABIEGO JÓZIA LULEWICZA, A PARTNEROWAŁA MU INA BENITA.



JEDNAK ATAK HITLEROWSKICH NIEMIEC NA POLSKĘ SPRAWIŁ, ŻE FILM ,,JA TU RZĄDZĘ'' NIE TRAFIŁ DO KIN ZGODNIE Z PLANEM – PREMIERĘ MIAŁ DOPIERO W 1941 ROKU. NATOMIAST ZBIGNIEW RAKOWIECKI WE WRZEŚNIU 1939 ROKU ZOSTAŁ WCIELONY DO WOJSKA I TRAFIŁ NA FRONT.

SWOJĄ WALKĘ Z NIEMIECKIM OKUPANTEM KONTYNUOWAŁ WSTĘPUJĄC DO ARMII KRAJOWEJ, PRZYJMUJĄC PSEUDONIM ,,LESZEK''. GDY WYBUCHŁO POWSTANIE WARSZAWSKIE, WALCZYŁ JAKO STRZELEC W 403. PLUTONIE NA TERENIE OCHOTY.

JEDNAK 4 SIERPNIA NA TEREN OCHOTY NIEMCY SKIEROWALI DO WALKI BRYGADĘ SZTURMOWĄ SS ,,RONA'' CZYLI KOLABORUJĄCĄ Z HITLEROWCAMI ROSYJSKĄ WYZWOLEŃCZĄ ARMIĘ LUDOWĄ.



RANNY RAKOWIECKI TRAFIŁ DO NIEWOLI I 5 SIERPNIA ZOSTAŁ ROZSTRZELANY PRZEZ RONOWCÓW. W RZEZI OCHOTY RONOWCY ZAMORDOWALI OKOŁO 10 TYSIĘCY MIESZKAŃCÓW WARSZAWY.



eprasa.pl ac2ccfad23

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

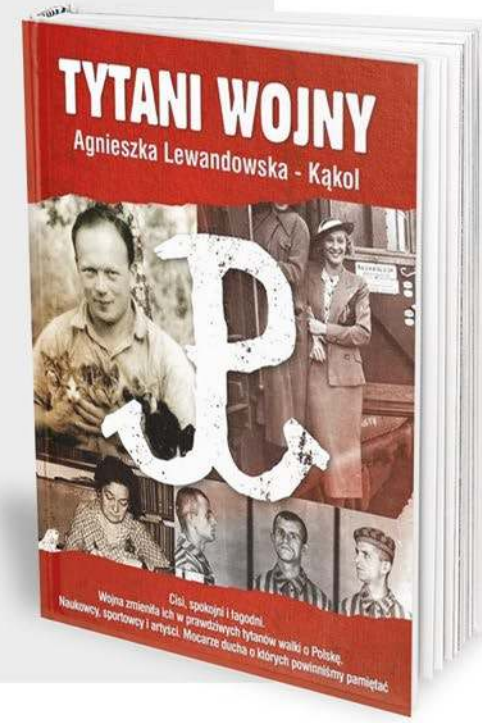
HISTORIA DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL: „TYTANI WOJNY”

Książka poświęcona ludziom często zapomnianym i niedostrzeżonym, którzy podczas II wojny światowej walczyli nie zbrojnie, ale wykorzystali do walki swoje talenty i ponadprzeciętne umiejętności, uzyskując efekty istotniejsze od kampanii prowadzonych przez wielkie armie. Naukowcy, lekarze, matematycy, sportowcy, artyści, prawnicy. "Tytani wojny" o wolność Polski.

Eugeniusz Łazowski – lekarz, profesor pediatrii, uratował tysiące ludzi w Stalowej Woli. Przeprowadzał akcje szczepień niegroźną bakterią, po której przerażeni Niemcy ogłosili Stalową Wolę i jej okolice terenem objętym zarazą.
Jerzy Iwanow Szajnowicz – legendarny Agent nr 1. Stworzył na terenie okupowanej Grecji dywersyjną grupę, która zniszczyła dziesiątki niemieckich i włoskich samolotów bojowych. Jako pływak-olimpijczyk samodzielnie uszkodził wiele niemieckich okrętów wojennych w tym kilka U-bootów.
Klementyna Mańkowska – przed wojną żona przy mężu. Od września 1939 jej życie zaczęło przypominać powieść sensacyjną. Współpracowała z wywiadem „Muszkieterów” by na koniec stać się emisariuszem szefa Abwehry, admirała Canarisa, który za jej pośrednictwem chciał utrzymać kanał komunikacyjny z Londynem.
Antoni Kocjan – konstruktor szybowców. W czasie wojny pomagał produkować broń dla podziemia – brawurowo zamawiając podzespoły w niemieckich fabrykach. Dzięki jego działalności AK udało się rozpracować hitlerowski ośrodek rakietowy Peenemünde i dostarczyć do Londynu zdobyty przez polski wywiad pocisk V2.
Franciszek Witaszek – lekarz, naukowiec. Opracowywał receptury trucizn, niesłychanie trudnych do wykrycia, używanych przez podziemie do eliminowania najbardziej strzeżonych niemieckich oficerów.
Henryk Sławik – przedstawiciel Rządu RP na uchodźctwie, działający na Węgrzech, uratował tysiące polskich i żydowskich uchodźców. Uchronił przed śmiercią także Józsefa Antalla, późniejszego premiera Węgier.



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

176 zł

oszczędność 53 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ac2ccfad23

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl ac2ccfad23